

Gabriel Mesta

StarCraft:

W cieniu Xel'Nagi

StarCraft: Shadow Of The Xel'Naga

Przełożyła: Izabela Matuszewska

Wydanie oryginalne: 2001

Wydanie polskie: 2001

TMN

Książka ta jest dla
Scotta Moesty
za jego mądre rady dotyczące
świata „Starcraft”
(nie zrobilibyśmy tego bez Ciebie).
Wszystkie te długie znojne godziny
spędzone na grach nareszcie przyniosły efekt.

I dla jego żony,
Tiny Moesty,
za zrozumienie, że facet musi czasami
skopać tyłek kilku obcym.

Podziękowania

Specjalne podziękowania należą się Chrisowi Metzenowi i Billowi Roperowi za ich cenny wkład; Robowi Simpsonowi i Marco Palimieriemu z Pocket Books za wsparcie i zachęcanie nas do ukończenia tej książki; Kevinowi J. Andersonowi i Rebecce Moeście, bez których nie byłoby Gabriela Mesty; Mattowi Bialerowi z Trident Media Group za podtrzymywanie nas na duchu; Debrze Ray z AnderZone za doping; Catherine Sidor, Dianie E. Jones i Sarze L. Jones z WordFire Inc. za to, że dzięki nim wszystko szło gładko; Jonathanowi Cowanowi, Kiernanowi Maletsky'emu, Nickowi Jacobsowi, Gregorowi Myhrenowi i Wesowi Cronkowi za to, że byli naszymi przewodnikami oraz za ich niesłabnący zapał do gry.

Rozdział 1

Kiedy dusząca zasłona ciemności opadła na miasto, osadnicy Free Haven, zaprawieni w zmaganiach z nieprzyjazną pogodą, pospieszyli, aby się ukryć przed burzą. Na kolonialnej planecie Bhekar Ro noc zapadała szybko, wietrzna i bezgwiezdna.

Na horyzoncie kłębiły się smoliste chmury, uwięzione ponad ostrą granią gór otaczających rozległą dolinę – serce kolonii rolniczej. Pierwszy ogłuszający grzmot przetoczył się nad szczytami niczym ogień artyleryjski. Każdy wybuch był dość silny, aby wykryły go wszystkie sprawne jeszcze sejsmografy rozmieszczone wokół eksplorowanego obszaru.

Warunki atmosferyczne panujące na planecie powodowały wyładowania o niespotykanym akustycznym impecie. Sam huk nierzadko siał poważne zniszczenia, a to, co pozostało nietknięte przez grzmot, rozbijał w pył laser błyskawicy.

Czterdzieści lat temu koloniści uciekający przed uciskiem rządu Konfederacji Terrańskiej padli ofiarą naiwnej wiary, że miejsce to może się stać nowym rajem. Cztery pokolenia później uparci osadnicy nadal nie chcieli się poddać.

Oktawia Bren siedziała na miejscu strzeleckim obok swego brata Larsa i spoglądała przez popękaną szybą ogromnej roboźniwiarki zmierzającej pospiesznie w stronę miasta. Łoskot mechanicznych bieżników i ryk silnika prawie całkowicie zagłuszały huk grzmotów. Prawie.

Laserowe strumienie błyskawic przeszywały przestrzeń niczym świetlne bełty, elektrostatyczne lance wypuszczone z chmur i znaczące powierzchnię gruntu szklistą wysypką. Widok błyskawic przywiódł Oktawii na myśl pociski nuklearne dział Yamato, którymi raziły z orbit terrańskie krążowniki bojowe. Widziała kiedyś te sceny w miejskiej bibliotece.

– Po co, do jasnej galaktyki, nasi dziadkowie w ogóle tu przyjeżdżali? – zapytała retorycznie.

Kilka następnych błyskawic wypaliło w ziemi nowe kratery.

– Dla piękna krajobrazu, rzecz jasna – zażartował Lars.

Gradobicie oczyszczało wprawdzie powietrze z wszechobecnego pyłu i piasku, ale mogło również zniszczyć uprawy pszenryżu i mchu sałatkowego, który dopiero co się zdążył przyjąć

na skalistym podłożu. Z niewielkimi zapasami żywności, jakimi dysponowali, osadnicy z Free Haven nie przeżyliby poważnej klęski nieurodzaju, a o pomoc z zewnątrz nie prosili już od wielu lat.

Jakoś przetrwają. Dotąd zawsze im się to udawało.

Lars obserwował nadchodzącą burzę z błyskiem podniecenia w orzechowych oczach. Chociaż był rok starszy od siostry, z tym zawadiackim uśmiechem wyglądał na beztroskiego młokosa.

– Jestem pewien, że zdążymy uciec przed najgorszym.

– Zawsze ci się wydaje, że można zrobić więcej, niż podpowiada rozsądek. – Mimo swoich siedemnastu lat Oktawia znana była jako wyjątkowo rozważna i zrównoważona dziewczyna. – A kończy się to tak, że muszę ratować twój tyłek.

Lars za to miał niespożyte zasoby energii i entuzjazmu.

Oktawia chwyciła się siedzenia, kiedy ogromny wielozadaniowy pojazd z chrzęstem przejechał przez rów, po czym ruszył dalej po szerokiej bitej drodze ciągnącej się między uprawami w stronę dalekich świateł miasta.

Po śmierci rodziców Lars wpadł na zwariowany pomysł, aby we dwójkę powiększyli swoje tereny uprawne, a na dodatek przejęli jeszcze zautomatyzowane kopalnie minerałów w oddalonym paśmie górskim. Oktawia próbowała go odwieść od tego zamiaru.

– Bądź rozsądny, Lars. I bez tego mamy na farmie pełne ręce roboty. Jeśli ją powiększymy, nie starczy nam już czasu na nic innego, nawet na założenie rodzin.

Połowa niezamężnych dziewcząt w kolonii oficjalnie zgłosiła gotowość poślubienia Larsa, a Cyn McCarthy zrobiła to nawet trzykrotnie! Jak dotąd jednak Lars wynajdywał mnóstwo wymówek. W tym surowym świecie koloniści osiąkali pełnoletniość w wieku piętnastu lat, a wielu z nich miało już własne rodziny, zanim skończyło osiemnaście. Za rok Oktawia miała stanąć przed tą samą decyzją, a wybór we Free Haven był niewielki.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – zapytała wtedy po raz ostatni.

– Oczywiście. Warto teraz dać z siebie jak najwięcej. A kiedy interes nabierze rozpędu, będziemy mieli mnóstwo czasu na założenie rodzin – przekonywał Lars, odrzucając do tyłu jasne włosy, które sięgały mu do ramion. Oktawia nigdy nie potrafiła się przeciwstawić temu łobuzerskiemu uśmiechowi. – Zanim się obejrzymy, będzie po wszystkim, a wtedy mi podziękujesz.

Był przekonany, że dadzą radę obrobić jeszcze Daleką Włókę – zbocza niskich gór, które oddzielały tereny rolnicze kolonii od następnej rozległej doliny oraz łańcucha górskiego leżącego dwanaście kilometrów dalej. Zaprzęgli więc swoją roboźniwiarkę do wyrównywania nowej połaci terenu, który ledwie się dawał zaorać, obsadzili go roślinami, a na skalistych stokach podgórza założyli zautomatyzowane stacje wydobywcze. Było to prawie dwa lata temu.

Gwałtowny podmuch wiatru uderzył w szeroki metalowy bok roboźniwiarki i zamknięte

iluminatory zagrzecotały. Lars skontrował boczny podmuch drążkiem sterowniczym i przyspieszył. Nie widać na nim było nawet śladu zmęczenia po całym dniu ciężkiej pracy.

Laserowa błyskawica przeszła niebo i Oktawia przez chwilę widziała przed oczami tylko kolorowe zygzaki. Lars nie zwolnił ani odrobinę, chociaż i jego oślepiło jaskrawe światło błyskawicy. Oboje marzyli tylko o jednym – jak najszybciej znaleźć się w domu.

– Uważaj na te głazy! – zawołała Oktawia.

Miała doskonały wzrok i dostrzegła niebezpieczeństwo nawet przez zasłonę deszczu spływającego strugami po szybie. Lars jednak zlekceważył jej ostrzeżenie i przejechał po kamieniach, krusząc je bieżnikami potężnego traktora.

– Nie doceniasz tego pojazdu.

Oktawia prychnęła, nie siląc się nawet na delikatność.

– Tylko że jeśli urwiesz pokrywę albo spalisz krzywkę hydrauliczną, to nie kto inny, tylko ja będę musiała je naprawiać.

Wielozadaniowe żniwiarki – najważniejszy sprzęt każdego osadnika – mogły zastępować sypchacz, uprawiać ziemię, rozbijać wielkie głazy, a także zbierać plony. Niektóre wyposażono w kruszarki skał, inne w miotacze płomieni. Służyły również jako środek transportu po trudnym terenie na niewielkie odległości.

Kadłub robożniwiarki Brenów, niegdyś wiśniowy i błyszczący, był już teraz wyblakły, porysowany i powgniatany. Za to silnik pracował jak marzenie i to Oktawii wystarczało.

Spojrzała na skaner pogody i mapę barometryczną. Wskaźniki oszalały.

– Tym razem naprawdę zanosi się na paskudną nawałnicę.

– One zawsze są paskudne. W końcu to jest Bhekar Ro, czego się spodziewasz?

Oktawia wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że mamie i tacie to nie przeszkadzało.

Kiedy żyli, dodała w duchu.

Ona i Lars byli jedynymi ocalałymi członkami rodziny. Każdy z osadników stracił kogoś z krewnych lub przyjaciół. Okiełznywanie nieprzyjaznego świata jest niebezpiecznym zadaniem, rzadko wynagradzającym trudy, za to obfitującym w nieszczęścia.

Mimo to mieszkańcy Bhekar Ro nadal gonili za swoimi marzeniami. Czterdzieści lat temu porzucili tereny rządzone despotycznie przez Konfederację Terrańską dla tej ziemi obiecanej – Bhekar Ro. Szukali niepodległości i szansy na nowe życie, z dala od zawirowań i nieustannych wojen domowych między światami Konfederacji.

Pierwsi osadnicy nie pragnęli niczego więcej ponad pokój i wolność. Wiedzeni idealistyczną wizją, wybudowali główny ośrodek kolonii z mocnym postanowieniem, że wszystkie środki będą wspólne i sprawiedliwie rozdzielane. Nadali miastu nazwę Free Haven^{*1} i podzielili ziemię uprawną równo pomiędzy wszystkich ludzi zdolnych do pracy. Jednak idealizm z wolna parował w miarę, jak koloniści znosili coraz więcej mozołów i

¹ * *free haven* – ang. wolna przystań

ciężarów życia na planecie, która nie spełniła ich oczekiwań.

Jednak nikt z osadników nigdy nie napomknął nawet o powrocie, a już na pewno nie Oktawia i Lars Brenowie.

Światła Free Haven jaśniały na podobieństwo gościnnego raj, kiedy roboźniwiarka zbliżała się do miasta. W oddali Oktawia słyszała już odgłos syreny ostrzegawczej, rozchodzący się z okolic starej wieży przeciwlotniczej na rynku i wzywający mieszkańców, aby ukryli się przed burzą. Poza ich dwójką wszyscy koloniści, a przynajmniej ci, którzy mieli szczyptę zdrowego rozsądku, zdążyli się już zabarykadować w swoich prefabrykowanych domach, aby przeczekać nawałnicę.

Oktawia i Lars minęli pola i pierwsze domy, przejechali suche kanały irygacyjne i wreszcie dotarli na obrzeża miasta. Free Haven zbudowane było na planie ośmioboku i ogrodzone niskim płotem, ale bramy prowadzące na główne ulice zawsze stały otworem.

Nagle grzmot huknął tak blisko, że roboźniwiarką aż zatrzęsło. Lars zacisnął tylko zęby i jechał dalej. Oktawia przypomniała sobie dzieciństwo, kiedy siedziała u ojca na kolanach i śmiała się z grzmotów. Cała rodzina zbierała się wtedy w domu, spokojna i bezpieczna...

Dziadkowie zestarli się szybko od trudów surowego życia na planecie, wskutek czego dostąpili wątpliwego zaszczytu: byli pierwszymi osadnikami pochowanymi na cmentarzu Bhekar Ro, położonym poza granicami ośmiokątnego miasta. Potem, wkrótce po piętnastych urodzinach Oktawii, zaczęła się epidemia śnieci.

Rzadkie uprawy zmutowanego pszenicy pokryły się drobnymi czarnymi plamkami rdzy żdźbłowej. Ponieważ zapasy żywności były skąpe, matka Oktawii odłożyła zepsute zboże dla siebie i męża, a pieczywo ze zdrowego ziarna zostawiła dla dzieci. Dotknięte chorobą jedzenie wydawało się równie dobre jak każde inne – trochę przasne i niesmaczne, ale dość pożywne, aby utrzymać ich przy życiu.

Oktawia doskonale pamiętała tę ostatnią noc. Męczyła ją wtedy migrena, co zdarzało jej się dosyć często, a także silne trwożne przeczucie zbliżającego się nieszczęścia. Matka wysłała swą nastoletnią córkę wcześniej do łóżka, ale dziewczynę przez całą noc nękały okropne senne koszmary.

Kiedy zbudziła się rano, w domu panowała dziwna cisza. Oboje rodzice leżeli martwi w łóżku. Pod mokrą pościelą, zmiętą i poskręcaną w chwili agonii, ciała matki i ojca, unicestwione przez eksplodujące zarodniki, zamieniły się w jedną rozedrganą masę grzybowego mięszu.

Lars i Oktawia nigdy nie wrócili do tego domu, który spalono aż do fundamentów razem z zakażonymi polami i siedemnastoma domami innych rodzin dotkniętych przerażającą pasożytniczą chorobą.

Dotkliwy cios, jakim była dla kolonii plaga śnieci, jeszcze mocniej zjednoczył tych, którzy przeżyli. Nowy burmistrz, Jacob „Nik” Nikolai, wygłosił namiętną apologię ofiar epidemii, na nowo rozniecając w duszach osadników ideę niepodległości i dostarczając im

nowego bodźca do wytrwania na tej planecie obiecanej. Przecierpieli już przecież tyle, ponieśli tyle wyrzeczeń, że potrafią przetrwać także i to nieszczęście.

Oktawia i Lars zamieszkali razem w nowym domu na obrzeżach Free Haven i powoli zaczęli układać sobie życie. Snuli plany, powiększali gospodarstwo, prowadzili kopalnie i obserwowali monitory sejsmografów, wypatrując oznak wszelkich tektonicznych ruchów, które mogłyby zniszczyć owoce ich pracy lub zagrozić miastu. Codziennie wyruszali razem na pola i ramię przy ramieniu harowali do późna w nocy. Pracowali ciężiej, ryzykowali więcej i... przetrwali.

Kiedy zostawili za sobą otwartą bramę i objechali rynek, spiesząc w kierunku domu, nawałnica rozpętała się na dobre. Roboźniwiarka torowała sobie drogę przez ukośny mur deszczu i gradu, mijała oświetlone okna i zabarykadowane drzwi metalowych chat. Przez nieprzenikloną zasłonę ulewy Lars prowadził pojazd na wycucie, instynktownie odnajdując drogę do domu, który wyglądał identycznie jak wszystkie pozostałe domy w kolonii.

Zatrzymał traktor na żwirowym placu przed domem, zablokował koła i wyłączył silnik. Oktawia w tym czasie naciągnęła na głowę usztywniany kapelusz i przygotowywała się do wyjścia z kabiny. Przebiegnięcie nawet trzydziestu metrów w czasie takiej burzy było naprawdę niemiłym przeżyciem.

Zanim systemy roboźniwiarki wygasły ostatecznie wskaźniki, Oktawia sprawdziła jeszcze zapas paliwa. Jej brat nigdy o tym nie pamiętał.

– Będziemy musieli pojechać do rafinerii po vespen.

Lars złapał za klamkę i wtulił głowę w ramiona.

– Jutro, jutro. Teraz Rastin i tak schował się w chałupie i klnie na wichurę. Stary dziwak nie lubi burzy tak samo jak ja.

Otworzył drzwi i wyskoczył na dwór. Ułamek sekundy później gwałtowny podmuch wiatru z hukiem zatrzasnął drzwiczki z powrotem. Z drugiej strony Oktawia zeskoczyła ze stopnia najpierw na szeroki bieżnik i wreszcie na ziemię.

Pod ostrzałem gradu siekącego jak kule z karabinu maszynowego puścili się pędem w stronę domu. Lars otworzył drzwi i oboje wpadli do środka przemoczeni do suchej nitki i potargani przez wichurę, ale przynajmniej bezpieczni.

Powietrze rozdarł kolejny ogłuszający grzmot. Lars rozpiął kurtkę, a Oktawia ściągnęła ociekający wodą kapelusz i rzuciwszy go w kąt, włączyła światła. Spojrzała na stary sejsmograf, który mieli zainstalowany w domu.

W obecnych czasach niewielu osadników zaprzętało sobie głowę monitorowaniem warunków meteorologicznych czy śledzeniem aktywności tektonicznej na planecie, ale Lars uznał za konieczne zamontowanie sejsmografów w stacjach wydobywczych na Dalekiej Włóce. Rzecz jasna to Oktawia musiała naprawić i zainstalować wiekowy sprzęt.

Była to jednak mądra decyzja. Ostatnio coraz częściej dochodziło do silnych drgań skorupy Bhekar Ro, a potem serii wstrząsów następczych, mających swoje epicentrum

głęboko w paśmie górskim po drugiej stronie następnej doliny.

Tylko tego nam brakuje, pomyślała Oktawia, patrząc z troską na sejsmogram. Jeszcze jednego powodu do zmartwień.

Lars również podszedł do urządzenia. Na długiej zygzakowatej linii widać było kilka drgnięć i szpiców, spowodowanych prawdopodobnie przez grzmoty, ale ani śladu większych ruchów sejsmicznych.

– To ciekawe – powiedział Lars. – Nie cieszysz się, że nie było dzisiaj żadnego trzęsienia?

Wiedziała, że to nastąpi, jeszcze zanim Lars dokończył zdanie. Być może było to jedno z jej przeczuć, a może po prostu deprimująca świadomość, że życie sprawia niemiłe niespodzianki, zawsze kiedy tylko ma do tego sposobność.

Właśnie w chwili, kiedy twarz Larsa rozjaśnił beztroski uśmiech, ziemia zadrżała, jak gdyby niespokojna skorupa Bhekar Ro cierpiała na senne koszmary. W pierwszej chwili Oktawia pomyślała z nadzieją, że to może tylko piorun uderzył gdzie wyjątkowo blisko, ale drzenie nie ustało, przeciwnie, nasilało się, kołysząc podłogą i wstrząsając całym prefabrykowanym domem.

Oboje wpatrywali się w szalejące wskaźniki sejsmografu.

– Odczyty nie mieszczą się w skali!

– A wcale nie jesteśmy w epicentrum – zauważyła ze zdumieniem Oktawia. – Ognisko jest piętnaście kilometrów stąd, pod górami!

– Cudownie. Niedaleko stamtąd ustawiliśmy cały sprzęt wydobywczy.

Wreszcie czujniki sejsmografu nie wytrzymały przeciążenia i urządzenie zamilkło zupełnie. Zdawało się, że wieczność minęła, zanim podziemne uderzenia zaczęły stopniowo słabnąć.

– Wygląda na to, że będziesz miała jutro co naprawiać – zauważył Lars.

– Zawsze mam co naprawiać – odparła Oktawia.

Na dworze impet nawałnicy sięgnął szczytu. Usiedli wyczerpani i w milczeniu próbowali przeczekać żywioł.

– Zagramy w karty? – zapytał Lars.

W tym momencie w całym domu zgasły światła. Nieprzeniknioną ciemność rozświetlały tylko laserowe wiązki błyskawic.

– Nie dzisiaj – odpowiedziała Oktawia.

Rozdział 2

Królowa Ostrzy.

Kiedyś nazywała się Sara Kerrigan, dawno temu, kiedy była kimś innym... kiedy była człowiekiem.

Kiedy była słaba.

Wsluchiwała się w odgłosy życia tętniącego wewnątrz pulsujących organicznych ścian zergańskiego ula. W mroku krążyły ogromne stwory, posłuszne każdej jej myśli, powołane do życia, aby wypełnić nadrzędny, wspólny cel.

Wykorzystując moc swego umysłu i władzę nad tymi przerażającymi, krwiożerczymi stworzeniami, przeistoczona Sara Kerrigan założyła na ruinach planety Char nowy ul. Ten ponury, szary świat, leżący w gruzach i tłący się od silnego promieniowania kosmicznego, przez długi czas był polem bitwy. Tylko najsilniejsi mogli tu przeżyć.

Drapieżna rasa Zergów wiedziała, jak się przystosować i przetrwać. To właśnie zrobiła Sara Kerrigan, aby się stać jedną z nich. Była psychouzdolnionym „duchem”, wyszkolonym wywiadowcą o telepatycznych zdolnościach i tajną agentką Konfederacji Terrańskiej, kiedy została porwana przez zergański Nadumysł i poddana transformacji.

Jej skóra, stwardniała dzięki pancerpolicimerowym komórkom, błyszczała srebrzystą zielenią. Wokół łagodnie lśniącego oczu widniały ciemne plamy. Może to były sińce, a może cienie. Włosy zamieniły jej się w długie meduzie wyrostki – segmenty połączone stawami jak ostre odnóża jadowitego pająka. Każdy włos wił się oddzielnie, kiedy w głowie Sary iskrzyło od coraz to nowych planów. Twarz nadal miała piękną i delikatną, zdolną uspić czujność człowieka na ułamek sekundy – wystarczająco długo, aby dać jej czas do ataku.

Niekiedy, gdy uchwyciła swoje odbicie w lustrze, przypominała sobie, jakie to było uczucie, być człowiekiem, piękną kobietą – oczywiście według ludzkich kryteriów. Prawie się nawet wtedy zakochała w pewnym mężczyźnie, Jimie Raynorze. On także ją kochał.

„Ludzkie uczucia są ich słabością.”

Jim Raynor. Próbowiła o nim zapomnieć. Gdyby musiała, zabiłaby bez skrępowania tego krzepkiego, dobrodusznego mężczyznę. Ani przez chwilę nie żałowała tego, co jej się przytrafiło. Miała teraz ważniejsze zadanie do spełnienia.

Sara Kerrigan nie była bowiem zwykłym Zergiem.

W historii swoich podbojów Zergi załęgały się wśród wielu różnych ras. W każdej z nich dokonywały mutacji i tak przetworzone ofiary zamieniały w swoich żołdaków. Czerpały obficie z bogatego katalogu DNA, przejmowały cechy fizyczne zainfekowanych gatunków i mogły tym sposobem zaadaptować się w każdych warunkach. Rój Zergów czuł się równie dobrze na zdewastowanej planecie Char, co w bujnej kolonii terrańskiej na Mar Sarze. Oba miejsca bardzo szybko stały się dla nich domem.

To była naprawdę wspaniała rasa.

Przemierzała galaktykę i lęła się w każdym miejscu, którego dotknęła, pożerając na swej drodze dosłownie wszystko. Nieraz ponosiła dotkliwe straty, stawała na granicy zagłady, a mimo to niezmiennie parła naprzód i siała spustoszenie.

Jednakże w ostatniej wojnie z Protossami i Konfederacją Terrańską zniszczono wszechmocny Nadumysł, a to niemal położyło kres rojom Zergów.

Początkowo zwycięstwo zdawało się pewne. Zergańskie armie rozpoczęły podbój dwóch pogranicznych kolonii terrańskich – na Chau Sarze i Mar Sarze, podczas gdy reszta Konfederacji nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Wtedy pojawiła się flota wojenna Protossów, z którą ludzie zetknęli się wtedy po raz pierwszy, i wysterylizowała powierzchnię Chau Sary. Niespodziewany atak udaremnił inwazję Zergów na tej planecie (unicestwiając zarazem miliony niewinnych ludzkich istnień). Konfederacja zareagowała zdecydowanie na tę nie spowodowaną agresję i dowódca Protossów nie miał odwagi zniszczyć drugiej planety. Zergi lęły się tam więc bez przeszkód.

W końcu napadły i obróciły w gruzy stolicę Konfederacji Terrańskiej, Tarsonis. Tam właśnie Sara Kerrigan, ludzki duch, tajna, psychouzdolniona agentka, została zdradzona przez swych wojskowych towarzyszy i zainfekowana przez Zergi. Nadumysł odkrył jej niewiarygodne zdolności telepatyczne i postanowił poruczyć jej specjalne zadanie...

Wówczas jednak na rodzinnej planecie Protossów, Aiurze, protossański wojownik zabił Nadumysł w samobójczym ataku. Został bohaterem, a zergański ul stracił przywódcę. Przeżyła tylko Sara – Królowa Ostrzy, i to właśnie ona otrzymała szansę pozbierania resztek tego, co pozostało z zergańskiej rasy.

Władza nad krwiożerczymi stworzeniami spoczywała teraz w jej szponiastych rękach. Stało przed nią ogromne zadanie przekształcenia planety Char w nowy ośrodek dla doskonałej rasy Zergów. Roje znów się odrodzą.

Wkrótce pod jej przewodnictwem kilku ocalałych robotników przekształciło się w wylęgarnię. Zergańscy wyrobownicy wydobywali minerały i inne bogactwa naturalne, aby po jakimś czasie z wylęgarni powstały bardziej wyszukane legowiska, a wreszcie całe ule. Kiedy w wylęgarniach pojawiły się liczne nowe larwy, można było wyhodować kolonie plechy, wznieść ekstraktory i założyć sadzawki wylęgowe. Po niedługim czasie organiczne podłoże plechy rozprzestrzeniło się na wypalanej powierzchni planety. Substancje odżywcze

zapewniały pożywienie i energię dla zróżnicowanych mieszkańców nowej kolonii.

Niczego więcej Sara Kerrigan nie potrzebowała do odrodzenia poturbowanej, ale niezwykłej rasy Zergów.

Siedziała w świetlnym kręgu. W jej głowie kłębiły się szczegóły raportów od dziesiątek ocalałych zwierzchników – potężnych umysłów, które prowadziły poszczególne roje w misje wyznaczone przez Królową Ostrzy. Nie odpoczywała, nie spała. Za dużo miała pracy, aby sobie na to pozwolić, za dużo planów musiała wcielić w życie. Krwawa zemsta czekała na wypełnienie.

Rozprostowała długie palce, wysunęła ostre niczym rapier szpony, którymi mogłaby wybebeszyć każdego przeciwnika – czy byłby to ten zdrajca rebeliant Arcturus Mengsk, czy generał Edmund Duke, który przez swoją nieudolność doprowadził do schwytania Sary i jej transformacji.

Popatrzyła na swój pazur i wyobraziła sobie, jak zagłębia go w obwisłych policzkach twarogłowego generała i obserwuje tryskającą, gorącą krew.

Chociaż nie zrobili tego, aby się jej przysłużyć, Edmund Duke i Arcturus Mengsk pomogli jej zostać Królową Ostrzy, osiągnąć pełnię mocy i rozbudzić szalejący potencjał. Jak mogła się za to na nich gniewać?

A jednak z rozkoszą by ich zabiła.

Dookoła, w ulu, uwijały się zerglingi – stworzenia wielkości psa, którego miała dawno temu, kiedy była małą dziewczynką. Kształtem przypominały jaszczurki, miały jednak ostre szpony i długie kły. Były to szybkie małe maszyny do zabijania, które spadały na nieprzyjacielską armię jak piranie i rozszarpywały żołnierzy na strzępy.

Sara Kerrigan uważała, że są śliczne, podobnie jak każda matka myśli o swoich drogich dzieciach. Pogłaskała błyszczący, zielonkawy bok najbliższego zerglinga. W odpowiedzi stworzenie przejechało pazurami po jej niezniszczalnej skórze i obsypało ją piaskotą delikatnych ukłuc. Był to zapewne wyraz przywiązania...

Obrzeża kolonii patrolowały hydraliski – najbardziej przerażające z zergańskich potworów – w górze zaś unosili się krabopodobni strażnicy, gotowi w każdej chwili wypuścić kwasowe pociski i zniszczyć każdy naziemny cel.

Tak, rój Zergów był bezpieczny i dobrze obwarowany.

Sara Kerrigan się nie martwiła, a już na pewno nie bała. Ale była ostrożna. Jej silne, stalowe mięśnie nie znały zmęczenia i chociaż w każdej chwili mogła zobaczyć wszystko oczami swoich poddanych, krążyła po ulu niespokojnie i bez spoczynku.

Po dawnej ludzkiej naturze została w niej ambicja i te bolesne dźgnięcia, które czuła, ilekroć przypominała sobie zdradę swych terrańskich zwierzchników. Nowym zergańskim genom zawdzięczała natomiast niezaspokojoną żądzę podboju.

W odległej przeszłości tajemnicza starożytna rasa Xel’Naga stworzyła swoje doskonałe dzieło – nieugięte i niezwykłej rasy Zergi. Sara uśmiechnęła się na myśl o ironii losu. Nowa

rasa okazała się tak doskonała, że w końcu obróciła się przeciwko swoim twórcom i zainfekowała samych Xel’Nagańczyków.

Teraz, kiedy władza nad wszystkimi rojami leżała w jej rękach, Królowa Ostrzy przyrzekła sobie, że poprowadzi Zergi ku ich przeznaczeniu – na sam szczyt wielkości.

A jednak, kiedy usiadła wreszcie i popatrzyła na te wszystkie istoty uwijające się niezmordowanie przy gromadzeniu pożywienia i przygotowaniach do wojny, poczuła w sercu delikatne drgnięcie ludzkiego współczucia.

Żal jej było każdego, kto stanie jej na drodze.

Rozdział 3

Następnego dnia, jak gdyby pogoda naigrywała się z mieszkańców planety, ranek na Bhekar Ro zaświtał jasny i bezchmurny. Oktawii przypomniały się fotoobrazy, jakie zawodowi poszukiwacze pokazywali jej dziadkom i innym kandydatom na kolonizatorów, aby ich tu zwabić.

Zresztą może nie wszystko było kłamstwem...

Kiedy razem z Larsem otworzyli szczelnie zamknięte drzwi, strużka deszczówki pociekła z cichym plaśnięciem na rozmokłą ziemię. Wysoko w powietrzu widać było kanciasty kształt jastrzębia szybownika, krążącego w poszukiwaniu potopionych jaszczurek wyrzuconych przez strumienie płynącej wody.

Oktawia wyszła na zabłocone podwórze, podeszła do roboźniwiarki i potrząsnawszy krótkimi brązowymi lokami, zabrała się do pracy. Obrzuciła nadwozie wprawnym spojrzeniem i natychmiast zauważyła liczne nowe wgniecenia od gradu, z którymi blacha wyglądała jak skórka cytrańczy. Rzecz jasna nikt na Bhekar Ro nie zawracał sobie głowy kosmetyką lakieru, ważne było, żeby sprzęt działał. I Oktawia z ulgą stwierdziła, że burza nie spowodowała żadnych poważnych uszkodzeń w podzespołach roboźniwiarki.

W całym mieście zaspani i potargani mieszkańcy wychodzili z domów, aby szacować straty, tak jak robili to tyle razy przedtem. Z sąsiedniego domu dochodziły odgłosy sprzeczki Abdela i Shayny Bradshawów, którzy patrzyli z przerażeniem, ile ich czeka napraw. Po drugiej stronie ulicy Kiernan i Kirsten Warnerowie machali do Cyn McCarthy. Młoda miedzianowłosa wdowa na przekór wszelkim klęskom żywiołowym pędziła z pogodnym uśmiechem na piegowatej twarzy w stronę domu burmistrza w centrum miasta. Dobroduszna Cyn miała zwyczaj oferowania się z pomocą wszędzie, gdzie ktoś mógł jej potrzebować, niestety równie często zapominała o złożonych obietnicach.

Ponieważ zmian pogody na Bhekar Ro nie dawało się przewidzieć, nie było tu też żadnych określonych pór burzowych, osadnicy bez przerwy walczyli ze zniszczeniami. Obsadzali stratowane pola na zmianę, to jęczmieniem niciowym, to pszenryżem, to znów mchem sałatkowym, licząc, że zbiory będą większe niż straty. Wytężali siły, aby zrobić dwa kroki do przodu, zanim przyjdzie im zrobić jeden krok wstecz.

Wyniszczająca plaga śnieci zabiła czterech najlepszych naukowców w kolonii, między innymi męża Cyn. Wyl McCarthy należał do drugiego pokolenia osadników i był specjalistą w dziedzinie inżynierii chemicznej. Przez pierwsze dziesięciolecia naukowcy pracowali nad zasobami i środowiskiem naturalnym planety, próbując wyhodować biologicznie zmodyfikowane rośliny i zwierzęta, które by miały większe szansę przetrwania na tej niegościnniej planecie. Free Haven przeżywało wówczas okres stabilizacji, a tereny orne stopniowo się powiększały.

Jednakże po śmierci czworga naukowców niewykształconych mieszkańców za bardzo pochłonęła codzienna walka o przetrwanie, aby zdobywać nowe umiejętności. Skupili się na pracy w polu, przy sprzęcie mechanicznym i w kopalniach. Od świtu do nocy zajmowały ich naglące sprawy, które nie zostawiały czasu na poszukiwania i prace badawcze. Panowała powszechna zgoda, wyrażona na głos przez burmistrza Nikolai, że badania naukowe są luksusem, na który będą sobie mogli pozwolić kiedyś w przyszłości.

– Coś poważnego? – zapytał Lars, kiedy jego siostra skończyła oględziny roboźniwiarki.

Oktawia postukała w pokieroszowane drzwiczki.

– Trochę nowych zadrapań, zwykła kosmetyka.

– Szlachetne blizny dodają urody. – Lars otworzył drzwiczki i z kabiny wylała się woda z roztopionego gradu. – Musimy pojechać na Daleką Włókę, sprawdzić sejsmografy i kopalnie. Wczoraj porządnie tam trzęsło.

Oktawia się uśmiechnęła. Znała swojego brata na wylot.

– A skoro już tam będziemy, zechcesz pewnie sprawdzić, czy wstrząsy przypadkiem czegoś nie odsłoniły...

Lars uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Przy okazji... Zarejestrowaliśmy przecież kilka porządnych tektonicznych podrygów. To może coś oznaczać. Sama dobrze wiesz, że nikt inny nie zada sobie trudu, żeby to sprawdzić.

Zrobotyzowane stacje meteorologiczne i sejsmograficzne, które naukowcy założyli kilkadziesiąt lat temu na drugim końcu doliny, nadal robiły pomiary i Lars od czasu do czasu pobierał dane. Większość osadników uprawiała tylko tyle ziemi, żeby utrzymać się przy życiu, wydobywała tyle minerałów, żeby naprawiać sprzęt i nie wychylała nosa poza swoją bezpieczną uprawną dolinę.

Kiedyś niektórzy koloniści próbowali zakładać osady poza główną doliną, niektórzy opuścili Free Haven w poszukiwaniu lepszej ziemi, ale jedna po drugiej te dalekie farmy padały ofiarą śnieci, chorób lub klęsk żywiołowych i zdziesiątkowani śmiałkowie wracali do miasta pokonani.

Lars uruchomił silniki. Oktawia weszła do roboźniwiarki i nie zdążyła jeszcze dobrze zamknąć drzwiczek, kiedy grube metalowe bieżniki ruszyły z miejsca. Inni osadnicy także wyjeżdżali na inspekcje pól. Po ich twarzach widać było, że przygotowują się na najgorsze.

Oktawia i Lars pojechali daleko w kierunku podgórze. Lars miał w sobie prawdziwego pionierskiego ducha – zawsze coś go gnało, żeby znaleźć nowe złoża mineralne, nowe gejzery vespenu, nowe żyzne ziemie. Podczas jednak gdy on zadowolony był samym dokonywaniem odkryć, Oktawia pragnęła spełnić marzenia rodziców i któregoś dnia zmienić Bhekar Ro w miejsce, z którego mogliby być dumni.

Wielki pojazd toczył się nierównym dnem doliny, mijając całe pola słabszych upraw, zmiecione przez burzę. Grad i pioruny przybiły wysokie łądygi do rozmokłej ziemi lub obły niedojrzałe owoce. Laserowe błyskawice wzniciły pożary w sadach.

Co bardziej przedsiębiorczy farmerzy uwijali się już na polach, aby ratować, co się da. Gandhi i Liberty Ryanowie pracowali w pocie czoła nad wznoszeniem baniek ochronnych wokół sadzonek. Pomagała im trójka dzieci oraz ich adoptowany pomocnik, Brutus Jensen. Cała piątka pracowała w milczeniu, zbyt zmęczona, aby rozmawiać. Brutus pomachał Brenom na powitanie, a Ryanowie zaledwie skinęli głowami.

Kilka kilometrów dalej droga zamieniała się w szeroką ścieżkę. Zatrzymali się na granicy terenu, który oficjalnie stanowił terytorium kolonii. Tu znajdowała się rafineria gazu.

– Hej, Rastin! – nie wyłączając silników, Lars zawołał w kierunku chałupy i kilku magazynów. – Wyłaź z tej graciarni i podczep nas. Chcemy zatankować! A może się nawąchał za dużo vespenu?

Po krótkiej chwili zza dudniących i syczących urządzeń wyłonił się starszawy kościsty właściciel rafinerii. Jednocześnie spod ganku wyczołgało się ogromne psisko przypominające błękitnego mastifa. Zwierzę zjeżyło sierść i zaczęło groźnie warczeć.

Oktawia wyskoczyła z roboźniwiarki i klasnęła w dłonie.

– Chodź no tu, Blue, ty stara zrędo! Nie oszukasz mnie.

Pies zaszczekał radośnie i merdając grubym ogonem, pognał w podskokach w stronę dziewczyny. Oktawia poklepała go po głowie, na próżno usiłując uchronić swój kombinezon przed zabłoconymi łapami rozradowanego olbrzyma.

Mężczyźni tymczasem narzekali na nocną nawałnicę, to znów obrzucali się złośliwymi przytykami. Rastin jednak, nie tracąc ani minuty, niezwłocznie przystąpił do napełniania baku roboźniwiarki. Oktawia nieraz się zastanawiała, czy ta gorliwość wynika z pracowitości starego, czy raczej z chęci, aby jak najszybciej pozbyć się gości.

Rastin był jednym z niewielu żyjących jeszcze pierwszych osadników. Przez czterdzieści lat mieszkał samotnie i starał się unikać kontaktów z resztą kolonii. Od początku pragnął uciec jak najdalej od Konfederacji Terrańskiej i najchętniej osiedliłby się sam na jakiejś bezludnej planecie, ale ponieważ było to niemożliwe, uznał, że mała kolonia na Bhekar Ro jest najlepszym, co może znaleźć. Mieszkał w nieustannie naprawianej chałupie, wybudowanej z najróżniejszych zbywających materiałów. Postawił rafinerię wokół czterech gejzerów vespenu, z których czynne były tylko trzy, ale zaspokajały skromne potrzeby kolonii.

Napełniwszy zbiornik roboźniwiarki, Rastin odprawił rodzeństwo niechętnym machnięciem ręki, które równie dobrze mogło być wyrazem obrzydzenia.

Oktawia poklepała psa na pożegnanie, po czym wsiadła z powrotem do kabiny. Stary Blue tymczasem z gracją podrygującego muła pognał za jakimś włośchatym gryzoniem, którego dojrzał między kamieniami.

Rastin wrócił do dłubania przy sprzęcie, gderając pod nosem, bo w czasie trzęsienia ziemi z jednej ze stacji przestał się wydobywać gaz. Stary kopnął w pompę z całej siły, ale nawet ta wypróbowana metoda naprawcza nie obudziła gejzeru.

Brenowie zostawili rafinerię za sobą i ruszyli w górę, w stronę pasma gór otaczających dolinę. Teren stawał się coraz bardziej wyboisty. Ich Daleka Włóka leżała poza obszarem wytyczonym przez współpracujące rodziny jako potencjalna ziemia uprawna. Tam prawo do złóż i zasobów mogło należeć do każdego, kto miał dość czasu i ambicji, aby powiększać gospodarstwo. Oktawia i Lars zajęli więc ten teren i w efekcie uprawiali teraz więcej niż niegdyś ich rodzice i dziadkowie.

Ranek robił się coraz cieplejszy, pomarańczowe słońce pięło się po niebie i rozpraszało cienie, a roboźniwiarka brnęła po stromym zboczu ścieżkami, którymi dotąd jeździli tylko Brenowie.

– Stacje dalej nie odpowiadają, tyle tylko mogę powiedzieć – stwierdził Lars ponuro.

Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, okazało się, że zautomatyzowane stacje wydobywcze stoją przechylone na słupach kotwicznych. Uszkodzenia musiały być poważne.

– Idź tam, ty jesteś fachowcem – powiedział Lars.

Z ciężkim westchnieniem Oktawia wyszła z roboźniwiarki i zaczęła oglądać urządzenia, żeby ocenić, jakie naprawy będą konieczne. Ku jej zdziwieniu i rozpaczycy na panelu kontrolnym głowicy paliły się prawie wszystkie czerwone lampki ostrzegawcze.

Kiedy działały normalnie, stacje wydobywcze przenosiły się po skalistej powierzchni, pobierając próbki skał i oznaczając miejsca ze złożami mineralnymi. Potem ustawiały głowice obróbcze i zaczynał się proces wydobycia aż do całkowitego wyeksploatowania żyły. W tym samym czasie mechaniczny szperacz kontynuował poszukiwania następnych złóż.

Lars zostawił siostrę przy pracy.

– Idę na górę obejrzeć sejsmografy. Może uda mi się samemu je naprawić.

Oktawia stłumiła niedowierzające prychnięcie.

– Proszę bardzo. Czuj się jak u siebie w pracy.

Lars wspinał się po skałach, aż dotarł na szczyt przełęczy, skąd rozciągał się widok na następną dolinę.

Oktawia była tak pochłonięta pracą, że nawet nie zauważyła, jak długo tam stał zupełnie oniemiały ze zdumienia.

– Oktawio! Chodź tutaj!

Oktawia spojrzała w górę, zatrzasnęła drzwiczki głowicy i wstała.

– O co chodzi?

Lars wszedł na wystającą skałę, żeby widzieć jeszcze lepiej i gwizdnął przeciągle.

– No, no, no. To dopiero ciekawe.

Oktawia ruszyła w górę, zastanawiając się, jakich sztuczek będzie musiała użyć, żeby doprowadzić stacje do stanu używalności. Wiedziała, że Lars nie potrafi się skupić na jednym zadaniu.

Kiedy znalazła się na szczycie i spojrzała na drugą stronę gór, od razu rzuciły jej się w oczy skutki wczorajszego trzęsienia ziemi. Z dna doliny unosiły się ku górze opary vespenu z nowych gejzerów, odsłoniętych przez podziemne drgania. Powietrze zasnuwały kłęby srebrzystej mgiełki, która mogła zaopatrzyć kolonię w paliwo na następnych kilkadziesiąt lat.

Ale to nie gejzery przykuły uwagę Larsa.

– Jak myślisz, co to jest? – zapytał, pokazując palcem postrzępiony grzbiet górski po drugiej stronie doliny, jakieś dwanaście kilometrów od Free Haven.

Przed trzęsieniem ziemi sterczała tam wysoka stożkowata góra, charakterystyczny punkt topograficzny okolicy. Ale to było wczoraj.

Gwałtowna burza i silne wstrząsy wywołały potężną lawinę kamienną, która odłupała cały bok góry. Pokruszone skały odpadły od zbocza niczym strup z poszarpanej rany, odsłaniając w jej wnętrzu coś niezmiernie dziwnego i zupełnie nienaturalnego.

I to coś świeciło.

* * *

Potężny pojazd toczył się po nierównym terenie, zgniatając kołami kamienie. Wjechali na przełęcz, po czym ruszyli w dół najdogodniejszą, krętą drogą, prowadzącą do sąsiedniej doliny. Lars pędził jeszcze szybciej niż zwykle, ale Oktawia nie narzekała. Tym razem ciekawość zżerała ją tak samo jak brata.

Mijali syczące gejzery, jechali przez chmury szczypiącego gazu. Roboźniwiarka zostawiała w błotnistym dnie doliny głębokie bruzdy. Przed nadjeżdżającym pojazdem umykały małe zwierzątka, których Oktawia nigdy nie widziała na oczy, ale które na pewno nie nadawały się do jedzenia.

Wreszcie zatrzymali się w miejscu, gdzie spadła lawina u podnóża zawalonego górskiego zbocza. Oboje wpatrywali się w ogromny masyw zafascynowani i oszołomieni. W następnej chwili jednocześnie wyskoczyli z kabiny po obu stronach roboźniwiarki. Żadne nie miało bladego pojęcia, co to może być.

Zagrzebany niegdyś głęboko we wnętrzu góry, zadziwiający relikw pulsował teraz życiem niczym gigantyczny żywiczny ul. Strzeliste, grudowate ściany usiane były otworami wentylacyjnymi albo wejściowymi. Budowla robiła wrażenie, jakby wzniesiono ją bez żadnego zamysłu, żadnego rozsądnego planu. Nie przychodził Oktawii do głowy żaden sensowny cel, do którego mogłaby służyć ta osobliwa konstrukcja.

Nie ulegało natomiast wątpliwości, że było to dzieło obcej cywilizacji. I że ściany tego lśniącego artefaktu były organiczne.

– Zdaje się, że nie jesteśmy na tej planecie sami.

Rozdział 4

Porzucony świat nie miał żadnej nazwy, która by się przechowała. Planeta była nie zbadana, nie wykazywały jej nawet najbardziej szczegółowe mapy Protossów.

Xerana weszła do środka zapiaszczonych ruin. To musiał być posterunek Xel’Nagi. Uczona Protossanka była prawdopodobnie pierwszą żywą istotą, która postawiła w tym miejscu stopę od czasu, gdy starożytni przodkowie odeszli w przeszłość i legendę. Ze wzruszeniem i żalem myślała o tym, że nigdy nie będzie mogła podzielić się tą wiedzą ze swymi pobratymcami.

Żwir chrzęścił jej pod szerokimi, guzowatymi stopami. Nie było wątpliwości, że stało tu przed wiekami wspaniałe miasto. W nieruchomym powietrzu unosił się ciężki zapach kurzu i tajemnicy.

Xerana, podobnie jak inni czarni templariusze, została wykluczona ze swojej społeczności, wygnana z ukochanego rodzinnego świata Aiur. Kiedy kasta sędziów nakazała, aby wszyscy Protossi bez wyjątku wkroczyli na drogę Khali – telepatycznej unii jednoczącej Protossów w jeden ocean myśli – czarni templariusze odmówili podporządkowania się tej decyzji. Zostali banitami. Prześladowano ich, ponieważ się obawiali, że Khala pozbawi ich indywidualności i roztopi ich świadomość w jednym ogólnym umyśle.

Chociaż nieugięci sędziowie wygnali ich i ścigali po dziś dzień, banici nie żywili do swego ludu nienawiści. Legendarna rasa Xel’Naga stworzyła wszystkich Protossów. Wyznawcy Khali nie zgadzali się z czarnymi templariuszami w podstawowych kwestiach, ale Xerana i jej towarzysze nadal uważali Pierworodnych za swych braci i siostry.

A ponieważ pragnęli się samodoskonalić, czerpiąc wiedzę i moc ze źródeł, o których inni Protossi nawet nie chcieli myśleć, znajdowali wciąż nowe informacje. Sama Xerana wykopała mnóstwo reliktyw Xel’Nagi i odkryła wiele tajemnic Pustki. Pozostali Protossi nie posiadają tej wiedzy, dopóki trwać będą w nienawiści do czarnych templariuszy.

Xerana wyszła z powrotem na dwór i w świetle pomarańczowego słońca, które nadawało nieruchomej okolicy niesamowity wygląd, przechadzała się między zapyłonymi gruzami. Nawet jak na templariuszkę była wyjątkową samotniczką. Z obsesyjnym uporem poświęcała się szukaniu wszelkich śladów starożytnej rasy, która stworzyła Protossów, a dużo później

ohydne Zergi.

Erozja zatarła wszelkie interesujące ślady życia na tej planecie. Zostały nagie ruiny. Mimo to Xerana nie poddawała się zniechęceniu i kopała dalej.

Spojrzała na szarawą warstwę chmur, zasnuwającą pomarańczowe niebo. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie nadchodzi burza i czy nie powinna się schronić. Chmury jednak rozwiały się wkrótce jak dym i uczona wróciła do przeszukiwania gruzów.

Kiedy zapadł zmrok, próbowała sobie wyobrazić, co robili tu o tej porze Xel’Nagańczycy. Z pewnością przechadzali się w zmierzchającym świetle i Xerana podążała teraz ich śladami.

Członkowie pradawnej cywilizacji, zwani również Wędrowcami z Oddali, byli pokojowo nastawioną i łagodną rasą, oddaną wiedzy i szczytnemu celowi przekształcania wszechświata ku coraz wyższym, rozumnym formom życia. Po wielu wcześniejszych eksperymentach, wylądowali na zielonej planecie Aiur i poświęcili się dyskretnemu prowadzeniu jej mieszkańców przez różne stadia ewolucji i cywilizacji, aż stali się oni Protossami, czyli Pierworodnymi.

Gdy jednak zadowoleni ze swego dzieła Xel’Nagańczycy w końcu się ujawnili, wywołali nieopisany chaos, który ogarnął całą planetę. Wśród plemion Protossów nastąpił rozłam, każde z nich zaczęło szukać dróg rozwoju na własną rękę. Niektóre nawet obróciły się przeciwko starożytnym Wędrowcom z Oddali, zmusiły ich do opuszczenia planety, po czym zaczęły atakować inne plemiona, pograżając swój świat w długotrwałych i krwawych wojnach domowych, znanych w historii rasy jako Era Konfliktów.

Wreszcie Protossom udało się uleczyć swoją cywilizację, jednocząc ją religijną i telepatyczną więzią zwaną Khala. W ciągu stuleci Khala pozwoliła im odrodzić się i urosnąć w siłę. W następstwie tego jednak wytworzył się w społeczności protossańskiej sztywny system kastowy, ograniczeniu uległa niezależność myśli, zatarły się różnice między indywidualnościami. Nieustępliwi przywódcy polityczno-religijni, nazywani sędziami, narzucili całej rasie bezwzględny przymus przynależności do Khali.

Kilka plemion Protossów nie podporządkowało się Khali i żyło w odosobnieniu, pielęgnując swój bezcenny indywidualizm. Przez długi czas istnienie tych renegatów trzymano w ścisłej tajemnicy, ale potem nadeszła fala prześladowań. W efekcie konklawe sędziowskie wyгнаło „bandyckie plemiona”, zagoniło je na opuszczony statek Xel’Nagi i wysłało w Pustkę.

Wygnańcy ci zostali czarnymi templariuszami. Dochowali wierności swej rasie, która skazała ich na banicję, ale pozostali także wierni owej niezaspokojonej żądzy wiedzy i palącemu pragnieniu poznania własnych korzeni. Ponad wszystko inne Xerana pragnęła się dowiedzieć, dlaczego Xel’Nagańczycy pogodzili się z porażką, dlaczego nigdy nie powrócili na Aiur i czemu później poświęcili się stworzeniu okropnej rasy Zergów.

Podobnie jak inni członkowie jej grupy Xerana była nie tylko badaczką i uczoną, ale

również wojowniczką. Udało jej się odnaleźć i odcyfrować sporą część z dorobku myśli Xel’Nagi. Również inni templariusze nie upadali w wysiłkach i wydzielali Pustce sekrety jej mocy, poznawali tajemne techniki psychotelepatyczne, których inni Protossi nie rozumieli.

Nieprzenikniony mrok zapadł już na ten bezimienny świat, a Xerana wciąż jeszcze nie wróciła na swój wielki statek krążący na orbicie. Ognistozłote oczy przystosowały się do ciemności, wyczulił się jej telepatyczny zmysł i nieustrudzona badaczka kontynuowała poszukiwania. Jej smukłe, silne ciało okrywały ciemne szaty, spięte szeroką szarfą z hieroglificznym napisem – znak naukowej profesji. Nigdy nie nosiła ubrań dla wygody – zawsze jako oficjalny symbol pełnionej funkcji. Do szerokiego kołnierzyka przypiętą miała cienką grawerowaną tabliczkę. Było to jej najcenniejsze znalezisko i największy skarb – fragment inskrypcji wyrzytej ręką starożytnego, dawno zapomnianego xel’nagańskiego poety.

Kawałek dalej znalazła roztrzaskane kamienne kolumny, wypolerowane do gładkości przez czas. Xerana umiała w tym bezładnym gruzowisku rozpoznać układ architektoniczny, podobny do tego, jaki widywała w świątyniach na innych planetach. Kamienne kolumny ustawiane były według precyzyjnego wzoru, jak gdyby miały za zadanie skupiać kosmiczną energię.

Oczywiście filary się zawaliły, przytłoczone ciężarem wieku, bombardowane promieniowaniem kosmicznym i pulsującym upałem, oczyszczone w ciągu mileniów przez wiatr, który w tym świecie mieniącym się niespodziewanymi kolorami, był delikatny niczym oddech niemowlęcia.

Wszędzie wokół siebie Xerana wyczuwała obecność Xel’Nagi, słyszała szepty, które ją prowadziły...

Wiedziona impulsem kopnęła jakiś pokruszony głaz i nagle pod spodem, pod ochronną warstwą skały dostrzegła zaokrąglony jasny kamień zagłębiony w miąższości ziemi.

– O...

Wydłubała przedmiot z ziemi i zobaczyła maleńki fragment obelisku. Na zwietrzałej i spalonej powierzchni nadal zachowało się kilka niewyraźnych piktogramów. Czując, że znalazła to, po co tu przyjechała.

Zadowolona ze znaleziska wróciła na statek i wysłała go na powrót w samotną czarną przestrzeń. Zaraz potem przystąpiła do badania swego skarbu.

* * *

W ciszy i osamotnieniu, ponieważ nie miała żadnych towarzyszy podróży, usiadła pomiędzy wszystkimi eksponatami, które zdobywała przez całe swoje życie. W ciągu długich lat odwiedziła niezliczone planety i zbierała sporą kolekcję zabytków Xel’Nagi. Naturalnie wszystkich tych skarbów Xerana nie traktowała jako swojej wyłącznej własności. Każdy znaleziony przedmiot był maleńką częścią klucza do wiedzy, której czarni templariusze tak pożąдали.

Niezliczone godziny spędziła Xerana na medytacjach, próbując złożyć w jedną całość wszystko, co wiadano o starożytnej rasie, by w ten sposób uzyskać świeże spojrzenie na to, co dotychczas wymykało się poznaniu. Prawie sto lat strawiła na poszukiwaniu odpowiedzi w zimnej Pustce, a także w tętniących genach swojej rasy. W jednym z pomieszczeń, dokąd szła, kiedy pozwalała sobie na rzadkie chwile nostalgii, zgromadziła wiele pamiątek z ukochanej planety Aiur, której nie miała nadziei więcej zobaczyć.

Oglądała uważnie ukruszony fragment obelisku. Po długim czasie, kiedy doprowadziła się prawie do transu, dostrzegła wreszcie podobieństwo pomiędzy nowym znaleziskiem a jednym z jej starszych wykopalisk i udało jej się odczytać runy. Następnie przetłumaczyła tekst – być może fragment wiersza, a może legendy, którą dawni Xel’Nagańczycy opowiadali sobie, gdy zapadały ciemności.

Może dzięki temu okrucinowi informacji uda jej się powiększyć obszar historii znanej już czarnym templariuszom. Może dzięki niemu odkryje związek pomiędzy innymi, pozornie nie powiązanymi relikami.

Czuła, jak wzbiera w niej podniecenie i duma, choć doskonale wiedziała, że wiele tajemnic czeka jeszcze na odkrycie. A jednak coś jej mówiło, że zbliża się przełom, że odpowiedzi na jej najważniejsze pytania są tuż, tuż, gdzieś na wyciągnięcie ręki.

Rozdział 5

Pod dowództwem generała Edmunda Duke'a okręty wojenne Eskadry Alfa były postawione w stan ciągłej gotowości bojowej, a żołnierze wręcz palili się do walki.

Pierwszy konflikt z Zergami i Protossami spustoszył pograniczne kolonie na Chau Sarze i Mar Sarze, jak również siedzibę Konfederacji na Tarsonis oraz rodzinną planetę Protossów, Aiur.

Duke nienawidził obcych – każdej maści. Nieraz budził się w środku nocy zawinięty w przepecone prześcieradła, które we śnie próbował udusić własnymi rękami.

Pośród wojennego wrzenia charyzmatyczny rebeliant Arcturus Mengsk, przywódca bezwzględnych Synów Korhala, przechwycił władzę nad Konfederacją Terrańską i koronował się na nowego imperatora. Duke nie uważał Mengska za honorowego człowieka, ani godnego zaufania, ani nawet szczególnie zdolnego. W końcu to był tylko polityk.

Rząd się wprowadził, ale wojsko zostało. Duke po prostu wypełniał swoje obowiązki, a ponieważ chciał się utrzymać na stanowisku dowódcy, bez skrupułów wykonywał wszystkie polecenia imperatora Arcturusa Mengska. Generał wiedział, kto wydaje rozkazy.

W czasie wojny wiele statków uległo zniszczeniu, w tym również jego flagowy Norad II. Od tamtej pory jednak imperator Mengsk wpompował kupę pieniędzy w uzbrojenie. Uszkodzone statki Eskadry Alfa zostały odnowione, broń zaopatrzona w amunicję i cała flota znów wysłana w przestrzeń.

Wraithy, krążowniki, statki badawcze, desantowce – wszystko gotowe do wyprawy w najniebezpieczniejsze zakątki galaktyki. Ohydne Zergi i przekłęci Protossi nadal gdzieś się tam czają.

Eskadra Alfa opuściła Korhal – nową stołeczną planetę imperatora. Wiele lat temu Konfederacja zniszczyła rebeliancką planetę Mengska, ale, jak się okazało, to Arcturus miał być tym, który się śmieje ostatni. A generał Duke zachował dowództwo. Nic więcej się dlań nie liczyło.

Przez wiele miesięcy statki Eskadry Alfa wykonywały rutynowe zadania zwiadowcze: oznaczały na mapach potencjalne planety kolonialne, przywracały urwany kontakt z innymi.

Trudno było Duke'owi wyobrazić sobie nudniejsze zadanie, zwłaszcza dla tak genialnego stratega jak on i tak oddanych żołnierzy jak jego podkomendni.

Jednakże sytuacja polityczna w nowo uformowanym Dominium Terrańskim była niestabilna i Mengsk utworzył z własnych ludzi gwardię imperatorską, która stacjonowała w pobliżu jego rodzinnej planety. Najwyraźniej generałowi Duke'owi nie udało się dotąd przekonać imperatora o swojej lojalności, tak więc Eskadra Alfa została oddelegowana dostatecznie daleko, aby nie przysparzać kłopotów.

Duke zresztą nie lubił się wdawać w politykę, więc jeśli te dwa złośliwe gatunki kosmitów chcą nowej batalii, jest gotów przyjąć wyzwanie. Przekłęci obcy! W tych dzikich rejonach galaktyki, nie oznaczonych na żadnych mapach, generał spodziewał się zdobyć więcej informacji i odkryć więcej twierdz krwiożerczych Zergów i zdradzieckich Protossów niż w cywilizowanych sektorach.

Po długim czasie spędzonym na jałowym patrolowaniu, Duke zrobił przegląd rezerw, ocenił zdolność bojową floty, po czym wydał rozkazy, aby Eskadra Alfa zatrzymała się w najbliższym rejonie pasa asteroid bogatym w złoża vespenu. Wbrew zaleceniom imperatora miał zamiar wypakować statki po brzegi zapasami paliwa i surowców. Stał teraz na swoim odbudowanym i gruntownie odnowionym krążowniku, nazwanym po remoncie Noradem III, na czele sił, o jakich mógłby tylko marzyć każdy inny generał.

Był gotowy do akcji.

Szkoda tylko, że zamiast przystąpić do walki, musiał odrabiać prace domowe z... socjologii. Czy naprawdę imperatora Mengska interesuje sytuacja społeczna jakichś nic nie znaczących kolonii na peryferiach galaktyki? Nowy władca Dominium Terrańskiego musi chyba mieć większe zmartwienia.

Duke podszedł do iluminatorów i obserwował, jak jego oddziały wykonują swoje zadania w przestrzeni. Wszystkie jednostki Eskadry Alfa pracowały szybko i wydajnie, i to nie po to, żeby zrobić wrażenie na dowódcy. Po prostu jego żołnierze byli świetni w tym, co robili. On sam się o to postarał.

W słabym polu grawitacyjnym cieniutkie smugi srebrzystego gazu uchodzącego w przestrzeń z vespenonośnych asteroid nadawały skalnym bryłom wygląd wygasających komet. Ruchome pojazdy konstruktorskie, zwane w skrócie SCV-ami, wyszukiwały najbogatsze gejzery i siadały na powierzchni asteroid, aby tam z miejscowych surowców zbudować naprędce rafinerie do wychwytywania i oczyszczania gazu. SCV-y uwijały się jak pszczoły nad kwiatami miodnymi, zbierając gaz, to znów spiesząc na statki z pełnymi beczułkami paliwa.

Wkrótce flota generała Duke'a będzie gotowa do każdej misji... której nie miała.

Tankowanie trwało dokładnie tyle, ile powinno, i przebiegło zgodnie ze standardowymi procedurami operacyjnymi. Generał przemierzał pokład, zerkał na monitory, wydawał rozkazy oficerom i polował na jakieś pożyteczne zadanie dla swojej floty. Tymczasem

szperacze w zasilanych skafandrach wydobywali inne cenne minerały, aby zaopatrzyć statki w maksimum zapasów.

Nagle odezwał się nawigator, a zarazem oficer uzbrojenia, porucznik Scott.

– Panie generale, chciałbym o coś zapytać. Czy mogę mówić otwarcie?

Przystojny i bezpośredni porucznik cieszył się dużym szacunkiem żołnierzy.

– Zakładam, że wszyscy moi oficerowie mają głowę od myślenia, poruczniku. W przeciwnym wypadku zażądałbym załogi złożonej z robotów.

Tylko dlatego, że był tak bardzo znudzony, Duke pozwolił swemu podkomendnemu na tę śmiałość, w każdej innej sytuacji porucznik usłyszałby jedynie reprimendę.

– Przypuszczam, że ma pan jakiś plan, panie generale – powiedział Scott. – Czy czekamy na odpowiednią chwilę, żeby wykonać swój ruch?

– Ja zawsze mam plan – burknął Duke.

– Można wiedzieć, jaki jest pański plan, panie generale? Czy uderzymy na nielegalne Dominium i obalimy imperatora Mengska? Czy pomożemy ustanowić rząd emigracyjny dla dawnej Konfederacji Terrańskiej?

– Dość tego, poruczniku! – ryknął Duke. – Gdyby imperator to usłyszał, skazałby pana za zdradę stanu.

– Ale, panie generale, przecież to są rebelianci – powiedział Scott niepewnie. – Synowie Korhala byli naszymi wrogami.

Duke walnął pięścią w pulpit.

– Obecnie to jest pełnoprawny rząd wszystkich Terrańczyków. Mam sam zostać rebeliantem tylko po to, żeby się zemścić na innej zgrai buntowników? Przypomnę panu, że naszym obowiązkiem jest wykonywać rozkazy głównodowodzącego. Tak się składa, że po zniszczeniu Tarsonis i rozgromieniu Zergów naszym legalnym politycznym przywódcą jest imperator Mengsk. Lepiej, żebyś o tym nie zapominał, synu.

Porucznik Scott zorientował się, że powinien zachować dalsze komentarze dla siebie. Duke zniżył głos. Wiedział, że wszyscy żołnierze niecierpliwą się, aby uderzyć na znieawidzonych obcych.

– Toczmy walkę w imieniu rasy ludzkiej, poruczniku. Pamiętajmy o tym, co jest naszym nadrzędnym celem.

Pozostali oficerowie, z których wielu prawdopodobnie myślało tak samo jak porucznik Scott, wzięli sobie do serca to upomnienie i czym prędzej powrócili do swoich pilnych obowiązków.

Generał usiadł w fotelu dowódczym i obserwował końcowe etapy zmudnych operacji w pasie asteroid. Dowódca wojskowy musi nieustannie mieć na uwadze ostateczny cel. Duke nigdy nie zaniedbywał drobiazgów. Na wyniku wojny może zaważyć maleńki szczegół przeoczony przez beztroskiego oficera.

Eskadra Alfa zawsze się szczyliła tym, że szła do walki jako pierwsza jednostka i jako

pierwsza kończyła. Tyle że tym razem nie było dokąd iść. Nawet kiedy uzupełnianie zapasów na asteroidach dobiegnie końca i statki znów ruszą w powolną podróż w przestrzeni, nic ciekawego się nie wydarzy. Generał Duke miał bolesną tego świadomość.

Przekazał dowodzenie zaskoczonemu porucznikowi Scottowi i udał się do swojej kwatery. Obecna misja nie mogła przynieść żadnej strategicznej korzyści, generał postanowił więc podszlifować swoje umiejętności.

Kolejne trzy dni spędził w swojej kajucie przed ekranem komputera, podejmując ekscytujące wyzwania w strategicznych grach wojennych. Wszystko po to, rzecz jasna, aby wyostrzyć swoje dowódcze zmysły. Rozgrywał scenariusz za scenariuszem i rozgrywał komputer za każdym razem.

Mimo to coraz bardziej męczyła go bezczynność. W końcu był naprawdę człowiekiem czynu.

Rozdział 6

Oktawia i Lars stali u stóp zrujnowanego stoku, gdzie lawina skał i ziemi odsłoniła obcy obiekt.

Oktawia oparła się o roboźniwiarkę. Z zabłoconego nadwozia posypał się na ziemię brunatny kurz. Przejechała ręką po włosach i w milczeniu przyglądała się złowieszczej pulsującej budowli, podczas gdy jej brat, w którym jak zwykle ciekawość i niecierpliwość wzięły górę nad rozsądkiem, pognął do przodu. Cały Lars. Zawsze chciał być najlepszy, biegać najszybciej, budować najwyższe konstrukcje, dotrzeć na szczyt przed innymi. Także i teraz, pomagając sobie rękami, piał się już po ostrych krawędziach skał, które odpadły od zbocza w czasie burzy i trzęsienia ziemi.

Oktawia ruszyła za nim. Z trudem łąpała oddech. W powietrzu unosił się dziwny kwaśny zapach. To odsłonięte wnętrze góry pachniało stęchlizną. Koloniści wiedzieli z doświadczenia, że niewiele roślin mogło rosnąć w ziemi Bhekar Ro. Oktawia była przyzwyczajona do tego zapachu i rzadko go w ogóle zauważała, może jedynie po silnych deszczach. W fotoksiążkach widywała światy rolnicze porośnięte soczystą zielenią roślin uprawnych, ale nigdy nie była pewna, czy można wierzyć w takie fantazje.

Wspinała się za bratem, brudząc sobie ręce i ubranie, ale brud na ich planecie był tylko jeszcze jednym elementem codzienności.

– Chodź, popatrz na to! – zawołał Lars i Oktawia w kilka chwil znalazła się przy nim.

Z obnażonego zbocza wystawały kryształy przypominające kształtem olbrzymie płatki śniegu, a każdy fragment był dłuższy od ludzkiego ramienia. Przezroczysty materiał kipiał niezwykłą energią. Oktawia przyłożyła do niego dłoń. Gładka powierzchnia była zaskakująco zimna, ale nie lodowata. Na skórze, w zagłębieniach linii papilarnych dziewczyna poczuła delikatne mrowienie, jakby energia kryształu odwzorowywała i analizowała jej strukturę komórkową.

– To dopiero ciekawe – powiedział Lars. Orzechowe oczy błyszczały mu z emocji. – Jak myślisz, do czego mogłyby się przydać? Możemy tym zapakować całą roboźniwiarkę.

– I co będziesz z nich robił? Monstrualne korale dla farmerek? – zapytała Oktawia.

Zabrała rękę od kryształowej powierzchni, ale na skórze dalej czuła mrowienie.

Lars uśmiechnął się szeroko.

– Nie wiem jak farmerki, ale Cyn McCarthy mogłaby takie chcieć.

Oktawia uniosła brwi. No, proszę, a więc jej niezależny braciszek zauważył jednak, że młoda atrakcyjna wdowa interesuje się nim z nader osobistych powodów. Może jednak nie jest taki ciemny, jak myślała. Nie miała zamiaru go peszyć.

– No dobrze, przyznaję, że te kryształy mogą być użyteczne, ale zanim zaczniesz snuć dalekosiężne plany, bądź przez chwilę rozsądny. Kilka minut, dobrze? Proponuję, żebyśmy się rozejrzeli i przede wszystkim niczego nie ruszali, zanim nie dowiemy się czegoś więcej.

Lars rzucił jej łobuzerski uśmiech i już się wspinał wyżej, w stronę połyskującej labiryntowej konstrukcji.

– Żeby się czegoś dowiedzieć, trzeba tu trochę powęszyć. Rozdzielmy się, w ten sposób obejdziemy większy teren.

– Nie podoba mi się ten pomysł – odpowiedziała Oktawia, ale zanim dokończyła, wiedziała już, że jej rozentuzjasmowany brat zlekceważy ostrzeżenie.

– Ty będziesz ostrożna i ja będę ostrożny, a jak się rozdzielimy, to zdążymy jeszcze przed południem naprawić sejsmografy.

Oktawia zacisnęła usta i nawet nie próbowała protestować. O sejsmografy martwiła się akurat najmniej.

Przepiękne krystaliczne formacje wystawały dookoła pod różnymi kątami niczym kolce jaszczurki jeżowej. Lars jednak poszedł prosto do osobliwej ściany, która fascynowała go swoją tajemniczością i przyciągała z nieodpartą siłą.

Oktawia chodziła powoli, przystając raz po raz, aby obejrzeć kryształy. Próbowała odgadnąć, jak rosły, skąd się wzięły. Wyglądały, jakby je tu posadzono. Tylko po co? Jako punkty orientacyjne? Konstrukcje obronne? Jakaś forma wiadomości?

Sapiąc i pocąc się, chociaż wysiłek ani na moment nie starł z jego twarzy szerokiego uśmiechu, Lars dotarł do dziwnych poskręcanych powierzchni, które tworzyły mury obiektu. Były zrobione z perlizowanej substancji i lśniły od środka niczym jakiś stwardniały bioluminescencyjny śluz. Chłopak cofnął się i zlustrował wzrokiem całą ogromną budowlę. Od pierwszego rzutu oka na jego zmarszczone czoło i rozbiegane oczy Oktawia wiedziała, że nie rozmyśla bynajmniej nad tajemnicami dziwnego reliktu, tylko szuka najlepszego sposobu, aby się dostać do środka.

Lars dotknął błyszczącej powierzchni. Nie było na niej najmniejszej drobinki kurzu czy ziemi, jak gdyby jakieś elektrostatyczne pole odpychało wszelkie zanieczyszczenia. Zabębnił palcami w ścianę, po czym cofnął dłoń.

– Trochę kłuje, albo raczej mrowi. Nie wiem, czy to jest plastik, szkło, czy jakaś organiczna wydzielina. Ciekawe.

– Obiecałeś, że będziesz ostrożny – zawołała do niego Oktawia. – To coś budzi we mnie złe przeczucia.

Brat spojrział na nią z góry i uniósł brwi.

– Ty zawsze masz złe przeczucia, Oktawio.

Lars zlekceważył jej obawy, ale on nie miał tego dodatkowego zmysłu co ona. Oktawia potrafiła przeczuć, co się wydarzy, przewidzieć sytuacje, których należało unikać. Nie miała oczywiście sposobu, żeby to udowodnić, ale była pewna, że jej przeczucia się sprawdzały.

– A czy kiedyś się myliłam, Lars?

Lars nie odpowiedział.

Oktawia przyklękła przy jednym z większych kryształów i znów go dotknęła, gładząc obiema rękami wyszlifowaną powierzchnię. Tym razem poczuła, jak zimne mrowienie woła do niej, próbuje coś powiedzieć, czego ona nie może zrozumieć. Wszędzie, w całym artefakcie wyczuwała obecność jakiegoś uśpionego, wylęgającego się bytu – niepojętego, pogrzebanego głęboko i uśpionego.

Nagle przeszedł Oktawię dreszcz niezrozumiałej energii, ale nie potrafiła rozniecić tego wrażenia, aby go w pełni doznać. Miała uczucie, że coś ją bada, ale cokolwiek to było, nie potrafiło zrozumieć ani nawet rozpoznać jej człowieczeństwa.

W gardle jej tak zaschło, że z trudem przełknęła ślinę. Odsunęła się od potężnego kryształu. Wrażenie umysłowego kontaktu z nieznanym bytem osłabło, ale nie znikło zupełnie.

Zachwycony Lars tymczasem kontynuował swoje poszukiwania. Wtykał głowę w każdą mniejszą dziurę, aż wreszcie znalazł duży wygięty otwór prowadzący w głąb konstrukcji i bez namysłu wszedł do środka.

Oktawia ostrożnie wspięła się na szczyt, gdzie zniknął, jej brat i zajrzała w ciemny chłodny wylot tunelu. Ze środka dochodził dziwny zapach, jakby mierzwy, oraz delikatny, skwierczący odgłos czegoś żyjącego. Chociaż moc przyczajona w potężnym relikwie budziła respekt, Oktawia nie wyczuwała w niej niczego złego, nie miała też poczucia zagrożenia. Po prostu nigdy czegoś podobnego nie spotkała.

Lars zawołał do niej z głębi korytarza. Głos odbijał się echem stłumionym przez wilgotne ściany budowli.

– Chodź tutaj, nie uwierzysz własnym oczom.

Oktawia ruszyła w kierunku głosu, próbując przebić wzrokiem mrok tunelu. Usłyszała kroki wracającego Larsa. Oczy mu płonęły.

– W korytarzach też są kryształy, i nie tylko. To prawdziwy skarbiec surowców! Można by je odrąbać od ścian kilofami albo przecinakami laserowymi.

– Nawet nie wiesz, co to jest, Lars – powiedziała Oktawia.

– Założę się, że dałoby się jej sprzedać z ogromnym zyskiem.

Oktawia oparła dłonie na biodrach.

– Komu, Lars? I za co? Za plony? Sprzęt? Nikt we Free Haven nie ma niczego na zbyciu, a kolonia przestała handlować ze światem, jeszcze zanim się urodziliśmy.

Lars uśmiechnął się szeroko i zniżył głos, jakby się obawiał, że ktoś mógłby podsłuchiwać.

– Oktawio, to jasne, że nasza kolonia nie jest w stanie tego wykorzystać. Jak tylko wrócimy do domu, powinniśmy się skontaktować z rządem terrańskim. Będziemy bogaci! Pomyśl tylko, co moglibyśmy za to kupić. Sama musisz przyznać, że to fascynujące. Życiowe znalezisko. Kolonia może na tym zyskać nowy sprzęt, ziarno, może nawet nowych mieszkańców. Przez ostanie lata straciliśmy tyle rodzin.

Serce się Oktawii ścisnęło na wspomnienie nieżyjących rodziców, wszystkich kolonijnych naukowców, a także zwykłych dobrych ludzi, którzy zginęli w czasie epidemii śnieci, w klęskach żywiołowych lub z powodu różnych innych nieszczęść, które dotyczyły Bhekar Ro od czasu założenia kolonii. Zaczął jej się udzielać optymizm Larsa. Oczami wyobraźni zobaczyła te wszystkie wspaniałości, które opisał i uprzytomniła sobie, że tym razem jej ambitny brat może mieć rację.

Po chwili jednak naszły ją wątpliwości. Fakt, że ich odkrycie mogłoby się okazać czymś doniosłym i spełnić wszystkie nadzieje, które Lars tak entuzjastycznie odmalował, ale kolonia na Bhekar Ro przestała się kontaktować z Konfederacją Terrańską trzydzieści pięć czy czterdzieści lat temu – tuż po założeniu Free Haven. Osadnicy przybyli tu po to, aby uciec od rządu terrańskiego, chcieli być niezależni i samowystarczalni. Rodzice i dziadkowie Oktawii nienawidzili ucisku i ingerencji rządu. Wielu kolonistów będzie protestować przeciwko zwracaniu na siebie uwagi z zewnątrz.

– Nie wierzę, żeby inni się na to zgodzili, zwłaszcza burmistrz – powiedziała. – Nie jestem przekonana, czy nawet dla czegoś takiego warto sobie ściągać na kark Konfederację. Słyszałeś opowieści dziadka. To mogłoby całkowicie odmienić nasz tryb życia.

Lars spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Nasz tryb życia? A czy on może być jeszcze gorszy? Przemyśl sobie wszystkie za i przeciw, a nie będziesz miała wątpliwości.

To powiedziawszy, obrócił się na pięcie i poszedł w głąb migoczącego korytarza. Oktawia ruszyła za nim, wciąż wyczuwając wokół siebie deprymującą obecność czyjejś świadomości, potężniejszą z każdym krokiem. Lars pędził do przodu, co jakiś czas się zatrzymywał, opukiwał ściany i nasłuchiwał, czy usłyszy różnice w odgłosie.

Przez połyskujące płaszczyzny przebiegały kolorowe prążki niby żyły kruszców... lub naczyń krwionośnych. Lars pociągnął nosem i przyjrzał się powierzchni uważnie. Podrapał ją paznokciem, ale nie udało mu się zrobić najmniejszej rysy. Pokręcił głową i poszedł dalej.

Zawsze marzył, żeby zostać poszukiwaczem, archeologiem, badaczem tego świata, który na mapach składał się głównie z białych plam. Bhekar Ro nikomu jednak nie dawała szans na inne życie niż praca na roli i harówka od świtu do nocy tylko po to, aby utrzymać kolonię przy życiu. Oktawia popatrzyła na brata. Nie miała serca odebrać mu tej radości, z jaką oglądał niecodzienne zjawisko. Całe życie czekał na taką okazję.

Nagle poczuła wewnętrzny opór przed zagłębianiem się dalej w komnaty tego starożytnego artefaktu, jakby powietrze wokół gwałtownie zgęstniało. Dziwna psychiczna energia wytworzyła mur, który odpychał dziewczynę w tył.

Lars natomiast zdawał się niczego nie zauważać. Skręcił w miejscu, gdzie tunel tworzył ostry łuk, i w wylocie bocznego korytarza znalazł kępę niezwyklej narośli z gładkiej, przezroczystej substancji. Przedmioty miały kształt pszczelich uli i wyglądały, jakby ze ścian wyrastały ogromne klejnoty.

– Chodź tutaj! – zawołał.

Wyciągnął rękę i dotknął jednego z kolorowych tworów. W tej samej chwili, jak gdyby dotknięciem uruchomił jakiś mechanizm, światło i całe wnętrze olbrzymiej konstrukcji zaczęło się przeobrażać.

Dłoń Larsa przywarła do dziwnego guza, twarz mu stężała, a sekundę później całe ciało znieruchomiało. Oktawia poczuła wybuch energii, która przez niego przepłynęła. Wszystkie kryształowe kolce w środku budowli i na dworze zajaśniały jak włączone tajemniczym przyciskiem.

– Lars! – krzyknęła Oktawia.

Lars jednak nie mógł się ruszyć, nie mógł wydać żadnego odgłosu.

Z kryształów wystrzeliły trzaskające promienie i zaczęły łączyć jedna po drugiej przezroczyste wypustki siecią błyskawic. Jaskrawe światło odbijało się od ścian korytarzy i oślepiło Oktawię. Chciała coś zrobić, ale wszystko działo się zbyt szybko.

Lars stał w wylocie korytarza niczym owad uwięziony na szkiełku mikroskopowym. Jasne promienie oblewały go światłem kryształowych reflektorów, wdzierały się w jego ciało i prześwietlały na wylot. W mgnieniu oka jego skóra zrobiła się biała, kości i mięśnie zaczęły emitować ze środka światło, jak gdyby zamienił się w jednolitą luminescencyjną substancję, a wreszcie, komórka po komórce, w czystą energię.

Wkrótce i ściany zajaśniały tym samym białym blaskiem. Zdawało się, że wchłaniają w siebie Larsa powoli i systematycznie, aż do ostatniego atomu. Nagle błyskawice znikły. Światło przygasło, wnętrze znów się pograżało w dawnym niepokojącym półmroku.

I zniknął również Lars. Bez śladu.

Na zewnątrz dwie największe kryształowe struktury roztrzaskały się na drobne kawałeczki. Iskry przebiegły korytarzem od jednego kryształu do drugiego i w niesamowitej reakcji łańcuchowej wysadzały je po kolei w powietrze, jak gdyby Lars okazał się dla tego obcego obiektu niestrawną potrawą.

Korytarzami pełzył dym. Ogłuszający huk ucichł, pozostało po nim tylko słabe echo, pogłos rozpaczliwego krzyku. Oktawia nie wiedziała, czy był to ostatni głos jej brata, czy też jej własne nieartykułowane wołanie.

Po chwili przerwy, która trwała nie więcej niż sekundę, ściany znów rozbłysły, a większe kryształy zaczęły migotać. Znów wystrzeliły błyskawice. Najwyraźniej Lars obudził w tym

miejscu coś złowieszczonego i Oktawii przemknęła przez głowę myśl, że jego śmierć może spowodować zagładę na nich wszystkich.

Obróciła się i rzuciła w kierunku wylotu tunelu, byle się szybciej wydostać na światło dzienne. Biegła co sił z oczami rozszerzonymi, z pustką w głowie. Zbyt wiele rzeczy stało się na raz. Chciała zawrócić i szukać Larsa, sprawdzić, czy nic po nim nie zostało, lecz instynkt samozachowawczy wziął w niej górę. Czowała, że ten przerażający relikwiarz nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Wypadła na dwór i popędziła w dół po głazach strzaskanego zbocza góry. Nogi same ją niosły. Ześlizgiwała się ze skały na skałę, podpierała rękami, rozkładała ramiona, żeby utrzymać równowagę.

Góra drżała coraz mocniej. Ogromne kryształy, które jeszcze kilka minut temu zdawały się takie piękne, teraz wyglądały jak załadowane działa, wysysające energię z jakichś potężnych źródeł, przywołujące błyskawice z głębi swej atomowej struktury.

Oktawia pędziła na złamanie karku. Sama nie wiedziała, jak i kiedy znalazła się przy roboźniwiarce. Ciężko dysząc, oparła się o ubłocone bieżniki. Za jej plecami, na stromym stoku, jarzyły się już wszystkie kryształy. Jaskrawe błyskawice połączyły je błękitną pajęczyną, skupiły ich moc i splotły w węzeł energii, aż wszystkie zabłąkane nici zbiegły się w jednym punkcie.

Wtedy z czubka artefaktu wystrzelił w górę świetlno-dźwiękowy sygnał, gigantyczna transmisja, która pomknęła w niebo, a potem dalej w przestrzeń. To coś nie było wymierzone w Oktawię, ale w jakiś daleki punkt wszechświata, nie mający nic wspólnego z ludzkością.

Fala uderzeniowa zwała Oktawię z nóg i przydusiła do spękanej ziemi. Dziewczyna ledwie się mogła ruszać, kiedy pulsujący sygnał przesywał powietrze.

Histerycznie, bez tchu wdrapywała się w górę po bieżniku roboźniwiarki. Kiedy wreszcie udało jej się złapać za drzwiczki, głowa jej pękała. Miała wrażenie, że zupełnie ogłuchła.

W środku poczuła się odrobinę bezpieczniej. Drżącymi rękami uruchomiła silnik, obróciła maszynę i krusząc kamienie ogromnymi kołami, wzbijając w powietrze tumany kurzu i odpryski skał, ruszyła pełnym gazem w kierunku miasta. Musi wrócić do Free Haven. Nie mogła jeszcze jasno myśleć, nie potrafiła na razie uporać się z tym, co widziała na własne oczy i co się stało z jej bratem. Na razie wiedziała tylko, że musi ostrzec pozostałych kolonistów.

Rozdział 7

Tymczasem w odległej przestrzeni, na pokładzie protossańskiego okrętu flagowego Qel’Ha, egzekutor Koronis udał się do swojej kwatery w poszukiwaniu odosobnienia i prywatności. Tutaj mógł spokojnie rozmyślać nad swoją misją, nad swoim przeznaczeniem i przyszłością całej swojej rasy.

Za pośrednictwem neuronowych wyrostków mózgowych wyczuwał obecność wszystkich lojalnych Protossów, służących na statkach floty jako przemysłowcy, naukowcy, robotnicy z Khalai, wierni zeloci oraz inni niezłomni żołnierze z wojowniczej klasy templariuszy. Wyczuwał nawet surowych członków rządowo-religijnej kasty sędziów, którzy nadzorowali wykonanie misji i podtrzymywali koncentrację załogi na jednoczącym strumieniu Khali.

Zamiast się jednak pogрузić w spokojnych rozmyślaniach, Koronis nasłuchiwał wszechogarniającego poczucia niedoli i gorzkiej świadomości porażki, które nękały wszystkich członków floty ekspedycyjnej. Ramiona mu obwisły, oklapły spiczaste naramienniki. Rodzinna planeta Protossów, Aiur, przeżyła niszczycielski atak Zergów, w wyniku którego została prawie całkowicie zrujnowana. W tym czasie siły ekspedycyjne Koronisa znajdowały się daleko od miejsca rzezi, daleko od swoich domów i bliskich. Nie przyszli im z pomocą, zawiedli ich, a cała rasa stanęła na krawędzi zagłady.

Dla egzekutora był to ciężar nie do zniesienia.

Koronis usiadł w wyprofilowanym fotelu medytacyjnym i wziął do ręki mały kawałek startego, lecz nadal połyskującego kryształu. Handlarz klejnotami powiedział, że tym kryształem posługiwał się starożytny prorok Khas, kiedy odkrył telepatyczny strumień Khali. Khala w końcu zjednoczyła Protossów, połączyła ich umysły i zakończyła Erę Konfliktów, która tak długo wyniszczała ich cywilizację.

Koronis nie był pewien, czy mit związany z powstaniem kryształu Khaydarinu był prawdą, czy tylko historyjką wymyśloną przez handlarza dla wyłudzenia pieniędzy, ale wystarczała mu myśl, że mogło tak być. Wpatrywał się w kryształ, koncentrując całą energię umysłową. Jego bezdenne złote oczy płonęły jak małe słońca, kiedy zagłądały w głąb krystalicznej struktury, w odległe zakątki wszechświata. Przez szarą, chropowatą twarz przebiegały łagodne dreszcze, zmarszczyły się wypukłe brwi, skuliły ramiona w ozdobnych

epoletach. Tylko bezusta broda pozostała zacięta i nieruchoma.

Wiele dziesięcioleci temu protossańskie konklawe wysłało Koronisa i jego siły ekspedycyjne w wieloletnią misję daleko poza granice sektora Koprulu. Protossi byli długowieczną rasą, nie martwiły ich więc dziesięciolecia ani nawet stulecia spędzone z dala od domu. Koronis z dumą przyjął wiadomość, że wybrano właśnie jego, a ponieważ misję tę uważano za wyjątkowo doniosłą, przed wyjazdem nadano mu zaszczytny i elitarny tytuł egzekutora.

Mieli wytropić heretyckich czarnych templariuszy, którzy odmówili przystąpienia do Khali i wyłączyli się ze zjednoczonego myślowego bytu Protossów. Sędziowie w konklawe nie mogli tolerować takiego odstępstwa. Zarządzili, że należy zagonić zabłąkane owce do owczarni albo je zniszczyć.

Koronis nigdy nie upatrywał w czarnych templariuszach zagrożenia i gdyby to od niego zależało, zostawiłby banitów w spokoju, ale to nie on podejmował decyzję, tylko fanatyczni politycy z konklawe.

Dużo bardziej natomiast interesowała go druga część misji – poszukiwanie śladów starożytnej rasy, Xel’Nagi, która stworzyła Protossów jako swych wyjątkowych potomków.

Ostatnie odkrycia wykazały, że Xel’Naga wyhodowała także agresywne Zergi, może z zamiarem, aby zajęły kiedyś miejsce Pierworodnych. Egzekutor Koronis nie miał na ten temat wyrobionego zdania, ale teoria ta tłumaczyłaby nieustanne porażki i niepowodzenia jego ludu.

Kiedy medytował, kryształ Khaydarinu zaczął świecić i buczeć łagodnie. Początkowo Koronis czerpał zeń siłę, potem jednak moc kryształu spotęgowała w jego umyśle udrękę i rozpacz załogi. Zamknął wtedy błyszczące oczy i oderwał myśli od kryształu. Jak dotąd, po dziesiątkach lat poszukiwań, załoga Qel’Ha nie odkryła żadnych śladów Xel’Nagi. Podobnie zresztą jak czarnych templariuszy.

Siły ekspedycyjne Koronisa stanowiły potężną flotę wojenną, której siła mogłaby zaważyć na losach obrony Aiura.

Zamiast tego przez lata tracili bezużytecznie czas na peryferiach zamieszkaney przestrzeni. Nie mieli nic, co by im mogło wynagrodzić wszystkie rozczarowania. W trójpalczastej dłoni egzekutor trzymał długą kolorową szarfę, znamionującą jego tytuł i funkcję – zaszczytny symbol, który nic już dla niego nie znaczył.

Niespodziewanie podniosła się ochronna śluza prowadząca do jego kabiny i w korytarzu na wprost wejścia pojawiła się potężna sylwetka sędziego Amdora. Czerwonopomarańczowe oczy sędziego błyszczały, a powiewająca fioletowa szata, którą był spowity, zdawała się odzwierciedlać jego nastrój i psychiczne energie. Naramienniki wysadzone szlachetnymi kamieniami i hełm łuskowy nadawały mu imponujący i złowrogi wygląd. I nie przypadkiem.

Jako potężny polityczny reprezentant konklawe, sędzia Amdor nie uznawał za stosowne okazywać Koronisowi szczególnej uprzejmości. Nieraz dochodziłoby między nimi do tarć, gdyby egzekutor sobie na to pozwolił. Był jednak lojalny wobec własnej rasy i wierny swej

misji, nie dawał się więc wyprowadzić z równowagi ostrej krytyce, której surowy sędzia mu nie szczędził. Amdor bowiem w zawołany sposób dawał do zrozumienia, że obciąża Koronisa odpowiedzialnością za niepowodzenie ekspedycji.

Protossi nie mieli warg ani w ogóle ust. Porozumiewali się za pomocą precyzyjnych telepatycznych impulsów. Sędzia Amdor zawęził zasięg swoich wypowiedzi tak, aby nikt nie mógł wyłowić nawet ogólnego sensu ich rozmowy. Mimo to ostrze jego myśli było chwilami tak kłujące, że egzekutor czuł w głowie bolesne mrowienie. Niczego jednak po sobie nie pokazał, odwrócił się tylko i w milczeniu słuchał tego, co sędzia ma do powiedzenia.

– To kompromitujące przedsięwzięcie trwa już zdecydowanie za długo, egzekutorze. Pańskie siły ekspedycyjne muszą wrócić na Aiur. Przybędziemy co prawda za późno, żeby wziąć udział w wielkiej bitwie z Zergami, ale możemy przynajmniej pomóc w odbudowywaniu naszego świata. Proszę zawrócić Qel’Ha. Polecimy do domu. Musimy uratować, co się da.

Nadumysł Zergów został zniszczony, Aiur uratowany, chociaż za straszliwą cenę. Tassadara uznano za zdrajcę, ponieważ połączył moce Khali z tajemnicami poznanymi w Pustce. Sędzia Amdor nazwał działania Tassadara haniebną herezją, przejętą od czarnych templariuszy, ale Koronis nie winił bohatera za konsekwencje jego czynów. Żałował, że go tam nie było, kiedy nastąpił koniec. To musiał być cudowny widok...

Egzekutor niespiesznie odłożył na bok fragment kryształu i podniósł się z fotela. Wyprostował szarfę, poprawił strojne spiczaste naramienniki.

Mentalna samokontrola Koronisa nie była tak doskonała jak sędziego i Amdor przechwycił kilka przebłysków z jego rozmyślań.

– Tassadar nie był żadnym bohaterem! – wybuchnął. – Zaprzedał wierność wobec Khali dla własnej sławy i pewnych krótkotrwałych korzyści.

Egzekutor zdumiał się tą odpowiedzią. Wyszedł na korytarz i stanął twarzą w twarz z sędzią.

– Za to ocalił naszą rasę, poświęcając przy tym własne życie. To nie do wiary, że może pan przypisywać Tassadarowi egoistyczne pobudki po tym, co osiągnął.

– Jedyne wartościowe dzieło, jaką osiągnął – warknął w odpowiedzi Amdor – to ta, że przy okazji wytopienia Zergów i zrujnowania Aiura oczyścił rasę Protossów! W efekcie mamy teraz okazję się odrodzić, wypalić zrakowaciłe herezje, które skaziły naszą wierność Khali. Nie mogę się doczekać, kiedy powrócę do domu i zaofiaruję konklawe swoją pomoc w dopilnowaniu, abyśmy nie zbłądzili na tamtą zgubną drogę.

Koronis uznał, że dalsza dyskusja jest bezcelowa, więc po prostu przytaknął. On także pragnął wrócić do domu i nie potrzebował do tego namowy Amdora.

– Żyję, aby służyć Khali.

Kiedy doszli do mostku, egzekutor zajął miejsce w owalnym fotelu dowódcy. Sędzia stanął obok niczym surowy ojciec, jak gdyby nie dowierzał, że Koronis zrobi to, co obiecał.

Ten zaś za pomocą wzmacniacza myśli wysłał wiadomość do wszystkich Protossów we flocie.

– Wracamy do domu. Czekają tam na nas prace: dla naszych rodzin, miast, dla naszego świata. Skoro nie mogliśmy przyjść na pomoc, kiedy Aiur potrzebował nas najbardziej, musimy być gotowi poświęcić życie i umysły, aby swoją obecnością wynagrodzić naszym braciom to, że nas tam nie było.

Poprzez ośrodek telepatyczny w mózgu Koronis poczuł falę ulgi i entuzjazmu, jaka przetoczyła się przez pokłady wszystkich statków i przynajmniej częściowo rozwiązała dotychczasowe przygnębienie. Silniki lotniskowców i statków oskrzydlających ruszyły pełną mocą, nawigatorzy obliczali kurs, który miał ich zaprowadzić z powrotem w przestrzeń terytorialną Protossów.

Nim jednak zdążyli wyruszyć, telepatyczny węzeł komunikacyjny, złożony z rozległej pajęczyny przekaźników wplecionych w kadłuby statków, odebrał potężną pulsacyjną wiadomość – dalekie obce przesłanie.

Dziwaczne, wibrujące sygnały przeszły umysł Koronisa, przeszły wszystkie statki i umysły członków załogi. Było to wołanie, krzyk, niezrozumiała, niepojęta wiadomość.

Sygnał nie ustawał, łomotał w głowie i drażnił nerwy egzekutora. Był natrętny, a jednak na swój sposób znajomy. Sędzia Amdor stał sztywno, z początku zdezorientowany, potem wręcz przestraszony.

Kiedy wreszcie dalekie wołanie umilkło, wszyscy Protossi stali bez ruchu, oszołomieni. W końcu egzekutor zwrócił się do Amdora, chociaż inni stojący w pobliżu, mogli usłyszeć strzępy podekscytowanych zdań mentalnej mowy.

– Ten sygnał ma coś wspólnego z Xel’Nagą! Rozpoznałem pojedyncze znaki i tony. Nie słyszał pan? Ta wiadomość jest... pilna.

– I wyjątkowo potężna – dodał Amdor. – Ale jakież urządzenie Xel’Nagi mogłoby nadać sygnał tak silny i wyraźny, że dotarł aż tutaj?

To powiedziawszy, spojrzał ostro na technika Khalai pracującego przy sprzęcie łącznościowym na mostku Qel’Ha.

Tymczasem jeden z oficerów przesłał szybką informację:

– Wyśledziliśmy, skąd pochodził sygnał. To mała planeta. Z tego, co wiemy, niezamieszкана.

Koronis przyjrzał się współrzędnym i szybko wyliczył, ile czasu zajęłoby siłom ekspedycyjnym dotarcie w to miejsce. Potem zwrócił się do Amdora – Panie sędzio, ten sygnał jest dla nas szansą, abyśmy mogli stanąć przed naszymi braćmi z honorem i jakimiś osiągnięciami. Gdyby udało nam się odnaleźć ważne urządzenie Xel’Naga, spełnilibyśmy przynajmniej jeden cel naszej misji i wrócili na Aiura jako bohaterowie. Mamy szansę przynieść naszemu ludowi nową nadzieję.

Sędzia skinął głową.

– Jeśli rzeczywiście sygnał pochodził od Wędrowców z Oddali, może to być dla nas znak. Jesteśmy Pierworodnymi. Może przeznaczeniem tej ekspedycji jest przywrócić utraconą świetność naszej rasy.

– *En taro Adun* – powiedział Koronis, co znaczyło „Ku chwale Aduna”, wielkiego protossańskiego bohatera.

– *En taro Adun* – odpowiedział krótko sędzia, jakby myślami był już gdzie indziej i snuł swoje własne plany.

Po raz pierwszy od czasu, gdy dotarła do nich wieść o zniszczeniu Aiura, egzekutor Koronis poczuł przypływ wiary. Nakazał przygotować bezzałogowego obserwatora i wysłać go w kierunku źródła tajemniczego sygnału Xel’Nagi.

Rozdział 8

Zginął. Lars zginął.

Ta myśl łomotała Oktawii w głowie w rytm dudniących wstrząsów traktora, kiedy przemierzała niekończące się kilometry drogi do Free Haven. Jej ręce i nogi prowadziły ogromny traktor bez żadnego udziału świadomości, ta bowiem przytłoczona była tylko jedną myślą: „Lars nie żyje!”. Z trudem formułowała nawet i to zdanie.

Roboźniwiarka podskakiwała na wybojach, zgniatając pod sobą kupy kamieni, przebijając się przez sterty piachu. Od skrętów i kołysania pojazdu bolały Oktawię ramiona i szyja. Dziewczyna zacisnęła zęby i jechała dalej.

W górze szybował ten sam jastrząb, bezskutecznie wypatrując zdobyczy...

Ciężki pojazd brnął teraz pod górę, po stromym stoku, to się cofając, to znów ruszając do przodu i rozpryskując wokół żwir i fontanny piasku. Ponury krajobraz przed przednią szybą ściemniał i rozmył się, jak gdyby na rozległą dolinę opadła mgła. Oktawia przetarła szybę i dopiero wtedy zrozumiała, że to nie świat, ale oczy jej zaszyły mgłą.

Nie była płaczliwa i teraz również nie miała czasu na płacz. Musi wrócić do Free Haven i wszcząć alarm, musi powiedzieć osadnikom o złowrogim, morderczym artefakcie odsłoniętym przez burzę. Zawsze była zbyt praktyczna, żeby trwonić czas na jałowe uzewnętrznianie uczuć. Nie dlatego, żeby jej nie bolało, kiedy umarł ktoś bliski czy znajomy, po prostu takie tu były warunki przetrwania. Koloniści, którzy poddawali się depresji z powodu nieprzewidywalnych kolei losów, szybko popadali w apatię i stawali się nieostrożni. A nieostrożność na tej planecie oznaczała rychłą śmierć.

Sięgając pamięcią wstecz, Oktawia mogła sobie przypomnieć tylko kilka sytuacji, kiedy się rozplakała: raz, gdy zmarli dziadkowie, drugi raz mniej więcej tydzień po śmierci rodziców, w czasie kolejnej gwałtownej burzy, kiedy sobie uprzytomniła z taką ostrością, jakby ktoś ją uderzył w twarz, że już nigdy więcej tata nie usiądzie przy niej na kanapie, żeby jej dodać otuchy w czasie szalejącej nawałnicy.

Łzy były dla niej czymś tak niezwykłym, że nawet się nie zorientowała, kiedy stanęły jej w oczach. „Lars nie żyje!”

Potem jednak, kiedy słone krople popłynęły jej po policzkach, wezbrał w niej gniew. Co

za żalodne marnotrawstwo energii! To wszystko nie ma sensu. I w ogóle, co to właściwie było, tam w górach? Na pewno nie terrańskie dzieło. To oczywiste.

Czemu dała się Larsowi namówić, żeby tam poszli? Co mogli dzięki temu zyskać? Tylko że Lars nie mógł się oprzeć tej swojej nienasyconej ciekawości. Chciał zbadać swoje nowe odkrycie.

A ono go zamordowało. Zamordowało. Ukradło jej brata na zawsze. Po co? Kto to może wiedzieć?

Musi ostrzec pozostałych, zanim artefakt pochłonie więcej ludzkich istnień.

* * *

Miejska sala zebrań była wypełniona po brzegi i aż huczała od głosów dwóch tysięcy poruszonych kolonistów. Do Oktawii docierały urywki rozmów:

- Co za nagły wypadek? Nie wystarczy wczorajsza burza?
- Muszę na nowo obsadzić całe pole. Czy to nie może poczekać?
- Słyszałem, że Lars Bren coś znalazł.
- A ja słyszałam, że on zniknął!
- ... niech już lepiej zaczną, bo jak nie, to ja zaraz wychodzę.

Wreszcie na niski podest wszedł burmistrz Nikolai i stukając w mównicę poprosił zebranych o ciszę. Był to roztargniony, niezbyt charyzmatyczny mężczyzna, jednak w wieku dwudziestu ośmiu lat cieszył się opinią względnie statecznego i szanowanego administratora.

– Przepraszam! Proszę o uwagę! Oktawia Bren ma dla nas pewne ważne wiadomości. – Przerwał i rozejrzał się po sali. – Na tyle ważne, że postanowiłem was tu zebrać, abyśmy po wysłuchaniu tego, co ma do powiedzenia, przegłosowali dalsze poczynania.

– Nie możesz po prostu powiedzieć krótko, o co chodzi? – krzyknęła z tłumu Shayna Bradshaw. – Potem zagłosujemy i pójdziemy sobie. Znów mi się zatkał system irygacyjny i...

Burmistrz potrząsnął głową.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli Oktawia opowie wam to wszystko własnymi słowami.

Słyszając na sali pomruki niezadowolenia, Oktawia zazgrzytała zębami i weszła na podest. Gniewem próbowała zagłuszyć rozpacz. Jacy oni wszyscy zrobili się nieczuli na nieszczęście i ludzką niedolę. Musi znaleźć sposób, aby ich przekonać, że sytuacja jest naprawdę poważna. Odchrząknęła i zaczęła mówić, starając się, aby jej siedemnastoletni głos brzmiał donośnie i przekonywująco.

– Większość z was uważa na pewno, że nic nie jest na tyle ważne ani pilne, aby usprawiedliwić wzywanie tu całej kolonii. Wstrząsy i rozczarowania, nawet śmierć, stały się dla nas codziennością.

– No więc przechodź do rzeczy! – zawołał ze środka sali stary Rastin.

– Gdzie jest twój brat? – zapytała z nadzieją w oczach Cyn McCarthy.

Oktawia wzięła długi, uspokajający oddech i znów się odezwała.

– Lars nie żyje. – Wyciągnęła rękę, aby uprzedzić i powstrzymać pomruki współczucia. – Zabiło go coś, co tkwiło zagrzebane pod górami za następną doliną, dwanaście kilometrów stąd. To jakiś artefakt obcych. Jest naprawdę ogromny.

– Powiedziałaś „obcych”? – zapytał zdumiony burmistrz.

– Tak, obcej cywilizacji. Nie jesteśmy sami na Bhekar Ro.

To rzekłszy, Oktawia zrelacjonowała po kolei wszystko, co się wydarzyło w górach. Zaczynała się, opowiadając o ich odkryciu i badaniu niezwykłego reliktu, lecz kiedy zaczęła opisywać, jak jaskrawe promienie przeszywały na wskroś ciało Larsa, błyskały wokół niego, aż wreszcie go unicestwiły, głos jej się załamał i zamilkł zupełnie. Poczowała dłoń na ramieniu. Podniosła wzrok i zobaczyła zboląłą i wstrząśniętą twarz Cyn McCarthy.

– Według mnie sprawa jest oczywista – powiedział beztrzesko stary Rastin. – Po prostu nikt się nie będzie więcej zbliżał do tego czegoś. Zostawimy ten cały artefakt w spokoju i już, a jak ktoś chce powiększać pola, niech robi to w innym kierunku.

Oktawia znów zacisnęła zęby i złość przywróciła jej głos. Jeśli nie uda jej się ich przekonać, że sytuacja jest naprawdę poważna, wszyscy mogą zginąć.

– Nie wystarczy, że to coś zignorujemy. Tam się wydarzyło coś więcej. Kiedy uciekałam od tego... obiektu, on wysłał sygnał daleko w przestrzeń. To był jakiś rodzaj przekazu albo alarmu, albo samonaprowadzającej się transmisji. Światło było okropnie rażące, przez chwilę myślałam, że oślepiam, a dźwięk wstrząsnął ziemią i dosłownie zwałił mnie z nóg.

– Hej, czy to nie było przypadkiem tuż przed południem? Trwało tak ze dwie minuty? – zapytał z pierwszego rzędu Kiernan Warner. – Zdaje się, że to słyszałem. Jeśli to się działo dwanaście kilometrów stąd, to musiało być naprawdę głośne.

– Myślisz, że ten artefakt chciał się z nami skontaktować? – zapytał zaniepokojony Wes, młodszy brat Lyn.

Oktawia pokręciła głową.

– Sygnał poszedł prosto w górę, w przestrzeń, jakby ktoś tam miał na niego czekać. Możliwe, że to coś chciało się porozumieć, ale na pewno nie z nami.

W jednej chwili sala eksplodowała okrzykami, pytaniami i propozycjami. Teraz już Oktawia nie miała wątpliwości, że udało jej się przykuć ich uwagę.

Do przodu wystąpił burmistrz. Podniósł dłonie i poprosił o ciszę, a kiedy zebrani się nieco uspokoili, powiedział – Oktawia uważa, że powinniśmy się skontaktować z Konfederacją Terrańską i powiedzieć, co znaleźliśmy.

Kilku kolonistów podniosło protest, ale pozostali szybko ich uciszili.

– Nie wiemy, czy to był sygnał komunikacyjny, czy nie, ale jeśli na Bhekar Ro odsłoni się więcej takich obiektów, to nie poradzimy sobie z tym sami – stwierdził Nikolai.

– To nasza planeta! – zawołał Jon, brat cioteczny Wesa.

– Nawet jeśli ten artefakt jest jedyny – wtrąciła się Oktawia – nie wiemy, do czego jest zdolny. Teraz, kiedy wydostał się na światło dzienne, może się stać agresywny i

niebezpieczny dla naszej osady. Może nawet wywoływać trzęsienia ziemi, które zetrą nas na proch.

– Przegłosujmy to! – wrzasnął Jon.

– Tak, dość już usłyszeliśmy – dodał Kiernan.

– A mój system nawadniający dalej przecieka – burknęła Shayna Bradshaw.

Kamień spadł Oktawii z serca, kiedy się okazało, że z wyjątkiem trzech osób wszyscy są zgodni – trzeba wysłać wiadomość do ostatniego znanego kolonistom rządu terrańskiego. Może Konfederacja miała już do czynienia z takimi rzeczami.

* * *

Oktawia przechadzała się niespokojnie przed wejściem do wieży komunikacyjnej stojącej przy głównym placu miasta. Sprzęt łącznościowy był równie stary jak wieżyczka przeciwlotnicza na środku rynku i nikt nie miał pojęcia, czy w ogóle jeszcze działa. Do połączeń dalekiego zasięgu nie używano go co najmniej od dwudziestu lat, przez cały ten okres służył tylko do porozumiewania się w nagłych wypadkach z oddalonymi farmami.

Burmistrz nalegał, żeby zostawiono go samego na czas rozmowy. Mijało właśnie czterdzieści pięć minut, od kiedy zamknął się w wieży. Oktawia próbowała się pocieszać, że to dobry znak, choć z drugiej strony mogło to oznaczać tylko tyle, że Nikolai nie wie, jak obsługiwać nadajnik.

Wreszcie burmistrz pojawił się w wejściu z nader zaintrygowanym wyrazem twarzy. Przechesał dłonią nastroszone włosy. Był wyraźnie z siebie zadowolony.

– Udało ci się? – spytała Oktawia. – Rozmawiałeś z Konfederacją Terrańską?

– No cóż, niezupełnie. Wygląda na to, że Konfederacja się rozpadła, a nowy rząd nazywa się teraz Dominium Terrańskim. Facet, z którym rozmawiałem, tytułował siebie imperatorem. Robi wrażenie, nie? Nazywa się Arcturus Mengsk. Zdaje się, że zainteresowało go nasze znalezisko, zadawał dużo pytań. Powiedział, że prawdopodobnie niezwłocznie wyślą siły wojskowe, żeby zbadać tę sprawę.

Oktawia odetchnęła z ulgą.

– To dobrze. To znaczy, że pomoc jest w drodze. Skończyły się ich kłopoty.

Rozdział 9

Arcturus Mengsk rozparł się na tronie, dopiero co ustawionym w olśniewającej przepychem sali tronowej pałacu imperatorskiego na Korhalu. Miał poczucie, że było to sprawiedliwe zadośćuczynienie za lata partyzanckiej walki i knowań przeciwko despotycznej Konfederacji Terrańskiej. Miał poczucie, że ten tron mu się należał, że zawsze na niego zasługiwał. I miał też poczucie władzy.

Za jego plecami holoprojektor odtwarzał raz po raz wspaniałą mowę, którą Arcturus wygłosił do wszystkich ludzi na uroczystości samokoronacji. Mógł słuchać swego przemówienia na okrągło i jak dotąd jeszcze się nie znudził.

„Rodacy Terrańczycy, przychodzę do was, aby, w związku z ostatnimi wydarzeniami, zaapelować do waszego rozsądku. Niechaj nikt nie próbuje bagatelizować wielkich zagrożeń, jakie niesie dzień dzisiejszy. Podczas gdy my przelewamy krew w bratobójczych walkach, targani sąsiedzkimi waśniami, swój impet obraca przeciwko nam fala naprawdę potężnego konfliktu i grozi zniszczeniem wszystkiego, co dotąd osiągnęliśmy.”

Bardzo dramatyczne. Zniewalające. Mengsk ćwiczył tę przemowę po wielokroć z różnymi doradcami.

Minęło już kilka miesięcy od obalenia Konfederacji Terrańskiej, kiedy to Mengsk osobiście zwabił krwiożerczą zergańską hordę na stołeczną planetę Tarsonis, a tam żarłoczne potwory wykonały za niego całą niszczycielską robotę. A najlepsze ze wszystkiego było to, że udało mu się tak pokierować wydarzeniami, aby uczynić z siebie nadzieję ludzkości, rycerza w lśniącej zbroi.

Jego wizerunek holograficzny mówił dalej: „Nadszedł czas, zarówno dla całych narodów, jak i dla każdego z nas z osobna, odłożyć na bok zadawnione urazy i zjednoczyć się. Dosięła nas nawałnica wojny, jakiej jeszcze nie znaliśmy. W poszukiwaniu schronienia musimy się wznieść ku wyższym ideom, w przeciwnym bowiem razie zostaniemy zmieceni przez falę powodzi. Jeśli nasz wróg pozostanie bezkarny, do kogo zwrócicie się o obronę?”

Dobrze powiedziane, pomyślał Mengsk. Zgrabny slogan, wart powtarzania.

Dużo jeszcze zostało imperatorowi do zrobienia: światy do podbicia, rządy do ustanowienia, niezliczone marionetki do osadzenia.

A teraz jeszcze dostał tę dziwną wiadomość od jakiejś zapomnianej kolonii na Bhekar Ro.

Odwrócił się na tronie i popatrzył na zapis komunikatu. Chciał prześledzić każde słowo rozmowy z burmistrzem Jacobem Nikolai. Nigdy o nim nie słyszał.

Zmarszczył brwi i wypielęgnowaną dłonią pogładził krzaczaste bokobrody, zastanawiając się, co z tym fantem zrobić. W pierwszym odruchu miał zamiar zignorować prośbę o pomoc. Bhekar Ro nie figurowała na liście ważnych światów, gdzie nowy imperator pragnął umacniać swoją władzę. Nawet Konfederacja zostawiła tę kolonię samej sobie. Czemu miałyby go obchodzić garstka wieśniaków z jakiejś zapadłej planetki, o której nikt nawet nie wiedział, że istnieje?

Z pomieszczeń sąsiadujących z salą tronową dobiegły natrętne odgłosy młotów, buczenie diamentowych przecinaków, iskrzenie laserowych spawarek. Po przejściu kontroli nad rządem terrańskim, Mengsk zarządził szeroko zakrojone prace budowlane na zrujnowanych planetach, na przykład tu, na Korhalu, który do tej pory nie wylizał się z ran po okrucieństwach Konfederacji.

Przez zgiełek maszyn nadal przedzierał się głos imperatora, przemawiającego do wszystkich Terrańczyków: „Zniszczenia dokonane przez obcych najeźdźców mówią same za siebie. Na własne oczy widzieliśmy nasze domy i całe społeczeństwa obracane w garść popiołu przez precyzyjne uderzenia Protossów. Byliśmy świadkami, jak koszarne Zergi pożerały naszych bliskich. Jakkolwiek niewyobrażalne i bezprecedensowe, fakty te są znamionami naszych czasów.”

Trzeba odbudować infrastrukturę na Mar Sarze i Chau Sarze, zniszczoną przez inwazję Zergów i ataki Protossów, ale tamte, drugorzędne światy mogą poczekać. W pierwszym rządzie Mengsk musi znaleźć sposób na wyduszenie większych podatków od ludności Dominium, aby zasilić swój imperialny skarbiec. Każda planeta, która nie wznosiła owacji na cześć imperatora wystarczająco entuzjastycznie, natrafi na poważne trudności w uzyskaniu funduszy i inżynierów do realizacji swoich projektów budowlanych.

„Nadszedł czas, aby skupić siły pod nowym sztandarem. W jedności nadzieja. Dołączyło już do nas wiele frakcji. Z rozproszonych rzesz ludzkości wykujemy monolitową całość skupioną wokół jednego tronu. Z tego tronu będę nad wami czuwał.”

Musi dopilnować, aby mowy koronacyjnej uczył się na pamięć każdy uczeń na terenie nowego Dominium. Może się okazać, że do zrewidowania historii trzeba będzie stworzyć oddzielne stanowisko...

Nalał sobie kieliszek doskonałego czerwonego wina z klavvy, wypił duszkiem, po czym napełnił naczynie ponownie, aby tym razem delektować się wspaniałym trunkiem. Decyzja w sprawie dziwnego obcego obiektu na Bhekar Ro spoczywała tylko na jego barkach. Nie mógł jej przerzucić na nikogo innego – to była niedogodność zasiadania na tronie imperatorskim. Ale Arcturus Mengsk zdobył sobie do niego prawo, zasłużył na ten tytuł i zbeształ się teraz w

duchu za utyskiwanie na pomniejszych obowiązki wielkiego władcy.

Co właściwie dokładnie znaleźli ci zaściankowi osadnicy? Zgodził się wysłać im pomoc, ale czy warto tracić czas na badanie tej sprawy?

W tym momencie do sali tronowej wszedł jeden z umundurowanych adiutantów i gorliwie uniósł pięść w tradycyjnym pozdrowieniu Synów Korhala. Gdyby leżało to w mocy imperatora, salut ten obowiązywałby w całym Dominium Terrańskim.

Adiutant wręczył mu zwinięty w rulon dokument. Mengsk rzucił okiem na nagłówek. Aha, lista egzekucji wyznaczonych na dzisiaj. Przebiegł palcem po długim ciągu nazwisk.

Niewiele z nich pamiętał, nie pamiętał też, jakie ci ludzie popełnili przestępstwa i w tej chwili nie miał czasu, aby wszystkiego tego dopilnować. Tyle tych nieznośnych drobnych spraw do rozstrzygnięcia! Wśród skazańców byli zapewne głównie więźniowie polityczni lub buntownicy, którzy odmówili oddania steru w ręce nowej władzy.

Zaczął analizować po kolei wszystkie oskarżenia, lecz po chwili doszedł do wniosku, że ma pilniejsze sprawy na głowie. Przypieczętował całą listę jako „zatwierdzone” i wręczył z powrotem adiutantowi, który znów zsalutował uniesioną pięścią i czym prędzej opuścił salę, aby przedłożyć podpisany dokument gildii egzekucyjnej.

Kolejne zadanie tego dnia wykonane.

Tymczasem mowa płynąca z holoprojektora powoli, okrężnymi drogami zmierzała do puenty. „Niechaj od dziś żaden człowiek nie toczy wojny z drugim człowiekiem. Nie pozwólmy, aby wrogie agentury konspirowały przeciwko nowemu początkowi. Dopilnujmy, aby żaden Terrańczyk nie kolaborował z obcymi potęgami. Wszystkim zaś wrogom ludzkości oświadczam: Nie próbujcie nam stawać na drodze. Ponieważ my zwyciężymy, nieważne jakim kosztem.”

Jeszcze raz przyjrzał się streszczeniu rozmowy z burmistrzem Nikolai. Co robić? Odrzucił podejrzenia, że osadnicy mogli kłamać albo wyolbrzymić swoje odkrycie. Żyli tak daleko od galaktycznej polityki, że w ogóle nie mieli pojęcia, kim jest imperator Mengsk, ba – nawet nie słyszeli o Dominium Terrańskim!

A zresztą, co kogo obchodzi, że jacyś zarośnięci farmerzy wygrzebali z ziemi świecąca górę i nie wiedzą, co z nią zrobić?

Chyba że znalezisko ma jakąś wartość. Imperator Mengsk nigdy nie reagował zbyt spontanicznie. A jeśli ten obcy obiekt jest naprawdę czymś ważnym? Czymś, czego nie powinien zbagatelizować? Może na przykład przedstawiać jakieś nowe zagrożenie, pozostawione przez Zergi albo Protossów – dwie dziwaczne rasy, które wciąż budziły w Arcturusie lęk, mimo że swego czasu posłużył się nimi dla własnych celów i dzięki temu rozgromił politycznych rywali.

Czy odważy się zlekceważyć odkrycie bez dokładniejszego zbadania? Co, jeśli pulsujący artefakt jest skarbnicą wiedzy? Co, jeśli zawiera cenne bogactwa lub surowce... albo nawet broń? Relikty obcych cywilizacji były czymś wyjątkowo rzadkim. Imperator zdawał sobie

sprawę, że potrzebna mu każda pomoc, aby umocnić swoją władzę.

Przeszedł do sali dowodzenia i wywołał podświetlone trójwymiarowe mapy gwiazdne, przedstawiające sektor Koprulu. Popatrzył na znajome układy i planety, kazał komputerowi dodać na mapie maleńki punkcik oznaczający kolonię Bhekar Ro zgodnie ze współrzędnymi odczytanymi z sygnału transmisyjnego. Osadnicy z tej planety przez tyle lat nie dawali znaku życia, że zupełnie zniknęli z oficjalnych rejestrów Konfederacji. Mengsk burknął coś pod nosem na temat niekompetencji swych poprzedników.

Obejrzał uważnie obszar otaczający Bhekar Ro, po czym wyświetlił mapę strategiczną, pokazującą, gdzie w danej chwili stacjonują wszystkie okręty imperatorskie obecne w sektorze. Z uśmiechem na brodatej twarzy Arcturus podjął decyzję. Wyśle na rozpoznanie generała Duke'a i jego Eskadrę Alfa. Akurat czekali, żeby się czymś zająć, imperator zaś z chęcią na jakiś czas pozbędzie się gburowatego generała, który zresztą przypadkiem znajdował się w pobliżu Bhekar Ro. To zadanie zajmie Duke'a i jego marines, a Mengsk wątpił, aby koloniści chcieli wylewać swoje żale przed gruboskórnym oficerem. Niech się generał zajmie jakimś ciekawszym zadaniem niż do tej pory, przynajmniej będzie się trzymał w bezpiecznej odległości od Korhala.

Duke złożył wprawdzie przysięgę na wierność nowemu Dominium, ale przecież wiele lat walczył po stronie Konfederacji. Mengsk czuł się nieswojo ze świadomością, że tak doświadczony dowódca, rozporządzający potężnymi siłami, krąży w pobliżu i się nudzi.

Generał był zahartowanym w bojach starym żołnierzem, który przysiągł bronić nowego rządu. Tacy ludzie traktowali przysięgi poważnie, niemniej... Imperator postanowił dać generałowi i jego ludziom szansę wykazania się.

Holoprojektor zresetował się i zaczął odtwarzać mowę koronacyjną od nowa. „Rodacy Terrańczycy, przychodzę do was, aby, w związku z ostatnimi wydarzeniami, zaapelować do waszego rozsądku...”

Przez moment Mengsk zastanawiał się, czy nie wyłączyć urządzenia, w końcu jednak uznał, że wysłucha mowy jeszcze ten jeden raz.

Napisał rozkazy i przesłał je do działu łączności. W rozkazach tych odkomenderował Eskadrę Alfa – w trybie natychmiastowym – na planetę Bhekar Ro.

Rozdział 10

O świcie na burym niebie Bhekar Ro zawirowały rzadkie chmury. Potem przez zawieszistą warstwę atmosfery przeszły niespokojne zmarszczki, jak na plamie tłuszczu unoszącej się na nieruchomej wodzie. Nad rozległą przestrzenią nieużytków panował spokój... zbyt duży spokój.

Nagle suche powietrze przeszył huk i niebo rozdarła szczelina zakrzywionej czasoprzestrzeni. Łoskot wprowadził w panikę jastrzębia, któremu po raz pierwszy w życiu tak brutalnie zakłócono odwieczną wędrówkę w poszukiwaniu pożywienia.

Kiedy wreszcie w dolinie przebrzmiały echa grzmotu, zza chmur wyłonił się protossański obserwator z Qel'Ha i zawisł wysoko nad powierzchnią ziemi. Obserwatory były zdalnie sterowanymi jednostkami rozpoznawczymi, przeznaczonymi do zbierania informacji. Nigdy nie brały udziału w bitwach.

Zgodnie z zaprogramowaną procedurą obserwator włączył pole mikromaskujące i chwilę potem zniknął. Następnie, opuściwszy się tuż nad powierzchnię gruntu, aktywował skomplikowany system sensorowy, który wyczerpywał większą część energii operacyjnej urządzenia i pozostawiał je praktycznie bezbronnym.

Otworzyła się trzyskrzydłowa pokrywa, z komory ładunkowej wysunęło się wielkie cyklopowe oko i rozpoczęło poszukiwania.

Dopóki leciał przez niezmierną pustą przestrzeń międzygwiazdną, nie mógł precyzyjnie określić współrzędnych planety. Dopiero teraz, gdy zlokalizował źródło wyemitowanego sygnału, rozmieścił stawy nawigacyjne, aby Qel'Ha i reszta protossańskiej floty ekspedycyjnej mogli trafić dokładnie w miejsce przeznaczenia.

Przez kilka godzin obserwator bez przeszkód badał niezamieszkałe tereny Bhekar Ro. Zataczał w górze ogromne kręgi, powoli zbliżając się do strzaskanego zbocza góry, gdzie na wpół odsłonięta organiczna osobliwość połyskiwała w porannym świetle słońca. Sporządzał obrazy artefaktu, robił analizy i na bieżąco wysyłał raporty do egzekutora Koronisa. Po swojej pierwszej transmisji tajemniczy obiekt więcej się nie odezwał. Czekał.

Po zakończeniu badania niezwyklej budowli z bezpiecznej odległości, na jaką pozwalał mu program, aby nie zbudzić artefaktu, obserwator przystąpił do rozpoznania dalszych

terenów. W szczegółowym zestawieniu danych strategicznych przekazał zdjęcia łańcuchów górskich i potwierdził – bez śladu zaskoczenia w zrobotyzowanym mózgu – obecność pól uprawnych oraz ludzkich siedlisk złożonych z prefabrykowanych budynków.

Aby dokonać szczegółowej oceny sytuacji, pod osłoną maskującej niewidzialności zbliżył się do zaobserwowanych gospodarstw, aż w końcu zawisł nad głównym miastem kolonii i zaczął zbierać dane na temat osadników – populacji, obronności...

* * *

Ranek wstał jak każdy inny, lecz dla Oktawii był to pierwszy dzień, który musiała przywitać w samotności.

Kolonizatorzy zostawili ją samej sobie, nawet burmistrz, który, jak wiadomo, na ogół był mocniejszy w gębie niż działaniu.

Siedziała na ośmiokątnym rynku i wspominała brata. Przypominała sobie ich rozmowy o tym, kto w kolonii nadawałby się na męża dla Oktawii albo na żonę dla Larsa, o ich ciężkiej pracy i planach na przyszłość. Wspominała wspólne dzieciństwo – zabawy, kłótnie...

Od śmierci rodziców minęło tyle czasu, że rany zdążyły się już zabiżnić. Osadnicy na Bhekar Ro byli oswojeni z niespodziewanymi nieszczęściami i potrafili okazywać współczucie, nie poddając się paralizującej rozpaczce. Free Haven wycierpiało już do tej pory dużo i mogło znieść jeszcze niejedno. Takie było ich życie. Dziadkowie Oktawii uważali to za lepszy los niż jarzmo Konfederacji Terrańskiej. Tu byli przynajmniej wolni... chociaż Oktawia nie była w tej chwili pewna, czy rzeczywiście woli to krótkie życie w ciągłej niepewności, jakie wiedli na Bhekar Ro.

Nie mogła sobie darować, że pojechali wczoraj sprawdzać te sejsmografy i kopalnie. Lars był taki podniecony ich odkryciem. Dlaczego nie mógł być taki, jak inni osadnicy? Czemu musiała go zżerać niezaspokojona ciekawość, ciągły niedosyt? Czemu nie mógł poprzestać na takim życiu, na jakie ich było stać?

Bo wtedy nie byłby Larsem.

Poranek z wolna przechodził w dzień, a Oktawia wciąż siedziała w tym samym miejscu, obok starej ozdobnej wieży przeciwlotniczej, zbudowanej nad opuszczonym bunkrem przez pierwszych osadników. Miała to być stacja wartownicza, zautomatyzowana budowla obronna, służąca do obserwacji nieba i ochrony Bhekar Ro... przed czym? Tego Oktawia nie wiedziała.

Tak więc działa tkwiło tu w milczeniu od ponad czterdziestu lat i nikt nie wierzył, że w ogóle jeszcze działa. Miejsce od dawna przestało być dla kolonistów wieżą obronną, zamieniło się raczej w pomnik, pamiątkę przypominającą o tym wszystkim, przed czym uciekali pierwsi osadnicy. Od czasu do czasu ktoś proponował, aby je zdemontować i wykorzystać części, ogniwa zasilające i przyrządy, ale burmistrz nigdy nie zdobył się nawet na to, żeby zebrać brygadę do rozbiórki.

I kiedy tak Oktawia siedziała w samotności, rozmyślając o Larsie i patrząc w górę na

brzydkie, bezkształtne chmury, niespodziewanie w wieżycze coś kliknęło, zabuczało i po chwili całe urządzenie zaczęło się obracać. Lampki kontrolne zamrugały, zatrzeszczały i raptem rozbłysły jaskrawym światłem.

Oktawia zerwała się na równe nogi i z krzykiem odskoczyła w bok. Z pobliskich domów wyszło kilka osób, żeby zobaczyć, co się stało. Wszyscy natychmiast zauważyli lampki aktywacyjne i obracające się niezgrabnie działo. Na szczycie wieżyczki paliło się jasne światło wirującego skanera. Po chwili automatyczne czujniki wyznaczyły kierunek i namierzyły na niebie niewidzialny cel.

Wieżyczki przeciwlotnicze zaprogramowano do automatycznego zestrzeliwania nadlatujących statków nieprzyjacielskich, ale służyły także za stacje wartownicze, tak więc ich wyjątkowo silne czujniki potrafiły wysledzić nawet zamaskowane, niewidzialne jednostki.

Teraz milcząca od dziesięcioleci wieżyczka na głównym placu Free Haven namierzyła cel, wybrała pocisk, po czym przy wtórze trzasków i zgrzytów zastałych mechanizmów załadowała go do komory. Systemy detektora, który najwyraźniej nie działał, jak należy, zamigotały i zaiskrzyły. Niemniej widać było, że coś wykryły.

Wreszcie, emitując pojedynczy impuls energii, wieża wystrzeliła pocisk w kierunku niewidzialnego celu na niebie. Po tym gwałtownym przebudzeniu dawno nie używane podzespoły odmówiły posłuszeństwa i spod pokrywy zaczął się wydobywać dym.

Niecodzienne odgłosy w mgnieniu oka wywabiły z domów pozostałych kolonistów, zdumionych przede wszystkim niezwykłym faktem, że wojskowy sprzęt w ogóle jeszcze działa.

– To mógł być samozapłon – powiedział burmistrz. – Dawno już trzeba ją było wyłączyć.

Pocisk wystrzelił w górę niczym eksplodujący oszczep i zatoczywszy w powietrzu idealny, łagodny łuk, uderzył w coś, co wyglądało jak zmarszczki powietrza w otoczeniu jasnej aureoli.

Oktawia wyciągnęła palec w tamtym kierunku.

– To nie samozapłon! Patrzcie! Pocisk w coś uderzył.

Z błyskiem światła pole maskujące obserwatora znikło, a uszkodzony statek zakołysał się w powietrzu i z rozprutym kadłubem i urwanym jednym skrzydłem pokrywy zaczął gwałtownie tracić wysokość. Po chwili rozległa się seria cichych eksplozji i urządzenie, wirując gwałtownie, runęło w dół, by wreszcie roztrzaskać się na polu poza miastem.

Nie oglądając się za siebie, czy inni podążają jej śladem, Oktawia popędziła w kierunku miejsca katastrofy. Wkrótce potem zatrzymała się przed kraterem wydrążonym w ziemi przez poskręcany, szerniały wrak statku. Niewiele zostało z obserwatora, co nadawałoby się do zbadania.

W czasie gdy inni dopiero nadbiegali od strony miasta, Oktawia oglądała resztki rozbitej sondy. Znalazła dziwne obce znaki na obudowie, pogięte panele nad rzędami czujników oraz wielkie główne oko.

– Albo w ostatnim czasie Konfederacja radykalnie zmieniła stylistykę swoich rozwiązań konstrukcyjnych, albo to jest coś, czego nie zbudowali żadni Terrańczycy. – Mówiąc to, burmistrz stwierdził jedynie fakt, który zdążyli już sobie uświadomić wszyscy obecni.

Oktawię przeszedł lodowaty dreszcz. Najpierw burza i trzęsienie ziemi odkryły olbrzymi artefakt zagrzebany pod górami. Teraz z kolei z nieba spada im zestrzelony niewidzialny obiekt, którego przeznaczenia mogą się tylko domyślać.

Koloniści zaczęli szemrać między sobą, rzucając na roztrzaskany statek niespokojne spojrzenia. Oktawia odwróciła się tyłem i przygryzła dolną wargę. Co tu się dzieje? I co się jeszcze zdarzy?

Rozdział 11

Kiedy natarczywy sygnał z odległego artefaktu dotarł do rojów Zergów na planecie Char, Królowa Ostrzy poczuła falę uderzeniową niczym lawinę wewnętrznych wstrząsów. Sara Kerrigan siedziała w środku swego rozrastającego się ula i czuła, jak pulsacyjna transmisja łomocze jej w skroniach rozdzierającym elektromagnetycznym wrzaskiem. W jakiś sposób to dudniące wołanie rezonowało z nowymi rejestrami w jej umyśle, budziło odzew w pierwotnych strukturach genetycznych, zakodowanych w segmentach zergańskiego DNA.

Pod wpływem brzęczącego sygnału organiczna powłoka ula zaczęła się jarzyć, jak gdyby i ona usłyszała od dawna zapomniane wołanie.

Jakieś podświadome wspomnienie wyzwolone przez sygnał wprawiło zergańskie stwory w szal. Ogromne hydraliski stawały dęba, z sykiem siekły szponami powietrze i nastroszywszy ostre kolce, gotowały się wypuścić grad śmiertcionośnych żądań w każdego, kogo uznają za wroga. Psokształtne zerglingi miały się jak oszalałe, rzucały się na robotników i larwy, rozszarpując ich na strzępy.

Chociaż dziwny sygnał rozsadał jej głowę, Sara Kerrigan zacisnęła zęby i narzuciła sobie spokój umysłu. Potem skupiła całą moc psychiczną, aby poskromić rozszalały instynkt zerglingów. Musi je powstrzymać, zanim pozabijają resztę mieszkańców ula.

W poprzednim wcieleniu Sara przeszła trening w ramach programu szkolenia duchów dla Konfederacji. Terrańczycy poddali ją koszmarnemu procesowi neuralnemu, zmierzającemu do opanowania jej uśpionych psychozdolności. Wszczepili jej kielzno psychiczne, aby nią sterować, aby zrobić z niej dobrego szpiega i agenta wywiadu. Zmuszano ją do mordowania niezliczonych wrogów Konfederacji, wpojono przeświadczenie, że życie jest towarem, nietrwałym, wymiennalnym artykułem jednorazowego użytku.

To była dobra szkoła. Sarę jednak zdradzili ludzie, którym służyła, zostawili ją na pewną śmierć na placu boju opanowanym przez Zergi, na Tarsonis. Kobieta o nazwisku Sara Kerrigan stała się Królową Ostrzy i teraz w jej rękach spoczywała przyszłość Zergów.

Musi tylko nad nimi zapanować.

Sygnał pulsował nieubłaganie. Z zewnątrz rozrastającego się ula Sara słyszała wibrujące, przerażone ryki ogłupiałego ultraliska. Po chwili udało jej się uspokoić olbrzymiego potwora,

zajęła się więc innymi, którzy siali zniszczenie. W końcu, narzucając wszystkim swą żelazną wolę, na powrót zaprowadziła w ulu spokój.

Po jakimś czasie pulsujący sygnał-krzyk ustał. Błogosławiona acz przerażająca cisza spadła na ul jak lawina. Kerrigan wciągnęła głęboko powietrze i powoli przywróciła równowagę swoich układów biologicznych. Czuła, jak życie w ulu powraca do normy, choć wszyscy jego mieszkańcy nadal byli głęboko poruszeni.

Zaczęła myśleć. Syreni głos osobliwej transmisji przemawiał do jakiejś podświadomej, instynktownej pamięci, wszczepionej im przez Xel’Nagę. Coś w głębi zmutowanego ciała Królowej Ostrzy mówiło jej, że źródło tego sygnału musiało być niewiarygodnie stare i pochodziło prawdopodobnie od tej samej cywilizacji, która stworzyła Zergi i Protossów.

Chociaż znaczną część umysłu musiała Sara wykorzystywać na nadzorowanie milionów członków swej niespokojnej rasy, uwolniła część myśli, aby rozważyć to, czego doświadczyła. Wiedziała od razu, że Zergi muszą zbadać, muszą osiąść to coś, co wysłało ów potężny impuls.

Podjąwszy decyzję, przywołała najdorodniejsze okazy z nowego wylęgu, jakie udało jej się wyhodować od śmierci Nadumysłu. Miała zadanie dla szczepu Kukulkan – nazwanego tak na cześć potężnego boga-węża z terrańskich legend, upierzonego bóstwa starożytnych Majów. Uznała, że jest to idealna nazwa, złowroga, a więc stosowna dla najniebezpieczniejszych rojów szturmowych w całej rozproszonej rasie Zergów. Sara mogła na nich polegać.

Kiedy zebrał się już cały szczep Kukulkan, wszyscy zwierchnicy, mutaliski, hydaliski, zerglingi, ultraliski, królowe i robotnicy – wszystkie siły niezbędne do stworzenia potężnej armii inwazyjnej – Kerrigan wyprawiła ich z dymiących gruzów planety Char, aby przemierzały przestrzeń niczym mordercze owady.

Rozkaz, jaki otrzymały, był jednoznaczny i jasny nawet dla ciasnych umysłów rozmaitych zergańskich żołdaków: znaleźć obiekt, który wysłał sygnał, i przejąć go... za wszelką cenę.

Rozdział 12

Sala zebrań Free Haven znów się wypełniła po brzegi wstrząśniętymi i rozdrażnionymi kolonistami. Tym razem jednak nikt im nie musiał mówić, że sytuacja na ich cichej planecie uległa radykalnej zmianie, a co więcej, że zmiana ta może zagrozić ich życiu. Wydarzenia wymknęły im się spod kontroli.

Tym razem również, z wyjątkiem kilkorga dzieci zbyt młodych, aby mogły zrozumieć, co się dzieje, w sali zebrań stawili się wszyscy osadnicy, nawet rodziny z odległych podmiejskich farm.

Oktawia siedziała w pierwszym rzędzie, tuż przed podestem z mównicą. Obok niej usiadło wielu młodszych mieszkańców kolonii, aby ją w razie potrzeby wesprzeć – Jon, Gregor, Wes, Kiernan i Kirsten Warnerowie. Z prawej strony siedziała Cyn McCarthy. Miedziane włosy zwisały jej bezwładnie wokół posępnej twarzy, posklejane w kosmyki, jakby nie myte od wielu dni, a z ciemnoniebieskich oczu znikł dawny optymizm. To przstraszyło Oktawię najbardziej. Czowała, że najgorsze jeszcze przed nimi. Koloniści z Bhekar Ro będą potrzebować całego swego uporu i determinacji, aby przetrwać. Kiedy burmistrz wskoczył na podest, Oktawia aż się zdumiała, jak szybko zapadła na sali cisza.

– Moi drodzy, twardzi z nas ludzie i niejedno już przeszliśmy – zaczął. – Od dawna z dumą głosiliśmy, że nic nie jest w stanie złamać naszego hartu. Radzimy sobie z kataklizmami pogodowymi, zakłóceniami tektonicznymi, plagami, gwałtowną śmiercią, znosimy to wszystko ze spokojem ducha i idziemy naprzód. Ale w ostatnich dniach widzieliśmy rzeczy, które przerastają nasze wyobrażenia. Przez wszystkie lata przeżyte na tej planecie ani razu nie musieliśmy stawiać czoła nieprzyjacielskim obcym. Innymi słowy, musimy być przygotowani na niespodziewane.

W tym momencie podniósł się stary Rastin.

– Przecież to śmieszne, nie sądzisz? Jak mamy być przygotowani na niespodziewane, jeśli nie wiemy, czego się spodziewać?

Odezwała się Shayna Bradshaw.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że będziemy się musieli bronić, to od razu powiedz też, czym. Nie mamy żadnej porządnej broni. Jesteśmy kolonistami, mamy narzędzia rolnicze, owszem, i

trochę broni strzeleckiej do polowań. – Potrząsnęła wymownie głową. – Tak jakby na tej planecie było na co polować!

Oktawia wpadła w złość.

– Słuchajcie! Najpierw ogromny artefakt dosłownie anihiluje mojego brata i wysyła w kosmos jakiś sygnał. Potem nasza wieża przeciwlotnicza budzi się nagle po czterdziestu latach i zestrzeliwuje nad miastem obcy obiekt. To mogła być wiadomość, broń albo szpieg! Musimy być przygotowani na niebezpieczeństwo. Ten dziwaczny przekaz przyciągnął czyjąś uwagę i nie wiemy, co nas czeka dalej. Proponuję więc, żebyśmy przestali narzekać na to, czego nie wiemy i czego nie mamy, a zaczęli się zastanawiać, co możemy zrobić.

Kiedy usiadła na ławce obok przyjaciół, ku jej zdziwieniu z miejsca podniosła się Cyn.

– Nik, co z tymi Terrańczykami, z którymi rozmawiałeś? Czy możemy oczekiwać od nich jakiejś pomocy? Zjawia się tu niebawem?

Burmistrz zmarszczył czoło z zakłopotaniem.

– Ach, tak, Dominium Terrańskie. Ich imperator powiedział, że niezwłocznie kogoś przyśle. – Przerwał i zarumienił się. – Tylko, że to było kilka dni temu. Nawet jeśli już wyruszyli, nie wiemy, czy zdążą tu przylecieć, zanim następny nieprzyjacielski obiekt pojawi się nad naszymi głowami.

Cyn wyprostowała się, a w jej oczach Oktawia zobaczyła błysk zaciętej determinacji.

– W takim razie musimy po prostu przygotować się do obrony.

– A co z materiałami wybuchowymi, których używamy do równania terenów pod uprawy i w kopalniach? – powiedział Kiernan Warner. – Nie moglibyśmy ich użyć jako broni?

Po sali się rozszedł szmer aprobaty i nadziei. Z miejsca poderwał się Wes.

– Słuchajcie, przecież prawie każdy z nas ma pistolety pulsacyjne do polowania na jaszczurki!

Teraz wstał także jego brat cioteczny, Jon.

– Znam się trochę na elektronice i urządzeniach. Gdyby Oktawia mi pomogła, może udałoby się nam naprawić wieżę przeciwlotniczą na placu.

Oktawia uśmiechnęła się do niego zachęcająco. Nareszcie sytuacja zaczęła nabierać rumieńców.

– Moja robożniwiarka ma działko do rozsadzania skał, wiele innych wyposażonych jest w miotacze płomieni. One mogą dokonać całkiem pokaźnych zniszczeń.

Ten potok pomysłów przerwał stary Rastin.

– Czyja tu siedzę ze zgrają niedowarzonych ptasich mózdzków? Jakieś na wpół spalone artefakty! Jakieś nieznanne statki kosmiczne! Czy wy naprawdę myślicie, że to inwazja obcych? I co to za obcy, waszym zdaniem? Prawda jest taka, że nie mamy pojęcia, co tu się dzieje, a dopóki się czegoś nie dowiem, nie mam zamiaru siedzieć tu na tyłku i biadolić. – To powiedziawszy, zaczął się przepychać do wyjścia. – I niech się wam nie zdaje, że będę wam dawał darmowy vespen, bo ktoś sobie ubzdurał, że mu się niebo na łeb wali!

Burknął coś jeszcze z niesmakiem, po czym wymaszerował ostentacyjnie z sali.

Burmistrz czas jakiś stał z otwartymi ustami, nieco zbity z tropu. Dopiero po chwili zabrał głos.

– No cóż, naturalnie nie powinniśmy wpadać w panikę. Rastin ma trochę racji, w końcu imperator Mengsk z Dominium Terrańskiego został poinformowany o zaistniałej sytuacji i pomoc prawdopodobnie jest w drodze...

W końcu stracił wątek i zamilkł.

W obawie, że zebrani koloniści znów wpadną w stan błogiej beczynności, Oktawia weszła na podest i stanęła koło burmistrza.

– Nik ma rację, nie pora teraz panikować, pora na konstruktywne działania. – Uśmiechnęła się, widząc, jak Cyn i inni jej młodzi towarzysze wkroczyli na podest, aby zmanifestować swoje poparcie. – Wszyscy słyszeliśmy, jakie są i pomysły dotyczące przygotowań na to, co ma nastąpić.

Tłum odpowiedział zgodnym przytwierdzającym pomrukiem, po czym ruszył do wyjścia.

Rozdział 13

Na pokładzie dowódczym Qel'Ha egzekutor Koronis powiększył rozdzielczość obrazów i przyglądał się wspaniałej organicznej budowli. Obserwator przekazywał jedno zdjęcie za drugim. Łuki i łagodne krzywizny upodabniały artefakt do katedry wzniesionej przez jakieś owady z przerostem ambicji. Spirale, wygięcia, świecące powierzchnie – wszystko dawało świadectwo skomplikowanej i niepojętej, lecz świadomej konstrukcji.

Obok egzekutora stał sędzia Amdor, promieniejący podnieceniem i zapałem – jakże odmiennym od bezlitosnego sceptycyzmu, który wykazywał przez całe lata ich bezowocnych poszukiwań.

Koronis z zachwytem oglądał zjeżone przezroczyste wypustki połyskujące w skalnych rumowiskach wokół artefaktu.

– To są kryształy Khaydarinu – powiedział, próbując sobie jednocześnie wyobrazić, jaka potężna moc musi drzemać w tak ogromnych formacjach.

Przypomniał sobie mrowienie energii, które czuł za każdym razem, gdy dotykał maleńkiego okruchu spoczywającego w jego prywatnej kajucie. Już same te ogromne kryształy wokół reliktu starczyłyby za bezcenne znalezisko. Mogą stanowić potężną broń oraz nieocenione bogactwo naturalne dla Protossów.

Amdora natomiast znacznie bardziej interesowały runy na zewnętrznych ścianach budowli oraz ich dziwne kształty.

– Te znaki oraz zakodowany, a bez wątpienia starożytny sygnał są niezaprzeczalnym dowodem, że ten obiekt jest dziełem Wędrowców z Oddali. Znaleźliśmy spuściznę Xel'Nagi!

Powiódł roziskrzonym wzrokiem po wszystkich Protossach obecnych na mostku Qel'Ha. Z jego myśli tchnął entuzjizm, który ogarniał pozostałych Khalai i rozpałał w nich I jeszcze większy zapal.

– Musimy odzyskać ten skarb pozostawiony przez naszych przodków. – Uniósł rękę jak dowódca floty i wskazał przed siebie. – Naprzód! Cała naprzód. Musimy zdobyć ten artefakt dla naszej wspólnoty.

Egzekutor Koronis zeszywniał. Nic nie uprawniało Amdora, nawet jego pozycja w hierarchii kastowej, do wydawania takich rozkazów. Powtórzył rozkaz sędziego tak, jakby

instrukcje pochodziły wyłącznie od niego.

– Nie wrócimy do domu od razu. Chociaż Aiur poniósł dotkliwe straty w okrutnej wojnie, odkrycie takie jak to może pomóc Pierworodnym wznieść się ponownie na szczyty potęgi.

Amdor jeszcze raz popatrzył na zdjęcia.

– Plaga Zergów wdziera się w przestrzeń terytorialną Prossów i chociaż my i oni mamy ten sam rodowód w pradawnym plemieniu Xel’Nagi, Pierworodni nigdy nie uznają Zergów za swoich braci. Nie pozwolimy im zawładnąć artefaktem ani wiedzą, którą być może skrywa jego wnętrze. Dziedzictwo Xel’Nagi musi należeć do nas.

Daleki obserwator kontynuował poszukiwania i przysyłał coraz to nowe obrazy monotonnego świata Bhekar Ro. Nagle Koronis ze zdumieniem dostrzegł zorganizowaną kolonię terrańską i budowle wzniesione przez nieliczną grupę ludzkich osadników, walczących o codzienny byt na tej nieprzyjaznej planecie.

Kiedy jednak w osadzie włączyła się stara wieża przeciwlotnicza i zestrzeliła niewidzialnego obserwatora, egzekutor odskoczył jak oparzony, jak gdyby pocisk był wymierzony prosto w niego. Eksplozja spaliła na popiół delikatne czujniki sondy i statek roztrzaskał się na powierzchni gruntu.

Strata obserwatora niewymownie rozdrażniła sędziego Amdora – nie żeby Terrańczycy stanowili jakies zagrożenie dla Protossów, ale dlatego, że nie mógł już liczyć na następne obrazy tajemniczego artefaktu aż do czasu przybycia na Bhekar Ro.

– Kiedy znajdziemy się w pobliżu planety, powinniśmy zachować ostrożność – powiedział Koronis. – Nie wiemy, jaką zdolność militarną mają ci Terrańczycy ani też jakie środki obronne mogą przeciwko nam wykorzystać. Proponuję zatrzymać flotę w bezpiecznej odległości i wchodzić i w układ powoli, aby na bieżąco oceniać sytuację.

Niespodziewanie sędzia Amdor obrócił swój gniew przeciwko Koronisowi.

– To całkowicie zbędne. Widział pan zdjęcia. To prymitywna kolonia. Dysponują zaledwie namiastką środków technicznych. Poza tym to są ludzie. Nie mają związku z artefaktem.

Egzekutor przyznał mu rację. Tak więc Qel’Ha ruszył przed siebie razem z całą resztą sił ekspedycyjnych i wkrótce pruł przestrzeń z największą prędkością.

Koronis ponownie przejrzał obrazy przesłane przez obserwatora. Długo wpatrywał się w niesamowitą i fascynującą budowlę starożytnej Xel’Nagi. Zaczynał wierzyć, że teraz, nareszcie, po tylu porażkach, po tym, jak nie zdążyli na czas, aby wziąć udział w wielkiej bitwie w obronie Aiura, po fiasku poszukiwań czarnych templariuszy, uda mu się osiągnąć chociaż ten jeden cel wyprawy. Być może wynagrodzi mu to gorycz wszystkich poprzednich klęsk.

Rozdział 14

Przez kilka następnych dni, podczas gdy koloniści przygotowywali się na kolejne niespodziewane wydarzenia, Oktawia robiła się coraz bardziej niespokojna. Gdzieś w głębi jej podświadomości narastało napięcie. Czuła w myślach czyjąś obecność, jak gdyby jakaś żywa istota próbowała jej coś powiedzieć. Czyżby było to jedno z jej przeczuć? A może tylko gra wyobraźni. Gdyby nie wydarzenia ostatniego tygodnia, zapewne zlekceważyłaby dziwaczne uczucie, ale tym razem wiedziała, że to nie złudzenie. Oczywiście świeży był jeszcze ból po śmierci Larsa, ale to nie jego wspomnienie ani też jego duch tak uparcie towarzyszyły jej tuż pod progiem świadomości.

Napięcie narastało i stopniowo przeradzało się w potężne psychiczne ciśnienie, aż wreszcie stało się nie do wytrzymania.

Sama obrabiała pola. Zebrała już w domu wszystko, co przypominało broń, przekazała też zapasy jedzenia do wspólnej kuchni, którą organizował Abdel Bradshaw.

Jak dotąd nigdzie nie było ani śladu posiłków od Dominium Terrańskiego, nikt też nie zauważył kolejnego obcego statku ani nowego nieznanego reliktu.

Mimo to lęk i ciągły niepokój doprowadzały Oktawię na skraj wytrzymałości nerwowej. Na każdy najdrobniejszy szelest serce podskakiwało jej do gardła.

W końcu uznała, że dłużej tego nie znieśie. Niewiele myśląc, co właściwie ma zamiar zrobić, wskoczyła do roboźniwiarki i pojechała w stronę artefaktu. Musi go znowu zobaczyć, zmierzyć się z nim i uzyskać kilka odpowiedzi.

Przez całą drogę czuła więź, coraz mocniejszą nić łączącą jej podświadomość prawie telepatycznym związkiem z tajemniczą budowlą.

Czy to możliwe, żeby ten relikty był żywy? – pomyślała.

Z każdym szcęknięciem metalowych bieżników roboźniwiarki coraz mocniej czuła, słyszała to coś – coś uśpionego, olbrzymiego i obcego.

To coś pożarło Larsa, zaabsorbowało go... i wcale się nim nie nasyciło. „Tak” – zdawała się przytakiwać obca myśl w jej głowie. To coś było zgłodniałe, pragnęło się karmić żywymi istotami...

... ale nie ludzkimi. Ono łaknęło czegoś innego.

W miarę jak roboźniwiarka schodziła z gór do drugiej doliny, a potem przemierzała płaską powierzchnię, zbliżając się do strzaskanego zbocza góry, ów głód stawał się coraz intensywniejszy, coraz bardziej odczuwamy. Był to głód życia.

Oktawia ze złością próbowała wyrzucić z głowy obcą świadomość. Skoro to coś nie potrzebowało Terrańczyków, czemu zabiło jej brata? Zamordowało Larsa przez pomyłkę? I co? Pozbyło się jego esencji? Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie, ale też wcale jej to nie obchodziło. Lars nie żył i ta świecąca góra była temu winna. Tylko to się liczyło.

Zatrzymała roboźniwiarkę u stóp zbocza i zmierzyła niesamowity artefakt groźnym, badawczym wzrokiem. Głodny? Świetnie, ona też czuje głód – głód zemsty. I dla odmiany ma ochotę zrobić coś pożytecznego.

Włączyła zasilanie działka do rozsadzania skał. Sama zasugerowała na zebraniu, że można by go użyć jako broni. No to teraz wypróbuje swój pomysł w praktyce.

Wycelowała starannie, nacisnęła spust i wystrzeliła pocisk, jaki na co dzień koloniści stosowali do oczyszczania pól z wielkich głazów. Odchyliła się w fotelu i z uczuciem satysfakcji obserwowała, co się stanie.

Pocisk trafił dokładnie w namierzony punkt. Znajomy huk potężnej eksplozji był wyjątkowo silny. Wybuch uderzył przede wszystkim w las kryształów wyrastających ze stoków niczym chwasty na rumowisku.

Mniej więcej przez minutę na ziemię wokół roboźniwiarki opadał deszcz pyłu i skalnych okruchów. Oktawia odczekała, aż kłęby kurzu ostatecznie osiadą. Potem włączyła wycieraczki i wyjrzała przez szybę, żeby ocenić zniszczenia.

Żadnych zniszczeń jednak nie było. Ogromna konstrukcja stała nawet nie draśnięta. Przeciwnie, robiła wrażenie jeszcze bardziej błyszczącej, jeszcze... zdrowszej! Oktawia osiągnęła ten jedynie efekt, że oczyściła zewnętrzne ściany artefaktu ze skał, które nie odpadły w czasie burzy i trzęsienia ziemi.

Wpatrywała się w budowlę zafascynowana i sfrustrowana zarazem, gdy nagle artefakt zaczął pulsować, a las kryształów zajaśniał wewnętrznym światłem. Przez gładką, falistą powierzchnię ścian przebiegły trzaskające wyładowania energii, które błyskały coraz jaśniej, aż wreszcie splotły się w jeden stały promień i wystrzeliły prosto w roboźniwiarkę.

Oktawia wrzasnęła, skuliła się i zasłoniła oczy ramieniem. Cios odwetowy uderzył w ciężki traktor niczym meteor. Dziewczyna złapała się siedzenia, kiedy pojazd zakołysał się gwałtownie. Odruchowo rzuciła się do drzwiczek, żeby wyskoczyć z kabiny i szukać schronienia na zewnątrz, po chwili namysłu jednak uznała, że byłoby to jeszcze bardziej niebezpieczne.

Tablica rozdzielcza roboźniwiarki zaskwierczała i zaczęła iskrzyć. Tymczasem artefakt nie przerywał świetlnego bombardowania, jak gdyby chciał się upewnić, że przesłanie dotrze do odbiorcy. Włosy stanęły Oktawii na głowie od silnego pola elektrostatycznego. Krzyknęła znowu, na wpół ze strachu, na wpół przeklinając napastliwy obiekt.

W końcu atak ustał. Oktawia siedziała ogłuchła, przed oczami tańczyły jej kolorowe plamy. W pojeździe wszystkie urządzenia zamilkły, kabina pełna była ozonu i dymu, a z nad komory silnika unosiły się białe opary.

Wychodząc z roboźniwiarki, Oktawia oparzyła się o gorący metal. Z nabożnym lękiem odsunęła się od wraku. Jeden rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że tym razem starej kolubryny nie da się już naprawić. Wszystkie elektryczne obwody wysiadły, przepaliła się większa część elementów napędu. Nie było mowy, żeby silnik zapalił.

Ale przynajmniej Oktawia przeżyła. Artefakt zniszczył pojazd, ale jej samej nie zrobił krzywdy, mimo że zaatakował go z pełną premedytacją. Co to mogło znaczyć? Oktawia potrząsnęła głową i zbeształa się w duchu za ten i głupi wybryk. Przejechała ręką po włosach i spojrzała za siebie, na słońce zniżające się nad horyzontem. Czeka ją długi spacer do domu...

Rozdział 15

Xerana siedziała w otoczeniu najcenniejszych intelektualnych skarbów, które zgromadziła przez lata badań i zebrała w tym muzeum i zarazem bibliotece na pokładzie swego statku. Nie potrzebowała snu, nie teraz, kiedy wielka tajemnica leżała na wyciągnięcie ręki.

Czarna templariuszka odebrała i nagrała przeszywający sygnał z dalekiego i nieznanego świata. W nieskończoność odtwarzała przekaz, szukała najdelikatniejszych zmian tonu, aby odkodować niezwykle przesłanie. Rozróżniła w sygnale starożytne elektromagnetyczne wzory i ułożyła je w warstwy subtelnych znaczeń. Prawdopodobnie niewielu było w całej galaktyce takich, którzy potrafiliby je w ogóle dostrzec.

Uczeni czarni templariusze zdobyli niejaki wgląd w wiedzę, dotarli do zabytków kultury Xel’Nagi. Xerana poznała strzępy historii, którą pozostali Protossi zapomnieli dawno temu. Z całej swej rasy właśnie ona miała największą szansę odkryć źródło obcej transmisji i odczytać jej prawdziwy sens.

Statek dryfował bez celu. Xerana zdała go na łaskę prądów Pustki i pozwoliła, aby kapryśne pola grawitacyjne, wiatry słoneczne i sama przestrzeń niosły go wedle własnej woli.

Odtwarzała nagrany sygnał raz za razem, aż każda komórka jej ciała skąpała się w pulsującym rytmie, aż jej umysł napełnił się hipnotycznym brzmieniem... aż w końcu, wykorzystawszy każdą cząstkę wiedzy, którą zebrała w swoim archiwum, pojęła najgłębszą tajemnicę zbudzonego do życia osobliwego obiektu.

Błysk niespodziewanego olśnienia wytrącił ją z głębokiej medytacji. Przeszedł ją dreszcz zrozumienia. Idąc w stronę mostku, czuła się słaba i roztrzęsiona. Przystanąła, żeby przygotować silniki. Potem usiadła w fotelu przy pulpicie sterowniczym swego błędzącego statku i stopiła się z nim w jedno.

Czekało ją mnóstwo pracy. Miała do wypełnienia zadanie.

Wiedziała, że nie tylko ona usłyszała daleki sygnał. Dotarł on do innych Protossów, a także do Zergów. Nikt z nich jednak nie miał pojęcia, czym w istocie jest ów pradawny artefakt. Jej zaś udało się przetłumaczyć tajemnicze przesłanie.

Nie miała wyboru – musiała wypełnić swój obowiązek.

Dawno temu konklawe sędziowskie wykluczyło czarnych templariuszy z protossańskiej wspólnoty. Mimo że zostali oni wygnani z Aiura i zmuszeni do życia z dala od reszty swojej rasy, chociaż cierpieli liczne prześladowania, zachowali lojalność wobec swych pobratymców. Także i teraz honor nakazywał Xeranie przekazać ostrzeżenie, nawet gdyby miało ją to kosztować życie.

Uruchomiła silniki i puściła się z zawrotną prędkością w pustą przestrzeń, kierując się w stronę punktu, którego współrzędne odczytała jako źródło sygnału. Poza wiedzą i pewnością siebie nie dysponowała zbyt potężną bronią.

Podróżowała samotnie, chociaż zdawała sobie sprawę, że dokładnie w tym samym czasie inni Protossi zmierzają zapewne w tym samym kierunku, w to samo miejsce wszechświata. Każdy sędzia z przyjemnością ująłby członkinię znienawidzonych czarnych templariuszy. To może być bardzo niebezpieczna podróż.

Xerana jednak nie miała czasu się bać. Nie miała też innego wyjścia, musiała podjąć ryzyko.

Odległość między nią a Bhekar Ro malała z minuty na minutę.

Rozdział 16

Wyruszywszy z planety Char, szczerp Kukulkan bez wytchnienia przemierzał przestrzeń międzygwiazdową. W lodowatej ciemnej próżni opancerzone ciała Zergów zamieniły się w przerażającą flotę żywych statków kosmicznych. Pod nadzorem licznych zwierzchników szczerp wykonywał polecenia Królowej Ostrzy, która zaplanowała tę misję: wytropić, przejąć i wyeksploatować artefakt Xel’Nagi.

Będzie należał do Zergów. Prawem podboju.

Olbrzymie behemoty poruszały się siłą własnych mięśni, podobne międzygwiazdowym diabłom morskim. Były to największe znane stworzenia w galaktyce. Gruba, pofałdowana skóra zapewniała schronienie innym Zergom w niezliczonych zakamarkach rozłożystego ciała. Same w sobie istoty te były zupełnie nieszkodliwe i bezbronne, za to niosły ze sobą całą potęgę i grozę pozostałych zergańskich podgatunków.

Wieki temu, kiedy rozmaici mistrzowie starożytnych Xel’Nagi eksperymentowali nad stworzeniem nowej rasy, zmodyfikowali dziką i wyjątkowo ekspansywną formę życia zamieszkującą planetę Zerus. Te prototypowe Zergi przystosowały się nadzwyczaj łatwo i błyskawicznie zasymilowały wszystkie inne tubylcze gatunki. Jednak po okresie gwałtownego rozwoju młodej rasy niedoświadczony zergański Nadumysł osiągnął punkt krytyczny, swoisty zator, który uniemożliwił dalszą ekspansję. Zergi bowiem były przykute do planety... dopóki w pobliżu ich układu nie zabłąkali się międzygwiazdni podróżnicy – behemoty.

Ogromni, lecz niezwykle łagodni żeglarze próżni zawędrowali na tyle blisko planety Zerus, że Nadumysł, wykorzystując swe potężne telepatyczne moce, zdołał ich do siebie przywołać. Kiedy zwabione i niczego nie podejrzewające olbrzymy znalazły się w zasięgu krwiożerczych stworów, te w mgnieniu oka zaatakowały je i zainfekowały. Wkrótce potem kod genetyczny gwiazdnych podróżników został włączony do zergańskiego DNA.

Tak oto drapieżna rasa rozwinęła zdolność przenoszenia się między układami planetarnymi, a wtedy nic już nie mogło jej powstrzymać.

I teraz, wyprawione w przestrzeń przez Królową Ostrzy, behemoty ze szczerpu Kukulkan przeniosły najpotężniejsze siły szturmowe Sary Kerrigan na niewielką planetę Bhekar Ro.

Zawisły kręgiem na orbicie niczym żywa chmura przyćmiewająca światło dalekich słońc, następnie opuściły się aż do granicy atmosfery i wypuszczając spiralne smugi powietrza, zaczęły z przestronnych fałd skórnych wypływać główne transportowce zergańskiej armii – zwierchników, którzy mimo swych olbrzymich rozmiarów zdawali się maleńcy pod monstualnymi cielskami behemotów.

Zwierchnicy przypominali kształtem skorupiaki o ciałach pokrytych zewnętrznymi szkieletami, postrzępionymi jak górskie grzbiety, o wielkich owadzych szczękach i ruchomych szponach.

Wyłaniali się jeden po drugim z przepastnych kieszeni skórnych swych międzygwiazdnych przewoźników i opadali swobodnie przez gęstniejącą atmosferę i porywiste wiatry.

Ponieważ zniewalający sygnał wysłany z artefaktu Xel’Nagi był krótkotrwały, Zergi nie potrafiły dokładnie umiejscowić starożytnej budowli na powierzchni planety, mogły tylko w przybliżeniu określić obszar lokalizacji. Ale zwierchnicy ze szczepu Kukulkan byli cierpliwi i skrupulatni. Przedzierali się z wolna przez zawiesiste chmury, przez burzowe rejony atmosfery, pod ostrzałem piorunów, a jednak nie zostali nawet draśnięci.

Wreszcie ogromny rój dotarł w pobliże artefaktu. Na orbicie poza behemotami pozostała niewielka część Kukulkanu, która przygotowywała się do zejścia w drugiej turze, kiedy już pierwsza fala żarłocznych oddziałów osiągnie cel.

Zwierchnicy rozsypali się nad powierzchnią ziemi w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogliby wypuścić grupy robotników do założenia wylęgarni i kolonii plechy. W sercu nowej kolonii wylęgnie się dość larw, aby rozwinęły się z nich wszystkie podgatunki Zergów, jakich szczep Kukulkan będzie potrzebował do przejęcia planety.

Zwierchnicy wkrótce zawładną tajemniczym artefaktem i zagrabią wszystko, co będzie się nadawało na łup, ale przedtem, w ramach przygotowań, muszą znaleźć ofiary wśród miejscowych organizmów, które Zergi opanują i tym sposobem pomnożą swoje szeregi...

* * *

Chociaż postawił swoje rafinerie i dom z dala od miasta, przy skupisku gejzerów vespenu, przez ostatni tydzień widywał stanowczo za dużo ludzi. Najpierw Lars i Oktawia przyjechali po paliwo, potem wzywano go do Free Haven – i to aż dwa razy! – na zebranie całej kolonii.

Za każdym razem wsiadał niechętnie do swojego wysłużonego pojazdu – rozklekotanego gąsienicowego kombajnu – i jechał do miasta. To była zdecydowanie zbyt intensywna socjalizacja jak na jego potrzeby. Został w mieście tylko kilka godzin i czym prędzej zabrał się z powrotem na swoją stację, do swoich gejzerów i Starego Blue.

Po ostatniej burzy i trzęsieniu ziemi jedna z trzech czynnych dotąd stacji przestała działać i nie chciała się odezwać nawet po niezliczonych oględzinach, puknięciach i kopnięciach. Co

prawda podobno po drugiej stronie gór, w następnej dolinie pokazały się nowe gejzery, ale Rastin mieszkał w tym miejscu przez czterdzieści lat i czuł się za stary na to, żeby tak po prostu zwinąć cały swój dobytek i wynieść się gdzie indziej.

Chociaż z drugiej strony myśl, że mógłby mieszkać jeszcze dalej od Free Haven, była na swój sposób pociągająca...

Stary Blue wygramolił się z chłodnej kryjówki pod gankiem i zaczął węszyć. Wielki zmutowany mastif sięgał swemu panu niemal do piersi. Rastin liczył kiedyś, że uda mu się zrobić z tego wyrosniętego psiska o szorstkiej niebieskiej sierści i apetycie słonia zwierzę pociągowe. Najlepszy przyjaciel człowieka, a zarazem pomocnik do wożenia próbek i zapasów – to by było coś. Skończyło się jednak na tym, że Stary Blue został po prostu wielkim przemyśłym towarzyszem życia, który się dużo ślinił, od czasu do czasu warczał, ale nigdy nie miał na myśli nic złego.

Rastin poklepał psa z roztargnieniem, ten zaś puścił się galopem po obejściu, polując na jeżozaszczurki albo chrząszcze pancierzowce, które by mógł pościgać. Kiedyś łapał swoje ofiary w zęby, ale od czasu gdy łowy na jeżozaszczurkę skończyły się dlań całą garścią kolców powbijanych w pysk, Blue zmądrzał i nigdy więcej nie próbował gryźć swojej ściganej zabawki.

Rastin tymczasem walił narzędziami w stacje rafinerijne, burcząc i klnąc pod nosem na krnąbrne silniki. Najwyraźniej jednak na urządzeniach nawet najbardziej grubiański język nie robił wielkiego wrażenia. Stary podniósł się z klęczek i ze złością cisnął klucz jak najdalej od siebie. Po sekundzie zwymyślał się za głupotę, bo musiał teraz po niego iść.

Nagle Stary Blue przysiadł na zadzie i zawył w stronę nieba. Zmarszczył błękitny nos, obnażył kły i zaczął warczeć i skomleć na przemian.

Rastin spojrział na psa zdumiony.

– O co chodzi tym razem? – zapytał. – Znowuś się przestraszył jakiegoś małego gryzonia, ty tchórze?

Stary Blue nie przestawał warczeć. Przykucnął na czterech łapach i zaczął się cofać, jakby chciał się chyłkiem gdzieś wykraść. Rastin spojrział w górę i zobaczył na niebie rój dziwacznych kształtów. Stado niewiarygodnie wielkich stworów opadało powoli przez warstwę chmur. Wyglądało jak armada żywych statków wojennych.

– Co, do...?

Ze złowieszczym bzyčeniem opancerzeni, wielonodzy najeźdźcy spłynęli tuż nad powierzchnię ziemi i rozsypali się po okolicy. Część skierowała się na podnóże gór, gdzie stał dom Rastina. Wyglądało na to, że napastników przyciągają opary vespenu. Stary Blue zaskamlał po raz ostami i w tym momencie odwaga zawiodła poczciwego olbrzyma. Zwierzę wystrzeliło jak z procy i zanurkowało w dziurze pod gankiem.

Tymczasem Rastin, walcząc z obezwładniającym strachem, przywołał na pomoc cały zasób swego zgorzkniałego gniewu. Wpadł do chaty, wyciągnął starego garłacza, którego

zwykle używał do tępienia gryzoni wyjadających mu zapasy, i wyskoczył z powrotem na dwór z zaciętym wyrazem twarzy i uniesioną rusznicą.

Zergańscy zwierzchnicy zawiśli nad ziemią u podnóża gór, nieopodal życiodajnych gejzerów i otworzyli pancerze. Po chwili ze środka wysypał się grad ohydnych potworów, które składały się chyba z samych kolców, pancerzy i kłapiących szczęk.

W miarę jak teren zalewały kolejne fale wściekłych zerglingów, Rastin powoli opuszczał broń i stopniowo cofał się w stronę domu.

Za zwierzchnikami pojawił się następny stwór – istota o guzowatej głowie, ze świstem smagająca powietrze kłębowskiem opancerzonych macek. Między niektórymi kończynami rozpiętą miała grubą błonę przypominającą skrzydła nietoperza. Królowa. Potwór dojrzał Rastina, wlepił weń wzrok i ruszył w jego kierunku.

Stary wystrzelił pierwszą serię rozżarzonych metalowych kul w zbliżający się rój, zarepetował broń i wypalił znowu. Wiedział doskonale, że jego garłacz jest za słaby, że nie ma nawet tysięcznej części amunicji potrzebnej do odparcia takiego napastnika, a jednak zaklął tylko i wypalił jeszcze raz. A potem jeszcze raz. A kiedy skończyły mu się kule, zaczął ciskać przekleństwa w stronę drapieżnych zerglingów, które szły w jego stronę niczym fala śmiertelności przyływu.

A potem go dopadły.

Rozdział 17

Oktawii nie podobał się ten nocny spacer poza miastem, ale nie miała wyjścia. Roboźniwiarka nie działała, a przecież trzeba było jakoś wrócić do domu. Dziewczyna przeszła wiele kilometrów dnem doliny – wdrapywała się w pocie czoła pod górę, zsuwała się po piargach po drugiej stronie grzbietów górskich i wreszcie, powłócząc nogami, ruszyła drugą doliną w stronę miasta.

Z każdą sekundą nienawidziła tej podróży coraz bardziej. Teren był zdradliwy, pełen głębokich cieni, dołów i szczelin między skałami, które zdawały się otwierać tylko po to, żeby uwięzić jej nogę. Skręciła już sobie kostkę i teraz utykała, wypatrując z upragnieniem świateł Free Haven.

Noc była ciemna, niebo bezgwiezdne i ponure. Chmury wisiały nisko nad głową, ale przynajmniej tym razem nie sprowadziły burzy. Przez nieboskłon przebiegały dziwne światła, jakby zorze lub dalekie błyskawice, ale ich układ i kolory były inne niż niezwykle zjawiska atmosferyczne, jakie zazwyczaj obserwowano się na Bhekar Ro.

Za dużo dziwnych rzeczy działo się tu ostatnio.

Na wzgórzach przyspieszyła kroku i ucieszyła się na widok bladego światła rafinerii Rastina. Stary odludek pewnie nie uraduje się z powodu towarzystwa, zwłaszcza o tej porze, ale Oktawia nie miała wyboru. Rastin miał pojazd – kombajn polowy, który przeżył już całe dziesięciolecie. Mógłby ją podwieźć do miasta.

W każdym razie przynajmniej Stary Blue przywita ją radośnie, a po ostatnich niedolach, które przeszła, z przyjemnością pogładzi szorstkie futro pocziwego psiska i zobaczy, jak zadowolony olbrzym merda puszystym ogonem.

Znalazła ścieżkę i ruszyła nią w kierunku domostwa. Siły wracały jej na myśl, że może za chwilę skończy się jej droga przez mękę.

Kiedy podeszła bliżej, stwierdziła, że w obejściu Rastina pali się tylko kilka samowłóczących się świateł, które rzucają dziwny srebrzysty poblask na wężyki vespenu, ulatującego z gejzerów. Całe miejsce wyglądało na opuszczone, niesamowite... Może stary poszukiwacz poszedł już spać? W gruncie rzeczy Oktawia nie miała pojęcia, która mogła być godzina.

– Halo! Rastinie! – zawołała. – To ja, Oktawia Bren.

Chwilę nasłuchiwała, ale odpowiedziała jej tylko cisza.

Nawet chrząszcze skrzypki i chrapliwie buczące jaszczurki tej nocy milczały. To było dziwne. Ciemność zdawała się przez to bardziej natarczywa.

– Rastinie? Potrzebuję twojej pomocy.

W każdej innej sytuacji Oktawia weszłaby po prostu na ganek i zaczęła walić do drzwi, ale w tej niezwykłej ciszy poczuła się nieswojo. Zdziwaczały odludek bywał nieobliczalny, kto wie, czy zaraz na nią nie wyskoczy ze strzelbą w rękę, żeby „bronić” swego domu przed nocnymi intruzami. Oktawia nie miała ochoty ryzykować przywitania śrutem na szczury.

Podeszła bliżej, coraz bardziej zbity z tropu.

– Halo! Jest tam kto?

Spodziewała się, że przynajmniej Stary Blue wyskoczy ze swojej dziury i zacznie na nią ujadać. Zamiast tego cisza jakby jeszcze zgęstniała.

Może burmistrz zwołał kolejne zebranie i Rastin pojechał do miasta, zabierając ze sobą psa? To by wszystko wyjaśniało.

Zaraz jednak zobaczyła gąsienicowy pojazd stojący samotnie nieopodal chaty. Nie, stary nie rusza się na krok bez swojego kombajnu, musi więc być w domu. To wszystko nie trzymało się kupy. Oktawię ścisnęło w dołku, jakby żołądek ze strachu zamienił jej się w bryłę lodu.

Nagle usłyszała – nie, raczej poczuła – w głowie narastający szum, echa niezliczonych obcych głosów, niby oddzielnych istnień, ale jednak stanowiących jakąś spójną całość. Ciarki jej przeszły po skórze. Co to miało znaczyć? Czuła już coś podobnego, takie same osobliwe zakłócenia, wrzawę wywołaną przez obecność czegoś obcego w jej myślach. To było w pobliżu artefaktu, tego dnia kiedy zginął Lars, a także dzisiaj, kiedy niesamowita budowla zniszczyła jej roboźniwiarkę.

Obecne uczucie czymś się jednak różniło. Było w nim więcej zła. Grozy. Nienasyconego głodu.

Nagle Oktawia zauważyła, że nierówny, kamienisty teren pokrywa warstwa śliskiej substancji przypominającej zbity, organiczny dywan. Pełznąca masa rozprzestrzeniała się od strony gejzerów, urządzeń rafinerii i samej chaty.

Oktawia schyliła się, żeby dotknąć dziwacznej powłoki i natychmiast tego pożałowała. Do palców przywarł jej brud. Miała odrażające uczucie, że nigdy go nie zmyje. Substancja cuchnęła zgnilizną i rozkładem. Żaden żywy organizm na Bhekar Ro nie wydzieliał takiego zapachu. Bioaktywny dywan rozprzestrzeniał się i rósł w oczach.

W miejscach, gdzie pełznąca tkanka jeszcze nie dotarła, widać było podrapaną ziemię, odcisnięte ślady pazurów i łap różnej wielkości i kształtów.

Niepokój o starego Rastina przemógł w Oktawii strach. Podeszła na palcach do chaty i

zawołała jeszcze raz, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Rastin? Błagam, odezwij się.

W obejściu nadal panowała głucha cisza. Oktawia czuła narastającą panikę. Kiedy weszła ostrożnie na ganek, usłyszała pod spodem szelest. W ciemnej dziurze pod metalową podłogą coś się poruszyło.

– Stary Blue! – zawołała.

Wmawiała sobie, że jej ulżyło, ale wewnętrzne napięcie wcale nie osłabło. Odskoczyła jak oparzona, kiedy zobaczyła skudłacone błękitne futro i drgające mięśnie zwierzęcia wypelzającego z ciemnej kryjówki pod gankiem. Owszem, to był Stary Blue... kiedyś. Teraz było to zupełnie inne stworzenie.

Z grzbietu wystawały mu kolce, ze stawu nad każdą nogą wyrastały opancerzone, ruchliwe członki zakończone długimi szponami. Oczy olbrzymiego mastifa zapadły się w głąb czaszki, a w ich miejsce wyrosły cztery nowe ślepia, osadzone na wystających, kołyszących się czułkach. Rozglądały się uważnie, dopóki nie zobaczyły Oktawii. Wtedy stwór zawiął do góry wargi i wyszczerzył długie kły, wystające jak szable dzika. Z pyska zamiast śliny ciekł galaretowaty, żrący śluz.

W tym momencie Oktawia usłyszała inne odgłosy dochodzące z terenu rafinerii i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że w mroku krążą niezliczone inne stworzenia. Stary Blue wydał głęboki charczący warkot, po czym rozczapierzył łapy i wysunął ostre niczym kindżał szpony. Jego mięśnie napinały się z siłą i precyzją mechanicznych dźwigni. Oktawia zatoczyła się w tył. Stary Blue runął na nią.

Rozdział 18

Qel'Ha zbliżał się do planety w otoczeniu całej floty ekspedycyjnej Protossów. Bhekar Ro wyglądała niepozornie, ale w końcu wygląd nie miał znaczenia. W tej chwili egzekutora Koronisa interesowało tylko źródło sygnału, który wezwał Protossów w to miejsce. Przesłanie Xel'Nagi.

Obok niego sędzia Amdor nie odrywał żółtopomarańczowych oczu od iluminatora, jakby wierzył, że samą siłą woli potrafi podbić ten surowy, brązowo-zielony świat, który mieli przed sobą.

– Nie życzę sobie żadnych wpadek, egzekutorze. Nie tym razem – powiedział zimno, niezbyt starannie maskując w telepatycznej wypowiedzi czającą się groźbę.

Zirytowało to Koronisa. Takie zachowanie sędziego źle wpłynie na morale załogi.

Zaślepieni przez samozadowolenie, zadufani w swą polityczną i religijną władzę, sędziowie często nie zdawali sobie sprawy, jak na subtelności i podteksty reagowali pozostali członkowie wspólnoty Khali. Ale Koronis nie chciał w tej chwili wywoływać konfliktu. Takie sprawy lepiej załatwiać za ścianami psychoszczelnych pomieszczeń, aby nawet najgłośniejsza kłótnia czy telepatyczne krzyki nie dotarły do świadomości innych Protossów.

Ten spór może zaczekać. Teraz stoją przed nimi ważniejsze zadania.

– Zostawimy na orbicie siły obronne – powiedział. – Trzy lotniskowce zajmą miejsce nad wysokim punktem w terenie i będą stamtąd śledzić nasze ruchy, reszta tymczasem zejdzie w dolinę, aby przejąć obiekt Xel'Nagi. Nie wiemy, czy napotkamy jakieś nieprzyjacielskie wojska. – Rozejrzał się po mostku i poczuł, jak jego załoga odpowiada podnieceniem i bezgranicznym, ślepym oddaniem. – W pierwszej kolejności wysłę myśliwce, które przełamią ewentualny opór. Zaraz za nimi podążą wahadłowce, zeloci, dragoni i odpowiednia liczba niszczycieli, aby utrzymać przewagę na lądzie. Sędzia Amdor i ja polecimy w dowódczym arbitrze, pozostali sędziowie wezmą dwadzieścia innych arbitrów i zapewnią naszym siłom osłonę i maskowanie.

Amdor wyglądał na rozdrażnionego tym, że egzekutor nie skonsultował z nim swoich planów, niemniej skinął szarawą głową na znak, że się zgadza na rolę, jaką mu wyznaczono w tej doniosłej operacji.

Niedługo potem od floty oddzieliły się skauty i zanurkowały w atmosferę Bhekar Ro jak sokoły. Te superszybkie myśliwce dysponowały dwustrumieniowymi miotaczami fotonowymi i dużym zapasem pocisków antimaterii – uzbrojonych i gotowych do przełamania wszelkiego oporu.

Egzekutor Koronis miał jednak nadzieję, że ta taktyka zaczepna okaże się zbędnym środkiem ostrożności. Był pewny, że jego flota przybyła tu pierwsza, zanim jakikolwiek nieprzyjaciół zdołał zareagować na sygnał wysłany przez artefakt. Z sędzią Amdorem, którego potężną sylwetkę czuł za plecami, skierował się w stronę hangarów i wkrótce siedział już na pokładzie dowódczego arbitra.

Kiedy statki oddzieliły się od floty i podążyły śladem szybkich skautów, egzekutor poczuł się nieswojo z dala od swego wielkiego lotniskowca. W przestrzeni Qel’Ha wyglądał jak gruby gładki strączek, rozszczepiona na jednym końcu elipsoida. Egzekutor spędził kilkadziesiąt lat na pokładzie tego ogromnego okrętu flagowego, na bezowocnych poszukiwaniach, a teraz radosną antycypację sukcesu, który miał uwieńczyć wieloletnią pogoń za wiedzą, przyćmiło niejasne przeczucie. Z jakiegoś powodu nie wierzył, aby ta misja okazała się tak prosta, jak to przewidywał Amdor.

Przekazał instrukcje, aby flota omijała z daleka kolonię terrańską, nie dlatego, żeby się obawiał broni czy wojsk, jakimi mogli dysponować osadnicy. Po prostu życie nauczyło go unikać kłopotów, konfliktów i wszystkiego, co odrywa od wyznaczonego zadania. Koncentrował się wyłącznie na tym, co było konieczne do osiągnięcia celu.

Arbitry, wahadłowce, lotniskowce i skauty spływały pod osłoną niewidzialności w płaską dolinę u podnóża odsłoniętego artefaktu. Odkrywki minerałów oraz świeżo odsłonięte pole tryskających gejzerów vespenu wskazywały, że nie zabraknie im tu środków do zbudowania niszczycieli, naziemnych dział fotonowych oraz do zorganizowania niezbędnej obrony.

Arbitry usiadły na ziemi niczym chrząszcze o złożonych szerokich skrzydłach. Wszyscy Protossi czekali na pokładach, pozostawiając egzekutorowi Koronisowi zaszczyt postawienia pierwszego kroku na planecie, która już wkrótce miała należeć do nich.

W suchym powietrzu unosiły się drobiny wszechobecnego pyłu. Koronis przystanął i zaczął się wczuwać w nastrój miejsca. Po chwili dołączył do niego sędzia Amdor i w ten sposób stali obaj u podnóża stoku, gdzie z wnętrza góry wylaniał się potężny maszynowy tajemniczego artefaktu Xel’Nagi.

– Wspaniały! – powiedział Amdor, podnosząc głowę. Jego guzowaty hełm połyskiwał w przymglonym świetle planety. – Czuje pan tę moc? Czy wyobraża pan sobie, jaką chwałą się okryjemy, kiedy powrócimy na Aiur?

To mówiąc, zacisnął trójpalczystą dłoń w pięść. Potem postąpił kilka kroków do przodu i wyciągnął przed siebie długie ramiona w symbolicznym geście zawładnięcia. Ciemna szata falowała wokół jego sylwetki jak żywe stworzenie.

– W imieniu Pierworodnych biorę ten starożytny relikwiarz we władanie. Oto jest triumf

Protossów. Niechaj nikt nie śmie poddawać w wątpliwość naszego wyłącznego prawa własności. *En taro Adun!*

Koronis zmarszczył wypukłe brwi, myśląc w duchu, że Amdor trochę się pospieszył z tą celebracją zwycięstwa.

– *En taro Adun* – odpowiedział.

Przebiegł palcami po szarfie z inskrypcją. To prawda, zdobycie zdumiewającego artefaktu było wielkim osiągnięciem. Zastanawiał się, co skostniała biurokracja konklawe sędziowskiego pocnie z tym odkryciem i w jaki sposób zdołają coś tak potężnego wydobyć z ziemi i przewieźć na wyniszczony Aiur.

Wtem z dowódczego arbitra dotarł do niego sygnał wysłany w wąskim paśmie telepatycznym przez templariusza Mess'Tę, który pozostał na pokładzie Qel'Ha.

– Panie egzekutorze! Wykryliśmy na orbicie potężną flotę zergańskich behemotów. Stwory ukrywały się po nocnej stronie! Zergi były tu przed nami.

Podczas gdy sędzia Amdor kipiał gniewem na tę zniewagę ze strony nieprzyjacielskich najeźdźców, Koronis błyskawicznie ocenił zagrożenie.

– Jakiej mają siły?

– Jest tu cały szczerp, panie egzekutorze. Tylu Zergów naraz chyba jeszcze nie widzieliśmy. To nie jest zwykły oddział zwiadowczy, tylko inwazja na wielką skalę.

Koronis milczał ponuro. Amdor obrócił na niego pałający wzrok.

– Widocznie ich także przyciągnął tu sygnał z artefaktu. Egzekutorze, nie wolno nam stracić reliktu Xel'Nagi. Protossi będą go bronić!

Koronis wysłał wiadomość do Mess'Ty.

– Wiecie, co macie robić, templariuszu.

– Tak jest, panie egzekutorze. Obrona przygotowana. Eskadra myśliwców przechwytyjących gotowa. Wydałem już rozkazy do natarcia.

Rozdział 19

Kiedy stała na ganku i patrzyła, jak zainfekowane zwierzę czai się do skoku, myślała jeszcze z nadzieją, że może jakaś pierwotna cząstka Starego Blue rozpozna ją i powstrzyma zwierzę od ataku. Nadzieja ta jednak prysła w mgnieniu oka, bo potwór bez namysłu rzucił się w jej stronę.

Oktawia skuliła ramiona i stoczyła się z ganku. Stwór przeleciał jej nad głową, a ostre jak brzytwa szpony, które wyrosły z grzbietu Starego Blue, siekły w locie powietrze. Ślepie osadzone na sterzcących czułkach obracały się na wszystkie strony, wypatrując najsłabszego punktu ofiary.

Dziewczyna zapomniała o zmęczeniu i rozpacz. Rozdzierając sobie dłonie o zardzewiałe krawędzie blachy, odepchnęła się od metalowego ganku i rzuciła do ucieczki. Potwór wylądował na ziemi i obrócił się błyskawicznie. Spod szponiastych łap trysnęły fontanny żwiru.

– Rastin! – wrzasnęła Oktawia, choć w głębi serca wiedziała, że od starego poszukiwacza nie może już oczekiwać pomocy.

Potem puściła się pędem w stronę wież rafineryjnych, które obiecywały jakieś, marne co prawda, ale jednak schronienie. Przerażający mutant pognał za nią. Oktawia nie podejrzewała nawet, że potrafi biec tak szybko. Czowała, jakby mięśnie, napięte do granic wytrzymałości, miały jej za chwilę pęknąć, ale potężna dawka adrenaliny trzymała ją na nogach.

Dopašla wieży i wcisnęła się między metalowe sztaby rusztowania utrzymującego całą konstrukcję. Niemal w tej samej chwili olbrzymie cielsko grzmotnęło w korpus stacji rafineryjnej. Potwór był za wielki, żeby się zmieścić między prętami. Przez moment Oktawia poczuła się bezpiecznie.

Stary Blue jednak nie dawał za wygraną. Po raz drugi rzucił się całym ciężarem na metalową konstrukcję, aż twarda nibystal wygięła się pod impetem uderzenia. Dwie długie, żylaste łapy wśliznęły się między sztaby niby atakujące węże i próbowały dosięgnąć ofiary. Na prętach, w miejscu, gdzie kapnęła śluzowata ślina odrażającego stwora, wytworzyła się sycząca, żrąca piana.

Oktawia nie traciła czasu na krzyki. Podczołgała się do instalacji rurowej z systemem

sterowania, znalazła dyszę wylotową i dokładnie w chwili, gdy Stary Blue złamał na pół jedną ze sztab rusztowania, trysnęła skoncentrowanym, gorącym gazem prosto w rozdziawiony pysk. Zwierzę zawyło z bólu i wściekłości i odskoczyło w tył, rozdzierając sobie bok o pęknięty pręt.

Oktawia zrozumiała, że to może być jej ostatnia szansa. Wypadła spod rusztowania i znów puściła się biegiem, tym razem w stronę, starego pojazdu Rastina. Jeśli tylko uda jej się dostać do środka i uruchomić...

Pędziła na złamanie karku z oczami utkwionymi w jeden punkt – klamkę zdezelowanego kombajnu.

Mniej więcej w połowie drogi zaświtało jej w głowie, że stary zgorzkniały dziwak mógł zamykać pojazd na klucz. W takiej małej kolonii jak Free Haven wydawało się to nieprawdopodobne, wręcz niemądre, ale w wypadku Rastina wszystko było możliwe.

Wreszcie dopadła kombajnu. Nacisnęła klamkę i omal nie zemdląła z radości – drzwiczki się otworzyły. Zanurkowała głową do przodu na siedzenie kierowcy i błyskawicznie zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Stary Blue utykał teraz, może z powodu ran, a może zmęczenia, a może po prostu zdychał wskutek okropnego zergowego zakażenia, które rozprzestrzeniło się po jego włochatym, muskularnym ciele. Szedł w stronę Oktawii chwiejnym krokiem. Wielkie szczęki kłapały w powietrzu to w jedną, to w drugą stronę, jakby kąsały niewidzialnego przeciwnika. Kolczaste wyrostki smagały powietrze na oślep, zgłodniałe, opętane jednym celem – rozerwać na strzępy każdy obiekt znajdujący się w zasięgu.

Oktawia obmacywała miejsce pod drążkiem sterowniczym kombajnu, aż wreszcie znalazła przycisk stacyjki i nacisnęła go mocno. Silnik zakaszał, ale nie zaskoczył. Westchnął tylko, jakby właśnie zrezygnował z wszelkiej walki i postanowił się poddać. Oktawia walnęła w przycisk jeszcze raz.

– No, dalej! Zapalaj!

Stary Blue zataczał się i warczał. Był coraz bliżej.

Wtem zamknięte frontowe drzwi chaty Rastina zostały dosłownie rozprute od środka, wyrwane z zawiasów i wyrzucone z taką siłą, że przeleciały kilka metrów. W przejściu, w bladym świetle sączącym się od strony rafinerii, stanęła zwałista, człekokształtna postać. Wyglądała jak człowiek przeprojektowany przez szaleńca, któremu zostało po innych gatunkach trochę niepotrzebnych części.

Rastin!

Z popękanej, ropiejącej skóry starego właściciela rafinerii wyrastały odnóża i ruchliwe macki. To, co niegdyś było twarzą, zwisało nisko, zapadnięte prawie w klatkę piersiową, a jedyny rozpoznawalny szczegół dawnego ludzkiego oblicza stanowiło dwoje oszalałych oczu wyrażających rozpacz i przerażenie. Z ramion i czubka czaszki wyglądały teraz inne oczy – czarne, pokryte twardą luskowatą błoną.

Rastin postąpił ciężko naprzód. Rozłożył szeroko ręce, a w tym samym czasie nowe, muskularne, zwierzęce członki zaczęły młócić wściekle powietrze, wywijając długimi pazurami.

Tymczasem Stary Blue zatrzymał się nieopodal kombajnu. Oktawia pamiętała, jak potwór rozrywał stalowe rusztowanie rafinerii, wiedziała, że bez trudu przetnie też marną blachę pojazdu i wyłuska ze środka kierowcę jak mięsz z miękkiej łupiny orzechojagody.

Mimo to zablokowała zamek w drzwiczkach.

Psokształtny stwór nie doszedł jednak do kombajnu. Powoli, jakby się układał w wygodnej pozycji, osunął się na ziemię. Wrzody pod błękitną sierścią zabulgotały, tułów zaczął pulsować i puchnąć. Wreszcie Stary Blue uniósł zdeformowany łeb ku niebu i zaskowyczał przeciągle i przenikliwie.

Oktawia znów nacisnęła guzik startowy. Silnik zagrzecotał, zakręcił nieco szybciej, jakby już miał zaskoczyć...

Rastin zszedł z ganku i z wyciągniętymi ramionami ruszył w jej stronę. Stary Blue zadygotał i wydał ostatni zwierzęcy skowyt bólu.

W końcu silnik kombajnu zawarczał. Oktawia nie straciła ani sekundy więcej. Wrzuciła bieg i pełnym gazem, rozpryskując wokół żwir i kamienie, zaczęła uciekać ze śmiertelnej pułapki.

Za jej plecami zainfekowane ciało Starego Blue rozsadziła erupcja stężonych gazów, kawałków mięsa i strumieni śluzu. Podmucha eksplozji i trujących wyziewów uderzył w oddalający się kombajn, zachybotał nim tak gwałtownie, że szyby w oknach zadrżały. Na szczęście kabina była szczelna, tak że strugi zielonkawej posoki zachlapały drzwi i okna, ale nie przedostały się do środka.

Pod wpływem uderzenia kapryśny silnik kombajnu zaczął się krztusić i już miał zamiar zgasnąć, na szczęście w ostatniej chwili Oktawii udało się podtrzymać go przy życiu. Potem czym prędzej ruszyła w stronę miasta, byle dalej od koszmarnego domostwa.

Tymczasem przed chatą zainfekowany Rastin stał w miejscu porażony rozpaczą. Zwierzęce kończyny machały bezładnie, a zapadnięta ludzka twarz zawodziła z żalu po martwym psie.

Oktawia jechała przed siebie. Nawet przez chwilę nie poczuła się bezpieczna. Wtem ziemia przed kombajnem zabulgotała, zagotowała się i rozstąpiła, wydając na świat stworzenia rodem z jej najkoszmarniejszych snów.

Z pęknięcia w powierzchni gruntu wyrosły gigantyczne gadzie potwory, niby-kobry o głowach podobnych do gołych czaszek, kłach niczym sztylety i gorejących ślepiach. Tylko że ślepia te patrzyły z nie gadzią bynajmniej inteligencją. Ciała stworów wyginały się do tyłu, połyskując w świetle gwiazd obłymi pancerzami. Napastnicy zaczęli się powoli przemieszczać z wyraźnym zamiarem oskrzydlenia nadjeżdżającego obiektu. Z sykiem i grzechotaniem wywijają opancerzonymi kończynami i gotowały się do uderzenia.

Oktawia manewrowała kombajnem to w jedną, to w drugą stronę, mile zaskoczona zwrotnością niepozornego pojazdu. Udało jej się przemknąć obok dwóch przerażających istot, lecz w tej samej chwili ziemia za nią pękła, zafalowała i na powierzchnię wyskoczyły następne potwory.

Powietrze przeszył świst jakby tysiąca kul, kiedy gady, wyciągnąwszy do przodu szyje, trysnęły w stronę kombajnu strumieniem długich jak dzidy, ostrych kolców. Niektóre strzały przebiły poszycie pojazdu na wylot i utkwily w nim na dobre.

Oktawia nie odważyła się zatrzymać, żeby sprawdzić uszkodzenia. Pędziła przed siebie w mrok, nawet kiedy z tyłu posypał się następny deszcz śmiercionośnych cierni i wbił się w blachę kombajnu jak w miękką poduszczkę.

Z każdą sekundą oddalała się bardziej od rafinerii Rastina. Jechała prawie na oślep, instynktownie kierując się w stronę odległego miasta. Serce jej waliło, w gardle zaschło zupełnie, oczy miała rozszerzone z przerażenia.

Na razie nie przyszła jej nawet do głowy myśl, że ocalała. Na razie myślała tylko o jednym – dotrzeć do Free Haven i ostrzec mieszkańców kolonii... o ile coś z niej jeszcze zostało.

Rozdział 20

Generał Edmund Duke siedział wyprostowany w fotelu dowódcy na Noradzie III. Był gotów do akcji, jego żołnierze także. Taki im wydał rozkaz.

Mieli za zadanie zbadać artefakt obcej cywilizacji i uratować bezbronnych kolonistów. A jeśli dopisze im szczęście, może na tym się ta misja nie zakończy.

Generał Duke był zbyt doświadczonym dowódcą, żeby wygłaszać do swoich ludzi nadęte patriotyczne przemowy i w ten naiwny sposób rozbudzać w nich zapał do narażania życia w imię Arcturusa Mengska. Sam zresztą nie czuł się zbyt pewnie na gruncie polityki, zwłaszcza ostatnimi czasy, starał się więc z nadmierną ostrożnością nie zastanawiać. Wiedział doskonale, jaką marchewką pomachać swoim żołnierzom przed nosem, kiedy chciał, żeby dali z siebie wszystko.

– Panie generale, kolonia Bhekar Ro na ekranie – powiedział porucznik Scott ze stanowiska taktycznego. – Przygotowuję nas do wejścia na orbitę.

Generał skinął głową.

– Aktywuję siatki czujników – poinformował porucznik Scott. – Przeszukuję orbity pod kątem stanowisk obronnych.

Duke uniósł brwi i obrzucił młodego, przystojnego oficera ironicznym spojrzeniem.

– Spodziewam się, poruczniku, że piętnaście doborowych krążowników potrafi sobie całkiem nieźle poradzić z ewentualnymi kłopotami ze strony garstki farmerów.

– Panie generale! Nieprzyjacielskie statki! – zawołał porucznik, ponownie sprawdzając odczyty.

Po chwili Scott wyświetlił na monitorze pełną analizę tego, co czaiło się nad powierzchnią planety, na którą właśnie kierowała się flota krążowników generała Duke'a. Wśród załogi, która zobaczyła wyniki na ekranie, rozeszły się zdziwione szmery.

Duke zacisnął zęby i pochylił się nad monitorem.

– Tak myślałem, że te gnidy gdzieś na nas czyhają. Rozpoznał natychmiast gładkie elipsoidalne lotniskowce Protossów. Nigdy nie mógł rozstrzygnąć, czy charakterystyczne odbarwienia na powierzchni statków miały służyć jakiemuś celowi, czy też były to po prostu plamy jonowe, efekt wieloletniej służby w surowych warunkach przestrzeni kosmicznej.

– Uzbroić działa Yamato wszystkich jednostek – zakomenderował. – Wpadniemy tam i zadzwonimy do drzwi, zanim ktokolwiek spostrzeże naszą obecność.

Uśmiechnął się i splótł mocno dłonie, jak gdyby czuł już pod palcami żyłaste gardła nieprzyjaciół.

– No, dobra, panowie – powiedział przez głośniki do całej załogi krążownika. – Lećmy tam i skopmy tyłki kilku kosmitom!

Na pokładzie rozległy się tak głośne owacje, że metalowy kadłub aż zadzwonił od żywiołowego entuzjazmu. Eskadra Alfa została utworzona do walki, a imperator Mengsk długo trwonął jej militarny potencjał na bezowocne, jałowe zajęcia. Żołnierze byli tak samo znudzeni jak ich dowódca.

– Panie generale, to mało prawdopodobne, żeby flota Protossów stacjonowała tam tylko w oczekiwaniu na Eskadrę Alfa – zauważył porucznik Scott. – Ich statki toczą już walkę z innym przeciwnikiem.

Na ich oczach protossańskie lotniskowce wypuściły eskadry zrobotyzowanych myśliwców przechwytyjących w kierunku roju odrażających owadokształtnych potworów, które jakimś cudem potrafiły przetrwać w kosmicznej próżni.

Duke widział już kiedyś te okropne stwory.

– Zergi i Protossi! Do diabła, zawarli przymierze!

W tym samym momencie jednak protossańskie myśliwce zaatakowały zergańskie jednostki. W mgnieniu oka pole bitwy dwóch obcych ras zamieniło się w bezładne kłębowisko wystrzeliwanych pocisków i rozsadzanych kadłubów.

– To mi nie wygląda na przymierze, panie generale – stwierdził porucznik Scott.

– Jak dla mnie mogą się nawzajem powyrzynać – warknął generał. – Nienawidzę i jednych, i drugich.

Lotniskowce Protossów wysyłały coraz to nowe eskadry przechwytywaczy, które wyszukiwały, a następnie atakowały każdego zergańskiego stwora, jaki się pojawił w polu rażenia. Początkowo małe jednostki na podobieństwo żądłących owadów koncentrowały się głównie wokół potężnych zwierchników, przy okazji jedynie rozprawiając się z podobnymi do krabów strażnikami. Pociski żrącego kwasu ciskane przez strażników były zabójcze dla celów naziemnych, lecz w przestrzeni zupełnie nieszkodliwe. Pod ostrzałem przechwytywaczy bezbronni strażnicy padali jak muchy. Protossańskie minimyśliwce poruszały się błyskawicznie: uderzały, niszczyły, po czym odlatywały w poszukiwaniu nowego celu.

Na widok tej rzezi strażników i zwierchników, od zergańskiej floty odłączyła się grupa stworów nazywanych straceńcami. Przedarła się przez linie przechwytywaczy i zaatakowała lotniskowiec Protossów. Zdeterminowani straceńcy wpadali prosto w kadłub olbrzymiego okrętu, poświęcając życie w imię jednego celu – zniszczenia wrogiej jednostki.

Generał Duke cieszył się w duchu z każdego zniszczonego okrętu Protossów. Na głos zaś

powiedział:

– Nie znoszę tych drani od czasu Chau Sary.

Protossi zetknęli się po raz pierwszy z ludzką rasą w układzie Sary. Zjawili się w ogromnych, błyszczących statkach i bez ostrzeżenia zrównali z ziemią całą planetę, zabijając terrańską kolonię – miliony ludzkich istnień. Generał Duke ledwo uszedł z życiem z jej siostrzanej planety, Mar Sary, gdzie po raz pierwszy zetknął się wtedy z odrażającymi i krwiożerczymi Zergami.

– Dobrze im tak.

Duke nienawidził oczywiście także Zergów. Ściśle mówiąc, nienawidził z zasady każdej obcej rasy. I oto na jego oczach Zergi i Protossi roznosili się nawzajem na strzępy – sam nie wymyśliłby dla siebie lepszej rozrywki.

W końcu zmrużył oczy, odczekał chwilę, po czym, nie odrywając oczu od krwawej jatki na ekranie, uśmiechnął się szeroko.

– Uwaga, Eskadra Alfa! – Jego grzmiący głos zadudnił na wszystkich piętnastu krążownikach. – Wszyscy na stanowiska bojowe! Wchodzimy na orbitę. Przygotować działa. Damy tym kosmicznym draniom posmakować naszego ognia!

Porucznik Scott tymczasem nie spuszczał oka z monitora z danymi taktycznymi, który rozszalał się w bitewnej gorączce.

– Panie generale, czy nie powinniśmy poczekać i zebrać trochę więcej danych? Może wysłać jakieś jednostki na rozpoznanie, zanim wykonamy swój ruch?

Generał wskazał ręką na ekran.

– Widzi pan wszystko na własne oczy, poruczniku. Nie jestem z tych, co siedzą na tyłku i zbierają jakieś drugorzędne dane, kiedy nadchodzi pora na czyn.

Podniósł się z fotela, świadom, że to mu nada bardziej przywódczą prezencję.

– Imperator Arcturus Mengsk uznał planetę Bhekar Ro za miejsce o doniosłym znaczeniu dla terrańskiej wspólnoty. – Mówiąc to, walczył ze sobą, żeby zachować powagę, wiedział bowiem doskonale, że żaden z żołnierzy nawet nie słyszał dotąd o istnieniu tej planety. – Dlatego jest naszym obowiązkiem bronić kolonii wraz z jej bogactwami naturalnymi przed wrogimi potęgami. Obecność tych obcych szumowin można interpretować tylko jako zagrożenie Dominium. Nie pozwolimy narazić na niebezpieczeństwo nawet najdrobniejszego pyłku w terrańskiej kolonii!

To powiedziawszy, generał Duke wydał rozkaz do natarcia. Eskadra Alfa z Noradem III na czele rzuciła się do boju.

Rozdział 21

Mimo przerażenia, wyczerpania i bolesnych potłuczeń Oktawia nie miała czasu na odpoczynek czy wahanie. Free Haven było zagrożone. Adrenalina paliła ją w żyłach jak laserowe błyskawice.

Było już po północy, kiedy wreszcie ominęła niski mur obronny i wjechała do osady. Trąbiąc na alarm, skierowała kombajn prosto do domu burmistrza w środku miasta. Wyrwała Nika z głębokiego snu. Chociaż oczy miał zaspane, a szorstkie blond włosy sterczały mu na wszystkie strony, otrzeźwiał w jedną chwilę, kiedy usłyszał, co się stało z Rastinem i Starym Blue.

– Nik, nie mam pojęcia, czym są te stwory, ale to jacyś obcy. Ścigali mnie, kiedy tu jechałam.

Burmistrz jęknął.

– Oktawio, nigdy cię nie podejrzewałem o przerost wyobraźni, ale sama pomyśl, ile to razy wpadałaś ostatnio do miasta, podnosząc alarm o inwazji obcych?

Oktawia zaciągnęła go do kombajnu Rastina i pokazała tył pojazdu najeżony dziesiątkami trujących kolców, zupełnie jakby był poduszczką na igły. Trudno było burmistrzowi zaprzeczyć świadectwu własnych oczu.

Pozostawiwszy Oktawii zadanie powiadomienia mieszkańców Free Haven, Nikolai spędził dwie godziny przy węźle łącznościowym w swoim biurze domowym, próbując się skontaktować przez radiostację obwodową z rodzinami mieszkającymi poza obrzeżem miasta.

Oktawia wyciągnęła z łóżka Cyn McCarthy, Kiernana, Kirsten, Wesa, Jona i Gregora. Młodych mężczyzn wysłała jako posłańców, aby biegając od domu do domu, informowali mieszkańców Free Haven o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Potem włączyła syrenę alarmową, która dotąd ostrzegała ludzi przed burzami. Nawet jeśli poderwani ze snu koloniści nie zorientują się, jakie niebezpieczeństwo im grozi, to przynajmniej będą już na nogach, kiedy zjawią się u nich posłańcy.

Przed salą zebrań powoli gromadzili się pierwsi osadnicy, a tymczasem Oktawia z radością zobaczyła, że w środku Abdel Bradshaw i jego żona Shayna, nie tracąc czasu na spory czy krytykę, zajmują się już rozkładaniem łóżek polowych i przygotowaniem leków.

– Na wypadek, gdyby ktoś został ranny – wyjaśniła Shayna.

Oktawia skinęła głową.

– Daj mi znać, gdybyście potrzebowali pomocy.

Cyn i Kirsten zostały, aby pomóc Bradshawom, Oktawia zaś wyszła na ulicę, porozmawiać z zaspanymi kolonistami. Ludzie cisnęli się przede wszystkim wokół uszkodzonego kombajnu i szemrali ze zdumienia i strachu. Jakiś dwunastoletni chłopiec wyciągnął rękę, żeby dotknąć kolca, ale Oktawia krzyknęła w porę.

– One mogą być zatrute – powiedziała.

Tłum odruchowo się cofnął.

Podzieliła osadników na kilka grup zadaniowych i każdej przydzieliła inną pracę. Dwunastu młodszych nastolatków wysłała do sali zebrań, aby zaopiekowali się najmłodszymi dziećmi. W ten sposób rodzice mogli się zająć pilnymi sprawami i nie martwić się o swoje pociechy.

Całymi godzinami Oktawia wydawała polecenia, odpowiadała na pytania, wysłuchiwała propozycji, podejmowała szybkie decyzje i dyrygowała ruchem kolonistów, przywożących zapasy żywności i broń do głównego punktu zbornego. Wysłała Cyn z jedną grupą roboczą do wzmocnienia muru na granicy miasta. Po kilku godzinach z domu wyszedł Nikolai. Był bardzo przybity.

– Rozmawiałeś ze wszystkimi? – zapytała Oktawia. Burmistrz zmarszczył czoło.

– Z większością tak, poza trzynastoma rodzinami. Oktawię ścisnęło w żołądku. Widziała, co się stało z Rastinem i jego psem, których zainfekowały obce potwory. Czyżby innych kolonistów spotkał ten sam los?

– Może niektórzy usłyszeli syreny przeciwburzowe – powiedziała, w głębi serca wiedząc jednak, jak mało jest to prawdopodobne.

Burmistrz rozejrzał się po krzątających się kolonistach. Chociaż była jeszcze przeszło godzina do świtu, wszyscy w mieście byli na nogach i uwijali się gorączkowo przy swoich zadaniach.

– Nie widzę tu nikogo z nich.

– Musisz próbować dalej – powiedziała Oktawia.

Właśnie w tym momencie wrócili posłańcy. Przybiegli prosto do Oktawii po kolejne zlecenia.

– Jon, ty się dobrze znasz na urządzeniach. Idź do węzła łącznościowego u burmistrza i próbuj złapać kontakt z rodzinami, które jeszcze nie zostały zaalarmowane. Do skutku. Wes, ty masz świetny wzrok. Chcę, żebyś poszedł do wieży obserwacyjnej. Kiernan i Gregor, znajdźcie ludzi, którzy przyprowadzili do miasta roboźniwiarki. Sprawdźcie, czy działają wszystkie działka kruszące i miotacze płomieni. Te, które są niesprawne, postarajcie się naprawić. Dopilnujcie, żeby przynajmniej jedna roboźniwiarka stała za każdą bramą wjazdową, przy głównych ulicach miasta.

Chłopcy pobiegli wykonać swoje zadania. W tym samym czasie zjawiała się Cyn, aby złożyć raport. Mówiąc, zwracała się jednocześnie do burmistrza i Oktawii.

– Mur wokół miasta jest już wzmocniony, ale ludzie nadal używają roboźniwiarek do kopania okopów.

Burmistrz skinął poważnie głową.

– Dobrze, że już dawno udało mi się wszystkim przekonać do rozpoczęcia przygotowań.

Oktawia i Cyn wymieniły spojrzenia, ale nim któraś z nich zdołała odpowiedzieć, z wieży obserwacyjnej rozległ się krzyk Wesa.

– Są! Idą! Obcy! Lepiej chodźcie tu i sami zobaczcie.

Nikolai, Cyn i Oktawia rzucili się w stronę wieży. Po metalowej drabinie weszli na sam szczyt. W świetle wschodzącego słońca, które się właśnie wyłaniało zza horyzontu, mieli doskonały widok na nadchodzących wrogów.

Nie dalej jak dwa kilometry od miasta mrowił się tłum różnych potworów. Jedne maszerowały, inne sadyły wielkimi krokami, jeszcze inne pełzły lub podrygiwały, wszystkie natomiast zmierzały w stronę Free Haven.

Burmistrz z trudem przełknął ślinę.

– To... to jest cała armia – szepnęła Cyn przejęta grozą do głębi.

Cielska niektórych stworów osłaniały twarde, błyszczące pancerze. Mniejsze mknęły do przodu jak jaszczurki, błyskając czerwonymi ślepiami i wywijając długimi ogonami. Były wśród tego motłochu również stworzenia o rozłożystych skórzastych skrzydłach, upodabniających je do smoków. Natomiast niezależnie od kształtu wszystkie te obrzydliwe monstra miały więcej szponów i zębów, niż to potrzebne do przetrwania. Wszystkie bowiem zostały wyhodowane w jednym celu.

W miarę jak się rozwidniało, mieszkańcy Free Haven zauważyli wśród przerażających stworów sylwetki podobne do ludzkich. Bez wątplenia byli to osadnicy z odległych farm, zainfekowani tak jak Rastin, przez tę monstrualną, obcą rasę. Z ich ciał wyrastały dodatkowe odnóża, macki, oczy...

Oktawii serce pękało, kiedy mówiła:

– Chyba już wiemy, co się stało z brakującymi rodzinami.

Burmistrz Nikolai osłupiał z grozy, patrząc na niepowstrzymany marsz koszmarnej armii.

– Tam są ich tysiące. Jak mamy z nimi walczyć?

Oktawia zacisnęła zęby.

– Nie wygląda na to, żebyśmy mieli wybór.

Rozdział 22

Generał Duke obserwował z dumą, jak jego Norad III rzuca się w wir bitwy na orbicie Bhekar Ro. To było niczym mistrzowskie otwarcie bilardowe. Statki Protossów i zergańskie latające stwory rozpierzchły się na wszystkie strony od impetu niespodziewanego uderzenia sił terrańskich.

Generał nie wysłał do walczących wojsk ostrzeżenia, nie wezwał też nikogo do poddania się. Jego rozkaz był prosty – zadać obcym wojskom jak największe straty.

Kiedy poleciały pierwsze pociski, zakrzyknął radośnie na całe gardło.

Działa Yamato wystrzeliły równocześnie i strąciły kilka zergańskich zwierzchników oraz jeden uszkodzony lotniskowiec Protossów. W czasie gdy ponownie załadowywano energetyczne działa, Duke rzucił do walki wszystkie wraithy, które słynęły z wyjątkowej zwrotności.

Generał przemierzał mostek Norada III, analizował monitory, przyjmował aktualizacje danych od porucznika Scotta i od czasu do czasu obserwował bitwę przez główny iluminator.

– Widział pan kiedy tyle eksplozji naraz, poruczniku? Taką jatkę?

Szczerze mówiąc, generał wiedział doskonale, że w czasie walk z Zergami w obronie Mar Sary Scott, podobnie jak cała reszta Eskadry Alfa, poznał wojnę od jej najgorszej i najnikczemniejszej strony. W niczym to jednak nie umniejszyło uniesienia Duke'a.

Odwrócił się do oficera łącznościowego.

– Połączcie mnie z tutejszymi osadnikami. Potrzebujemy aktualnych danych z powierzchni. Nie wyobrażam sobie, żeby w kolonijnym mieście mogło się dziać coś gorszego niż tutaj, ale muszę ustalić militarne priorytety.

– Tak jest, panie generale.

Oficer pochylił się nad radiostacją i niezwłocznie przystąpił do otwarcia kanału komunikacyjnego z Free Haven.

Zaraz po starcie wraithy, zanim rzuciły się do walki z uszkodzonymi już protossańskimi skautami, błyskawicznie włączyły osłony maskujące. Myśliwce Protossów – jak żołnierze z Eskadry Alfa wiedzieli z ostatniej wojny – miały znacznie większą siłę rażenia w powietrzu niż jednostki terrańskie, ale traciły tę przewagę, kiedy walczyły z niewidzialnym

przeciwnikiem.

Wraithy waliły w nie prawie bezkarnie, niszczyły osłony i kadłuby, kilka strąciły pociskami Gemini. Pod tak ciężkim ostrzałem protossańskie skauty rzuciły się do odwrotu i wpadły prosto w paszcze smokokształtnych mutalisków. Te dopełniły rzezi atakiem, który Duke w swoich wcześniejszych raportach nazwał „żywą klingą” – strumień symbiontów ciął na swojej drodze wszystko, co napotkał, i przeżerał się przez najtwardsze poszycia statków. Los skautów był przesądzony.

Wypełniwszy jedno zadanie, wraithy skierowały się na inne nieprzyjacielskie cele.

Tymczasem na pokładzie Norada III generał z triumfalnym okrzykiem zacisnął nad głową pięść. Wiwatowali również inni oficerowie obecni na mostku.

– Panie generale, nasze Yamato jest ponownie załadowane i gotowe do odpalenia – powiedział porucznik Scott. Postukał w słuchawkę przy uchu, przyjął kolejny meldunek, po czym odwrócił się w stronę generała. – Krążownik Napoleon również informuje o gotowości swojego działa.

– Dobrze, niech obydwie skierują ogień w ten sam protossański lotniskowiec – odparł Duke. Popatrzył na bogaty wybór celów na monitorze i wodząc palcem po ekranie, zaczął wyliczać. – Ene, due, like, fake... ten – wycelował palcem w jeden z okrętów.

– Namierzamy, panie generale – powiedział porucznik Scott. Przekazał wiadomość na Napoleona. Po chwili obydwie krążowniki wystrzeliły jednocześnie. Silne pole magnetyczne skupiło impet niewielkiego wybuchu jądrowego w jeden zwarty strumień energii. Skoncentrowane uderzenie wstrząsnęło osłonami protossańskiej jednostki. Opancerzenie nie wytrzymało takiego przeciążenia i kilka sekund później ogromny okręt eksplodował.

Generał Duke wznosił kolejny zwycięski okrzyk.

– Kto by pomyślał, że będzie z tego tyle różnych kawałków.

Zobaczył, jak wraithy zestrzelują cztery następne skauty i zatarł z zadowoleniem rękę. Popatrzył po swoich ludziach.

– Panowie, myślę, że możemy już być spokojni o zwycięstwo.

Porucznik Scott zmarszczył czoło.

– Ta radość może się okazać trochę przedwczesna, panie generale.

Właśnie w tym momencie dwa protossańskie arbitry skierowały się w stronę piętnastu terrańskich krążowników. Duke obserwował je z pogardliwym uśmiechem.

– I co oni sobie myślą? Cała flota naprzód. Napoleon i Bismarck z eskadrą ośmiu wraithów niech idą razem i uprzętną te śmieci.

Gdy tylko dwa krążowniki oddzieliły się od reszty floty, ciemność wokół nich zafalowała. Jeden z arbitrów wytworzył pole unieruchamiające – rozprzestrzeniająca się zasłona energii uwięziła Bismarcka i Napoleona oraz trzy z ośmiu wraithów. Złapane w pułapkę krążowniki były wprawdzie chronione przed atakiem, ale nie mogły również wykonać żadnego ruchu.

Na to tylko czekali Protossi. W mgnieniu oka pięć lotniskowców z ośmioma skautami – wszystkie opatulone przez arbitra zasłoną niewidzialności – ruszyło do ataku na pozostałe bezbronne wraithy niczym rój wściekłych szerszeni na głupiutkie dziecko, które się porwało z patykiem na gniazdo.

Piloci wraithów próbowali włączyć osłony maskujące, na nic to się jednak nie zdało, bo protossański obserwator z łatwością rozproszył pole niewidzialności i ponownie wystawił statki na cel. Terrańskim myśliwcom nie pozostało więc nic innego, jak wystrzelać wszystkie pociski Gemini w ostatniej rozpaczliwej próbie odparcia ataku. Nieprzyjacielskich jednostek broniły jednak małe ruchliwe przechwytywacze. Flota Protossów bez litości rozniosła na strzępy pięć wraithów, po czym zajęła pozycje, aby otworzyć ogień, gdy tylko pole unieruchamiające przestanie działać...

Dowódcy Napoleona i Bismarcka ryknęli z bezsilnej wściekłości na tak zdradziecki podstęp i przygotowali broń. Kiedy pole unieruchamiające znikło, z protossańskiego lotniskowca wystrzeliły następne przechwytywacze i rzuciły się na oddzielone krążowniki niczym grad kul karabinowych. Małe myśliwce w pojedynkę nie stanowiły większego zagrożenia niż dokuczliwa mucha, ale w takiej masie powodowały poważne zniszczenia.

Zanim generał Duke zdołał pospieszyć swoim statkom na pomoc, od skrzydła Eskadrę Alfa zaatakowały Zergi. Odrażające stwory uderzyły w locie na terrańskie okręty, nawet nie przerywając walki z Protossami.

Kolejne eskadry wraithów próbowały dostosować taktykę do nowego zagrożenia, lecz zergańskie mutaliski nie dały im czasu na przegrupowanie. Żrące symbionty bez litości przebijały wszystko, co napotkały na drodze. Jeden trafił we wraitha i w mgnieniu oka przedarł powłokę statku aż do ośrodka systemowego, potem odbił się rykoszetem i uderzył w innego, samotnie walczącego myśliwca, powodując w ten sposób jednym pociskiem podwójne zniszczenia.

Dowódca eskadry wraithów zareagował natychmiast włączeniem osłon maskujących. Kiedy statki znikły nieprzyjacielowi z oczu, myśliwce mogły się wreszcie spokojnie przegrupować i przygotować do kontrataku na mutaliski. Tymczasem od głównego frontu walki między Protossami i Zergami oddzieliła się zergańska królowa z rojem małych autodestrukcyjnych straceńców i zaczęła przeczesywać przestrzeń w poszukiwaniu zamaskowanych wraithów.

Duke z dumą obserwował, jak jego statki oczyszczają przestrzeń z zergańskiej hołoty, zadając dotkliwe straty. W ciemnej próżni wokół pola bitwy unosiły się fragmenty roztrzaskanych pancerzy i zamarznęty śluz odrażających stworów.

– Panie generale, lecą na nas zwierchnicy – poinformował porucznik Scott. – Wiemy, że potrafia rozproszyc pola maskujace. Odslonia wszystkie nasze wraithy. Czy mam je wycofac?

Generał spojrzal na oficera groźnie.

– Pod zadnym pozorem, poruczniku. Proszę tylko spojrzec, jakie siejemy spustoszenie

wśród nieprzyjaciół.

W tym czasie grad protossańskich przechwytywaczy sparaliżował Bismarcka. Napoleon również miał za mało mocy, aby uciec na bezpieczną odległość. Zergańscy zwierzchnicy podlecieli do niewidzialnych wraithów, rozproszyli pole maskujące i wystawili jak kaczki nadlatującej królowej. Ta zajęła dogodną pozycję i spokojnie namierzywszy cel, wypuściła ogromną sieć zielonkawej lepkiej mazi. Gęsta, żywiczna substancja oblepiła zawory jonowe myśliwców, zatkała komory działek, przeciążyła czujniki. W efekcie szybkie wraithy straciły całą swoją zwrotność i siłę rażenia.

To wystarczyło, aby smokokształtne mutaliski rzuciły się do ataku ze zdwojoną energią. Po chwili dołączyły do nich hordy małych straceńców. Niewielkie i z pozoru nieszkodliwe istoty działały jak żywe kule armatnie albo inteligentne bomby. Starannie wybierały cel, po czym roztrzaskiwały się o kadłub statku w samobójczej i śmiercionośnej eksplozji.

Jeden za drugim nieszczęsne wraithy padały ofiarą tych zjadliwych ciosów.

– Generale! – zawołał porucznik Scott.

Tym razem Duke nie mógł zaprzeczyć, że sytuacja wymaga ponownej analizy.

– Wycofać flotę – powiedział. – Musimy się przegrupować.

Najwyraźniej Scott przewidział tę komendę albo po prostu modlił się o nią w duchu, bo zanim jeszcze generał dokończył zdanie, porucznik już wysyłał rozkazy do wszystkich jednostek. Rzecz jasna nikt z załogi nie ośmielił się komentować nadmiernej pewności siebie dowódcy, ale niewątpliwie wszyscy myśleli to samo.

Duke zaczął zbierać do kupy resztki Eskadry Alfa. Bismarck nadal tkwił unieruchomiony w przestrzeni, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, Napoleon włókł się z trudem i pod nieustającym ostrzałem wroga próbował się wycofać na bezpieczną pozycję.

– Wysłać statek badawczy do rozpoznania głównych sił Protossów. Chcę wiedzieć, ile ich się tam jeszcze czai jak pająki w stosie drewna.

Dwie jednostki badawcze ruszyły w kierunku wrogich armii, a po chwili w przestrzeń popłynął demaskujący impuls elektromagnetyczny, który omiótł pole bitwy niczym fala przyływu. Silne pole elektromagnetyczne rozproszyło wszystkie osłony protossańskich okrętów i wystawiło Protossów na atak – wprawdzie nie wycofujących się wojsk terrańskich, ale na pewno Zergów.

Tymczasem okręt flagowy Eskadry Alfa dostał się pod ostrzał. Duke przełknął ślinę i skupił się na ratowaniu własnej skóry.

– Natychmiast wezwać innego „badacza”, żeby rozwinął matrycę obronną wokół Norada. Macie nam zapewnić bezpieczeństwo! – Nagle zdał sobie sprawę, jaką popełnił gafę. – Aha, oczywiście matryca ma objąć także inne krążowniki, które są w zasięgu. Musimy chronić swoich ludzi. Wszystkich. Musimy ująć z życiem, nawet jeśli ma to oznaczać rejteradę.

Ostatnie słowa ugrzęzły mu w gardle jak kawałki zgniłej cytryny. Patrzył w ekran i przebierał nerwowo palcami. Powoli docierało do niego, że czeka ich prawdopodobnie dużo

cięższa przeprawa, niż się tego spodziewał.

Rozdział 23

Koloniści skończyli swoje gorączkowe przygotowania w samą porę. Przerażająca armia najeźdźców zaatakowała o świcie.

Oktawia stała tuż za murem obronnym miasta, nieopodal prefabrykowanych stalowych zabudowań Free Haven. Była wykończona. Oczy ją piekły z niewyspania. Od dwóch dni nie zmrużyła oka, ale teraz nie w głowie jej było odpoczywanie.

Przecież za kilka godzin wszyscy mogą być martwi.

Każdej bramy wjazdowej do miasta broniła jedna roboźniwiarka. W pogotowiu czekały też dwie kopalniane skałokruszarki, których można by użyć jako czołgów, gdyby sytuacja stała się rozpaczliwa.

Od chwili jednak, kiedy w pierwszych promieniach świtu Oktawia zobaczyła zbliżające się masy Zergów, kiedy dobiegł ją szczęk i zgiełk maszerującej hordy, kiedy całą uprawną równinę za miastem zasnuły tumany kurzu, wiedziała, że ich sytuacja już jest rozpaczliwa.

Obok niej burmistrz aż się cofnął osłupiały.

– Mój boże.

Osadnicy z Free Haven rozdzielili między siebie każdy kawałek broni, jaki znajdował się w mieście. Była to głównie broń domowej roboty, ręczne wyrzutnie pocisków, pistolety impulsowe i rzadko używana broń myśliwska. Niektórzy dzierżyli w dłoniach nawet narzędzia rolnicze: wielkie kosy lub zastrzone motyki. Co silniejsi farmerzy potrafili się nimi posługiwać równie skutecznie jak wojownicy dzidą.

Z trudem łapiąc ze strachu powietrze, koloniści ściskali w rękach broń, jakby to była ich lina ratunkowa, jedyna więź trzymająca ich przy życiu. Chociaż Oktawia sama wszczęła alarm o nadejściu obcych, potęga tej maszerującej armii przeszła jej najczarniejsze obawy. Ława potwornych stworzeń zdawała się nie mieć końca.

– Mury są naszą pierwszą linią obrony! – zawołała. Nikt spośród mieszkańców kolonii nie miał doświadczenia wojkowego, ale Oktawia wiedziała, że muszą powstrzymać przynajmniej pierwszą falę nieprzyjaciela, inaczej będą zgubieni. – Nie możemy ich wpuścić do miasta. Nie opuszczać broni. Jeśli złamią nasze szyki i rozproszymy się, będziemy skazani na walkę w pojedynkę, a wtedy wyłuskają nas po kolei bez najmniejszego trudu.

Nie bacząc na jej słowa, dwoje kolonistów uciekło w stronę swoich domów.

– Stańcie do walki! – wrzasnęła Oktawia do pozostałych.

Burmistrz bąknął coś na temat sprawdzenia, co słychać u dzieci, lecz Oktawia złapała go za ramię i stanowczym gestem osadziła w miejscu.

Na obrzeża osady dotarły właśnie pierwsze zwiadowcze szeregi obcych – małe, szybkie stwory o ostrych, sierpowatych odnóżach. Były wielkości psów i wyglądały jak jaszczurki z czerwonymi oczami, ostrymi pazurami i tnącymi ramionami. Pędziły całą wielką falą przez tumany kurzu przy wtórze dudnienia niezliczonych kończyn.

Zadźwięczały pierwsze strzały, wiele niecelnych, jako że nie było wśród kolonistów doświadczonych strzelców, ale ponieważ napastnicy nadchodzili zbitą masą, większość pocisków w coś trafiła. Pozostałe potwory szły dalej, nie zważając na przedśmiertne drgawki dogorywających towarzyszy, niejednokrotnie ich tratując i rozpruwając ich ciała ostrymi szponami.

Rozpacz Oktawii przytłumiła nawet strach. Jaką w ogóle mają szansę w obliczu tego zagrożenia? Dziewczyna trzymała w rękach miotacz kul, który przyniosła z domu, i puszczała teraz serię za serią. Z początku czuła ponurą satysfakcję, widząc rzeź trafionych potworów, po chwili jednak nie miała już nawet czasu, żeby zwracać na to uwagę. Bez spoczynku razila przeciwników gradem kul, aż wyczerpała cały zapas amunicji. Również innym kolonistom skończyły się pociski i ładunki.

Mniej więcej w tym samym czasie pierwsza grupa jaszczurokształtnych stworów przedarła się przez linię murów. Koloniści zaczęli wrzeszczeć przeraźliwie. Oktawia patrzyła, jak kilku osadników pada na ziemię, zamienionych w krwawą miazgę. A to był dopiero początek.

Kiernan i Kirsten Warnerowie, on – kamieniarz, ona – nauczycielka a zarazem inżynier amator, walczyli ramię w ramię narzędziami do cięcia kamieni. Kiernan machał nimi jak kosą, a po każdym zamachu zostawał pokos odciętych odnóży lub rozplątanych skórzastych pancerzy. Wokół piętrzyła się sterta drgających, bezkształtnych ciałek. Kirsten walczyła tak zapamiętale, jakby postanowiła dorównać mężowi w liczbie trupów zaśmielejących ziemię.

Nikolai obrócił się na pięcie i puścił się pędem w stronę miasta. Oktawia zawołała za nim, ale burmistrz jak prawdziwy polityk w mig znalazł wymówkę dla swojego pospiesznego odwrotu.

– Muszę natychmiast wysłać wiadomość do floty terrańskiej. Trzeba im powiedzieć, co się tutaj dzieje.

I nie czekając na odpowiedź, popędził do wieży łącznościowej, po czym zabarykadował się w środku.

Oktawia nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać. Cisnęła bezużytecznym miotaczem w najbliższego potwora z taką siłą, że rozplatała mu czaszkę. Ze środka wytrysnęła odrażająca posoka, ale zwierzę w ogóle nie zwróciło na to uwagi.

Przez ułamek sekundy Oktawia stała bez żadnej broni w ręku, aż nagle przypomniała jej się wieżyczka przeciwlotnicza, ozdobny pomnik, który zaskoczył ostatnio mieszkańców miasta zestrzeleniem obcego statku. Wprawdzie przepalił się system samonaprowadzania, ale w działku nadal tkwiło kilka nienaruszonych pocisków. Musiało być w nich dość materiału wybuchowego, żeby spowodować poważne zniszczenia. Może udałoby się odpalić pociski ręcznie?

Oktawia potrzebowała tylko minuty. I tylko tyle czasu miała.

Popędziła w kierunku centrum miasta. Kiedyś był to cichy i spokojny placyk – jedyne miejsce na Bhekar Ro, które przypominało park. Za jej plecami przerażeni koloniści byli zmuszeni się cofnąć. Szeregi załamywały się pod wpływem ataku krwiożerczych hord, broń wykonana domowymi sposobami zawodziła. Oktawia jednak skupiła całą uwagę na jednym dużym urządzeniu.

Razem z Jonem naprawili co prawda mechaniczne części wieżyczki przeciwlotniczej, ale cała elektronika była nie do odratowania – systemy wykrywania i automatycznego namierzania...

Mimo to Oktawia wbiegła po drabinie i zdarła pokrywę paneli kontrolnych – jej potrzebne były tylko sterowniki spustowe.

Zaparła się i siłą obróciła wyrzutnię. Potem skierowała ją w dół, na nadchodzące oddziały nieprzyjaciela. W komorze były tylko dwa pociski, a Oktawia nie miała pojęcia, jakie szkody może spowodować każdy z nich.

Znalazła mechanizm spustowy i zaczęła ustawiać działko, starając się na oko wyznaczyć trajektorię pocisku. Pierwszy postanowiła wycelować w sam środek hordy oślizgłych potworów. Miło będzie zobaczyć, jak wylatują w powietrze.

Przymknęła oko, wyszeptała szybką modlitwę i odpaliła. Pocisk ziemia-powietrze ryknął i wirując, ze świstem przeszył niebo nad miastem. W pierwszej chwili zdawało się Oktawii, że chybiła, lecz po sekundzie śmiertelny ładunek zatoczył łuk i zarył w tłum nieprzyjacielskich zwiadowców.

Błysk ognia, kłęby dymu, i fragmenty rozszarpanych ciał rozprysły się we wszystkie strony. W tłumie Zergów zapanował chaos, ogłupiałe stwory zaczęły ganiać w kółko niczym tłum oszalałych mrówek.

Oktawia otrząsnęła się z oszołomienia. Nie było sensu zwlekać. Przekręciła wieżyczkę odrobinę w lewo, gdzie jaszczuropolobne stwory właśnie się przegrupowały i odpaliła drugi i zarazem ostatni pocisk. Z radosnym uniesieniem obserwowała wybuch. Oto samodzielnie położyła trupem setki potworów!

Niestety, nieludzki, krwiożerczy przeciwnik miał ich na zbyciu tysiące.

Kiedy dym i kurz wzniecone wybuchem osiadły, przez moment na polu bitwy zaległa cisza. Kilku kolonistów wzniosło triumfalne okrzyki, inni krzyczeli z bólu. Tymczasem rój drapieżnych napastników już się na powrót gromadził przy wtórze syków i bzyczenia.

Wtedy Oktawia zobaczyła to, czego się najbardziej obawiała. Z pobojowiska zaczęły się wylaniać zwaliste człekokształtne sylwetki, zdeformowane i poskręcane ciała, które kiedyś były ludźmi – jedne silnymi farmerami, inne pięknymi kobietami. Wszyscy oni zostali zainfekowani i przekształceni w ślepo posłuszne narzędzia krwiożerczych Zergów.

Szli przed siebie, wywijając mackami, siekąc szponami powietrze, wysuwając ociekające jadem żądła.

Wśród osadników walczących w pierwszych liniach obrony rozległy się zrozpaczone okrzyki.

– To Gandhi! A to Liberty Ryan! A tam jest Brutus Jensen!

Oktawii zrobiło się słabo. Ci ludzie byli jej sąsiadami, razem z nią pracowali w polu, sadzili rośliny, pielęgnowali je i chronili. Brutus Jensen był prawdziwym tytanem pracy i farmerem z zamiłowania.

Zainfekowani koloniści szli bez przeszkód dalej. obrońcy Free Haven patrzyli po sobie niepewnie, nie mogli się przemóc, aby strzelać do ludzi, których aż do dzisiaj znali jako swoich towarzyszy i przyjaciół.

Tylko że teraz to już nie byli ludzie, lecz potwory. Wrogowie. Tak jak poszukiwacz Rastin.

Nagle skóra na człekokształtnych istotach zaczęła się marszczyć, w ciałach coś zbulgotało, twarze i brzuchy im nabrzmiały i zaczęły pulsować. Oktawia przypomniała sobie erupcję toksycznych, palnych gazów, która zakończyła żywot Starego Blue.

– Uciekajcie od nich! – zawołała, biegnąc w stronę muru. – Nie pozwólcie im się zbliżyć!

Była jednak za daleko. Niektórzy z kolonistów usłyszeli jej krzyk i odwrócili się, inni po prostu wrośli w ziemię przejęci grozą.

Oktawia rzuciła się na ziemię i odruchowo skuliła głowę. Zainfekowani osadnicy doszli jak najdalej za mury obronne miasta, a potem ich ciała wybuchły niczym biologiczne bomby, rozsądzone trującymi oparami.

Gwałtowna erupcja rozbiła pierwszą linię obrony mieszkańców Free Haven. Troje kolonistów zginęło na miejscu. Trzydzieści metrów muru oraz dwa pobliskie budynki zostały zmiecione przez falę uderzeniową wybuchu. Inni obrońcy – ci, którzy stali za blisko – padli na ziemię i plując krwią, wili się w gwałtownych, lecz krótkich przedśmiertnych konwulsjach.

Padło również wielu zergańskich żołdaków stojących w pobliżu, ale Oktawia zdążyła się już zorientować, że ta obca rasa traktowała każdą jednostkę jak mięso armatnie, pionka, którego można poświęcić i zastąpić następnym.

Dziewczyna podniosła się z ziemi i popatrzyła na nadchodzącą kolejną falę napastników. Potem obejrzała się na zamknięte drzwi wieży łącznościowej, gdzie zabarykadował się burmistrz. Miała nadzieję, że udało mu się skontaktować z terrańską flotą.

Jeśli siły ratunkowe nie zjawią się lada moment, nie będą miały kogo ratować.

Rozdział 24

W bazie Protossów, założonej w cieniu majestatycznego artefaktu Xel’Nagi, egzekutor Koronis stał przy skrzydle olbrzymiego arbitra i pośród deszczu telepatycznych sygnałów próbował śledzić skomplikowaną bitwę trzech flot na orbicie. Utrzymywał ciągły kontakt z templariuszem Mess’Tą, który zastępował go na pokładzie lotniskowca flagowego i na bieżąco dostarczał mu danych taktycznych.

Koronis porozumiewał się z załogą na otwartym kanale telepatycznym, ponieważ i tak nikt z wrogich armii nie mógł zrozumieć ani nawet usłyszeć ich silnych myślowych przekazów.

– Nie okazujcie litości wrogom Pierworodnych. Musicie bronić tego skarbu przeszłości i zachować go dla rasy Protossów. Nasz sukces na Bhekar Ro zadecyduje o tym, czy Qel’Ha wróci na Aiura w triumfalnym pochodzie, czy jako potrójny przegrany.

– Panie egzekutorze, wszyscy wiemy, jaka jest stawka w tej bitwie – odpowiedział Mess’Ta. – Nie ugniemy się, nasza wola nie osłabnie.

Koronis się wyłączył. Qel’Ha nie mógł zostać w lepszych rękach, chyba że on sam by był na pokładzie. Na niego jednak czekało tu inne zadanie.

Amdor w otoczeniu czterech sędziów stał u podnóża tajemniczego obiektu. Wzniósł ręce, rozczapierzył palce i razem ze swymi towarzyszami wysyłał ku relikтови śpiewne myśli, wczuwał się w wibracje Khali, aby wykryć subtelne odcienie, które mogły pochodzić od połyskującej budowli.

Koronis stanął obok nich i on także zaczął obserwować artefakt. Zanim promowano go na egzekutora, sam był wysokim templariuszem, biegłym w wielu dziedzinach na polu telepatii. Czuł emanacje odsłoniętego obiektu, ale nie potrafił sprecyzować ich źródła ani też odczytać, czy jest to jakaś wiadomość, czy też ostrzeżenie.

Amdor obrócił się do niego i wskazał srebrzyste, kryształowe wyrostki wystające ze skalnego gruzu jak ogromne połamane płatki śniegu.

– Niech pan popatrzy! Same kryształy Khaydarinu stanowią bogactwo, które wprawi całe konklawe w niewymowną radość.

– Te kryształy są znamieniem Xel’Nagi – powiedział Koronis. – Ich obecność dowodzi,

że artefakt jest znaleziskiem, o jakim nawet nam się nie śniło.

Sędzia aż zajaśniał z satysfakcji i radości.

– Musimy go zbadać, egzekutorze. Wejdźmy do środka jak najszybciej.

Koronis wszakże miał inne plany.

– Wydałem rozkazy grupie dragonów, aby rozpoczęli przygotowania.

Amdor był najwyraźniej niezadowolony, niemniej skinął głową. Choć pozerła go ambicja, nie mógł się nie zgodzić z tak rozsądnymi środkami ostrożności.

Koronis wysłał sygnał do najbliższego arbitra. Po chwili otworzyły się skrzydła maszyny i ze środka ze zgrzytem metalowych kończyn wygramoliły się cztery cyborgi bojowe. W miarę jak się poruszały, szczęk metalu łagodniał, a ruchy cybernetycznych wojowników stawały się płynniejsze.

Zamknięci w kulistym jądrze, wsparci na czterech pałkowatych nogach, dragoni zeszli z rampy na ziemię. Byli to wysłużeni protossańscy żołnierze, okaleczeni lub śmiertelnie ranieni w walce, którzy zamiast umrzeć w służbie Khali, woleli, aby ich szczątki wszczepiono w te cybernetyczne okrywy. Mózgi dragonów skupiały energię za pośrednictwem Khali i w ten sposób władały metalowymi kończynami. Mechaniczne stawy pozwalały im pokonywać trudny, nierówny teren, a nawet wspinać się po skalnych osypiskach bez porównania lepiej i szybciej, niż mogłoby tego dokonać którykolwiek spośród sędziów odzianych w długie szaty.

W czasie wieloletniej i bezowocnej podróży dragoni czekali beczynn timer, zamartwiając się, czy będzie im dane przysłużyć się misji Qel’Ha, czy ich wielka ofiara, ich przemiana w te żywe mechaniczne stwory nie okaże się daremna.

Teraz dragoni mieli przed sobą cel. Zostaną pierwszymi badaczami odkrytego artefaktu starożytnej cywilizacji.

Wspinali się po skalnych gładkach, aż dotarli do wylotów tuneli. W dole Koronis i Amdor stali z podniesionymi głowami i patrzyli, jak dzielni dragoni wchodzi w tajemniczy labirynt.

Rozdział 25

Bitwa o Free Haven toczyła się dalej i jak dotąd nie wydarzyło się nic, co by dało obrońcom choćby iskierkę nadziei. Oktawia nie miała czasu, aby układać w głowie jakieś plany lub martwić się o przyszłość. Myślała tylko o jednym – przeżyć jeszcze jedną chwilę i zabić jak najwięcej Zergów.

Problem polegał na tym, że przeciwnicy nie potrzebowali odpoczynku.

Niektórzy koloniści walczyli wręcz i wykorzystując jako broń wszelkie narzędzia rolnicze, rozpaczliwie próbowali powstrzymać falę odrażających potworów. Oktawia nie miała już ani pocisków, ani broni ręcznej, pognąła więc do najbliższej roboźniwiarki, którą burmistrz trzymał koło domu do własnego użytku. Wiedziała, że Nikolai nie dbał o swój pojazd tak jak ona i Lars o swój – stojący teraz bezużytecznie u podnóża artefaktu – mimo to ciężki traktor mógł zadać nieprzyjaciółom duże straty.

Wspięła się na stopień i wskoczyła do kabiny. Uruchomiła silniki. Z komina buchnął kłęb spalin jak dym ze smoczych nozdrzy.

Po drugiej stronie placu zerglingi, przedarłszy się przez pierwsze linie obrony, urządziły sobie teren łowiecki. Tam też Oktawia zobaczyła, jak Kiernan Warner z żoną wskakują do ciężkiej wolnobieżnej maszyny górniczej, zamykają się w środku i ruszają do walki.

Oktawia zrzuciła z siedzenia roboźniwiarki jakieś rupiecie i świcidelka, które burmistrz zostawił na fotelu kierowcy, i z zaciśniętymi zębami potoczyła się ulicami Free Haven, gotowa na spotkanie z następną falą przerażających napastników. Za ruchliwą jaszczuropodobną zgrają ciągnęły większe Zergi, a wśród nich dziewięć wężopodobnych stworów, takich samych jak te, które strzelały do Oktawii zatrutymi kolcami, kiedy uciekała z rafinerii Rastina. To były hydaliski.

Na widok nowego mechanicznego wroga kolczaste cielska stanęły dęba, rozdziawiły się ogromne szczęki, sięgające aż do słabo rozwiniętych skórzastych uszu i najeżone niezliczonymi kłami. Czarne dzikie ślepia przeszyły Oktawię na wskroś.

Zanim dziewczyna zdążyła podjechać na tyle blisko, żeby wypalić z działka kruszącego, pierwszy hydalisk wygiął twardy, zgarbiony grzbiet i wypuścił grad kolczastych pocisków. Oktawia usłyszała, jak śmiercionośne strzały odbijają się od grubego pancerza roboźniwiarki.

Skuliła się, gdy jeden z kolców trafił w szybę, zostawiając na niej pajęczynę popękanego szkła. Wycisnęła z ryczących silników całą moc i natarła na potwora dokładnie w chwili, kiedy ten szykował się do kolejnego ataku.

Chociaż hydaliski były ogromnymi stworzeniami, nie mogły stawić czoła ciężkiej, rozpędzonej roboźniwarce. Potwór wyciągnął szponiaste kończyny, żeby złapać pojazd i przybić go do ziemi, ale Oktawia przetoczyła się na pełnym gazie po odrażającym cielsku i zgmiotła je na miazgę pokruszonego pancerza i oślizłej mazi.

Na ten widok dwa inne hydaliski jednocześnie rzuciły się do ataku i z dwu przeciwnych stron puściły w kierunku roboźniwarce deszcz strzał. Ostre pociski zabębniły o metalowy pancerz, niektóre ześliznęły się po nadwoziu, inne wgniotły grubą blachę, ale nie dały rady przeszyć jej na wylot. Tylko kilka przebiło się przez pancerz i zostawiło po sobie ziejące otwory. Oktawia jednak ani myślała się wycofać. Uruchomiła ogromne ramię do koszenia pszenryżu i opuściła twarde obrotowe ostrza na jednego z hydalisków, który, wystrzelivszy wszystkie kolce, chłostał tylko powietrze szponiastymi odnóżami, nawet wtedy, kiedy śmigające ostrza kosiarki roznosiły go na tysiące kawałków. Śluz i krew zachlapały przednią szybę traktora.

Upojona zwycięstwem, Oktawia obróciła śmiertcionośne ramię w lewo i natarła na trzeciego hydaliska. Zwierzę cofnęło się gwałtownie, jakby wyczuło niebezpieczeństwo. Skosiła je bez trudu, po czym skierowała się w stronę trzech następnych potworów, które zbiły się w kupę i połączonymi siłami próbowały ją powstrzymać.

Zacisnęła powieki i ruszyła przed siebie. Nie wiedziała nawet, czy to wirujące ostrza rozniosły wszystkie potwory na strzępy, czy też zgmiotły je potężne bieżniki roboźniwarci, w każdym razie, kiedy się obróciła, trzy hydaliski leżały martwe i tylko pojedyncze kończyny i większe fragmenty korpusów drgały w śmiertelnych drgawkach na stratowanej ziemi.

Tymczasem Kiernan Warner podciągnął swoją maszynę górniczą pod sam mur, żeby sięgać do skalistego podłoża na obrzeżach miasta. Następnie chwycił katapultą ciężkie gązdy i miotał nimi w zergańskie potwory jak armatnimi kulami.

Dziesiątki rozszalałych zerglingów padły pod kamiennymi pociskami z wyrzutni, a nawet twarde pancerze hydalisków nie wytrzymały tego bombardowania. W przedśmiertnych skurczach jeden z nich wypuścił chmurę zatrutych kolców, które wytrysnęły na wszystkie strony. Część uderzyła w pojazd Warnerów, część poszybowała w niebo niby las zabłąkanych strzał, reszta zaś położyła pokotem innych Zergów cisnących się do wylomu w murze.

Zdumione nagłym zwrotem w przebiegu bitwy i zażartą obroną kolonistów, wojska napastników jakby się zawahały. Oktawia zauważyła, że dziesiątkowane szeregi potworów zaczęły się wycofywać.

Nie na długo jednak. Wkrótce Zergi okrążyły Free Haven, podeszły do miasta od północnego wschodu i tam gromadziły siły potrzebne do ostatecznej inwazji na osadę.

– Chcą się przedrzeć przez magazyny z paliwem! – mruknęła do siebie Oktawia, patrząc

w stronę przemysłowego rejonu miasta, gdzie mieszkańcy składowali cysterny z przetworzonym vespenem.

We Free Haven zawsze przechowywano duże ilości paliwa „na wypadek nieszczęśliwych zdarzeń” – jak mawiał burmistrz Nikolai. Oktawia jednak podejrzewała, że osadnicy robili duże zapasy gazu, żeby jak najrzadziej mieć do czynienia z gburowatym Rastinem. Ze smutkiem w sercu przypominała sobie, że stary odludek był jedną z pierwszych ofiar Zergów. Może chociaż paliwo, tak drogo przez niego okupione, mogłoby posłużyć kolonistom do obrony Bhekar Ro.

Uruchomiła przedni miotacz płomieni i słup ognia w mgnieniu oka unicestwił najbliższe zerglingi. Miotacze wbudowano w roboźniwiarki, aby służyły do wycinania gęstych lasów pod nowe ziemie uprawne, ale z powodzeniem można było nimi upiec żywcem dziesiątki nieprzyjacielskich stworów.

Właśnie jeden z hydralisków z sykiem podniósł węzowate cielsko i szykował się do ataku na groźny pojazd, lecz Oktawia posłała ognistą kulę prosto w odrażający pysek i dosłownie spopielili Zerga na miejscu.

Metalowe bieżniki szczykały po nierównym gruncie, kiedy roboźniwiarka spieszyła w kierunku miejskich magazynów z paliwem. Być może nieprzyjacielskie wojska zorientowały się, że jest to najsłabszy punkt w liniach obronnych miasta, a być może chciały zagarnąć zapasy vespenu dla siebie. Zbiły się w kupę nieopodal zbiorników i całą ławą posuwały się do przodu. Przerwały linie obronne przy murach, jakby to były cienkie sznurki, po czym wysypały się na teren magazynów z paliwem.

Oktawia wiedziała, że ma tylko kilka sekund i musi działać natychmiast, w przeciwnym wypadku jej szaleńczy plan spali na panewce. Zatrzymała pojazd i wypuściła najsilniejszy strumień płomieni, na jaki pozwalał miotacz. Starła się objąć ogniem jak najwięcej zbiorników z gazem. Kilkadziesiąt zerglingów skurczyło się i upiekło na miejscu. Dwa hydraliski pełzły przez rzadsze płomienie, nie zważając na ból, chociaż ich błyszczące ciała skwierczały w ogniu.

Tym razem jednak celem Oktawii nie były obrzydliwe stwory. Po kilku nerwowych sekundach, kiedy już jej się zdawało, że siła ognia będzie niewystarczająca, pierwsza cysterna osiągnęła nareszcie krytyczną temperaturę i wybuchła gigantyczną kulą ognia. Wstrząs i żar spowodowały eksplozję następnej cysterny, a ta z kolei jak klocek w ognistym dominie uderzyła w trzecią.

Potężna fala uderzeniowa rozeszła się na wszystkie strony. Zergi, które dostały się na teren magazynów, zamieniły się kupką popiołu. Te, które stały dalej, siła podmuchu rozpląszczyła na ziemi. Tymczasem zbiorniki z vespenem nadal eksplodowały.

Oktawia złapała się siedzenia, bo roboźniwiarka zadrżała i potoczyła się w tył.

Kiedy wreszcie płomienie przygasły i dym się nieco rozwiął, oczom kolonistów ukazał się zdumiewający widok. W serii gwałtownych wybuchów oraz dzięki heroicznym wysiłkom

walczących osadników główne siły potwornej armii zostały rozbite w proch. Pozostałe oddziały, które ocalały poza obszarem miasta, czy to ze strachu, czy może wyczuwając porażkę, wycofały się pospiesznie.

Oktawia wygramoliła się z roboźniwiarki. Dookoła z kryjówek zaczęli wychodzić osadnicy, jedni pobladli od wstrząsu, inni unurzani we własnej krwi i odrażającej zielonkawej posoce.

Kiernan i Kirsten wyrzeli ze swojej maszyny i rozglądali się zdumieni z otwartymi ustami. Nikt nie dowierzał, że bitwa została wygrana, że przerażający obcy najeźdźcy zostali odparci.

W tym momencie z bezpiecznego schronienia w wieży łącznościowej wyszedł burmistrz z triumfalnym uśmiechem godnym bohatera zdobywcy.

– Udało mi się! Dobre wieści. Rozmawiałem z siłami terrańskimi. Wojska niebawem tu będą.

Kilku osadników jęknęło, inni wiwatowali. Oktawia była tak odrętwiała, że nie miała nawet siły narzekać na postępowanie burmistrza. Oparła się o roboźniwiarkę, dysząc ciężko z wyczerpania. Potem nagle z łękiem podniosła wzrok, bo doszły ją nowe odgłosy. Dudnienie i syk dobiegające od przedmieścia były jeszcze donośniejsze niż nad ranem.

Równiną maszerowała trzecia i najpotężniejsza fala Zergów. Tym razem obok karłowatych zerglingów i wielkich hydralisków kroczyły gigantyczne potwory, podobne prehistorycznym mamutom, ale przeobrażonym w sennych koszmarach we włochate monstra o potężnych kłach, które mogą kroić budynki jak nóż kromki chleba. W górze unosiło się na wietrze stado szkaradnych smokokształtnych stworów. I wszystko to zmierzało w stronę Free Haven. W pierwszym szeregu pełzły dziesiątki hydralisków, ale w tym tłumie przerażających poczwarów były i inne stworzenia – zdeformowane mutacje nieznanymi ras, z wyglądu równie krwiożercze jak Zergi. Cała ta odrażająca armia dyszała jedną żądzą – unicestwienia wszystkich żywych istot z terrańskiej osady.

Oktawia patrzyła bezradnie. Tej fali nie uda im się powstrzymać.

Rozdział 26

Na orbicie Bhekar Ro protossańskie okręty i latające siły Zergów bez litości bombardowały jednostki Eskadry Alfa.

– No cóż, panowie, wygląda na to, że musimy opuścić ten plac zabaw – powiedział generał Edmund Duke, zerkając na wiadomość, którą przekazał mu oficer łącznościowy. – Koloniści potrzebują naszej pomocy. Nie pozostaje nam nic innego, jak zejść na powierzchnię i niezwłocznie zająć się tą sprawą.

Porucznik Scott patrzył na płonący kadłub Bismarcka – jedyne, co pozostało po terrańskim krążowniku – i na wlokącego się Napoleona, rozpaczliwie próbującego wyrwać się z otoczenia nieprzyjacielskich jednostek.

– Czy to na pewno mądre posunięcie, panie generale? – zapytał. – Nasze okręty na orbicie są w opałach.

Generał zmarszczył brwi i obrócił surową twarz w stronę oficera taktycznego.

– Poruczniku, to byłby wstyd, gdybyśmy przebyli całą tę drogę w celu ratowania kolonistów, a potem pozwolili, żeby te obce monstra pożarły ich żywcem, zanim kiwniemy palcem. – Generał od dawna wiedział, że bohaterem na wojnie zostaje się tyleż dzięki talentowi strategicznemu, co odpowiedniej reklamie. – Niech się pan nie martwi, zostawimy kilka okrętów na orbicie, żeby mogły kontynuować walkę z nieprzyjacielem.

Porucznik wydał rozkazy, aby główne siły porzuciły konflikt na orbicie i zeszły do lądowania na Bhekar Ro. Dla okrętów terrańskich, które pozostały w górze i broniły się przed atakami Protossów i Zergów, wyglądało to na zwykłą ucieczkę.

– To nie jest odwrót – przekonywał generał – tylko przejście do ofensywy w przeciwnym kierunku.

Pierwsza linia Eskadry Alfa zanurkowała w gęstą atmosferę planety niczym kawaleria mknąca po niebie na ratunek obleganym Terrańczykom. W dole widać było dymy unoszące się nad Free Haven. Straty w mieście były poważne, ale kolonistom jak dotąd udało się przetrwać.

Na równinie hordy Zergów rozdzieliły się i zataczały koło z zamiarem okrążenia ośmiokątnej osady i zamknięcia jej w pułapce. Pojedyncze stwory przebiły się już przez mur i

wdarły do miasta.

Generał Duke patrzył na pobojowisko zergańskich trupów, na dymiące kratery po pociskach przeciwlotniczych i dopalające się zgłiszcza magazynów i był pod wrażeniem, kiedy sobie wyobraził, jaki zacięty i skuteczny opór musieli tu stawiać koloniści... jak na garstkę wieśniaków, rzecz jasna.

Musi teraz tylko uratować tyłu z nich, żeby można było w Universal News Network pokazać klipy ze zwycięskiej akcji ratunkowej. Uśmiechnął się i rozkazał statkom otworzyć ogień do „hołoty obcych”.

Eskadra Alfa wkroczyła do walki jak słoń do składu porcelany. Żołnierze strzelali do wszystkiego, co się ruszało, chociaż starali się omijać obiekty wyglądające na ludzi. Od głównych sił nieprzyjacielskich oderwały się latające zergańskie stwory, które Duke rozpoznał jako mutaliski. Z jakiegoś powodu jednak nie zaatakowały krążowników generała, lecz poleciały w górę, w stronę bitwy toczącej się na orbicie. Prawdopodobnie, kiedy wojska terrańskie wycofały się ze starcia, zwierzchnicy wezwali wszystkie latające Zergi do walki z siłami Protossów.

Generał Duke nie miał nic przeciwko temu. Skierował na ziemię desantowce, które po chwili zaczęły wylądowywać czołgi obłęznicze, żołnierzy sterujących ze środka ciężkimi pancerzami zwanymi goliatami i napowietrzne motocykle – vultury. Wszystkie te oddziały bojowe ruszyły przed siebie, gotowe do walki z każdym stworzeniem chodzącym po ziemi.

Generał nie zadał sobie trudu skontaktowania się z władzami terrańskiej kolonii. To była operacja wojskowa i, do diabła, będzie robił to, co sam uzna za stosowne.

Jego żołnierze znali swoje zadania. Rozbiegli się, aby utworzyć linię obrony, podczas gdy zwrotne wraithy i ogromne krążowniki zapewniały im wsparcie z powietrza. Te ostatnie razem z myśliwcami skierowały na nadchodzące Zergi pełną siłę ogniową. Bombardowały monstrualne ultraliski, ścierały w pył stada zerglingów, roznosiły na strzępy oddziały hydralisków.

– To jest to – powiedział Duke i osobiście przejął część sterowania bronią, „żeby nie wyjść z wprawy”.

Pod nieobecność plujących kwasem mutalisków, wobec braku zagrożenia z powietrza, atak sił terrańskich był właściwie strzelaniem do jednej bramki. Po kilku godzinach kompletnej rzezi, generał stracił zaledwie jedenaście wraithów, pięć goliatów oraz garstkę marines i firebatów. Wszyscy oni otrzymają w nagrodę honorową pochwałę, podpisaną przez samego imperatora Mengska – o ile nowe Dominium wydrukowało już własne formularze.

Kiedy Norad III wylądował na równinie pod dymiącym miastem, generał Duke szedł z pokładu wyprostowany, z dumnie uniesioną głową. Oczekiwał radosnych wiwatów ze strony uratowanych kolonistów, mimo że osadnicy wyglądali na wyczerpanych i oszołomionych.

Z lekkim marszem na czole stwierdził, że jego żołnierze spowodowali niemal takie same zniszczenia wśród miejskich zabudowań, co Zergi. Niefortunny wypadek. W końcu to był

ogień sprzymierzeńców, osadnicy nie powinni więc zanadto narzekać.

Straty uboczne, to wszystko – mruknął do siebie, przemierzając ulice nowo zdobytego miasta.

Szukał burmistrza albo, jeśli ten zginął, kogoś, kto mógłby mu oficjalnie przekazać dowództwo wojskowe nad miastem. Rozglądał się po twarzach osadników i wyobrażał sobie, że patrzą na niego jak na wyzwoliciela.

– To będzie od tej pory moja baza wypadowa dla dalszych operacji – orzekł, kiedy następne desantowce zaczęły wyładowywać żołnierzy.

Zastanawiał się, czy wygłosić teraz mowę, czy też najpierw wysłać żołnierzy do gaszenia pożarów w mieście. Łaskawym gestem wyprawił lekarzy wojskowych, aby sprawdzili, czy jakimś rannym osadnikom potrzebna jest pomoc. Potem z dumnym uśmiechem zwrócił się do obszarpanych kolonistów:

– Wy, cywile, możecie się teraz spokojnie udać na spoczynek.

Rozdział 27

W dawnej posiadłości starego Rastina zaszły radykalne zmiany. Chata i stacje rafineryjne zmieniły się nie do poznania. Całe obejście pokrywała dziwna tkanka. Wokół wyrastał labirynt poskręcanych, organicznych konstrukcji, odwzorowujących genetyczny model zergańskiego ula – struktury niepojętej dla ludzkiego umysłu. Włóknista materia organiczna zergańskiej plechy rozprzestrzeniała się po całym terenie, absorbując ze skalistego podłoża surowce i przetwarzając je w substancje pokarmowe.

Jedna z królowych, które po przybyciu szczepu Kukulkan wylądowały na powierzchni Bhekar Ro, pozostała w chacie Rastina przerobionej na wylęgarnię. Jedynym przeznaczeniem tego miejsca było doprowadzić do wylęgu setek larw, które następnie będą się mogły przekształcić w różnorodne zergańskie podgatunki.

Królowa pochyliła trójkątną głowę osadzoną na długiej, zylastej szyi i wyciągnęła spiczaste ramiona. Znała swoją rolę w tej misji. Sara Kerrigan, nowa Królowa Ostrzy, przekazała pełne instrukcje kukulkańskim zwierzchnikom, którzy sprawowali kontrolę nad wszystkimi królowymi i ich wylęgarniami. Królowe z kolei kierowały poczynaniami robotników zajmujących się zbieraniem surowców i budową wylęgarni. Robotnicy mogli również przekształcić wylęgarnię w pośrednie, obronne stadium legowiska, a wreszcie – gdy była do tego gotowa – w dojrzałą formę zergańskiego ula.

Szczep Kukulkan dysponował wszystkimi zergańskimi podgatunkami, jakie były potrzebne, aby złamać nawet najbardziej zacięty opór. Robotnicy uwijali się przy swoich zajęciach niczym gigantyczne owady, ślepo oddani i posłuszni poleceniom królowych. Kolczaste larwy ewoluowały w zerglingi, hydraliski, a nawet mamucie ultraliski. W powietrze wzbijały się nowo narodzone latające smoki-mutaliski, w każdej chwili gotowe do szturmów strumieniami żrącego kwasu.

Było też coś nowego. Królowa, posłuszna zergańskiemu instynktowi, zaabsorbowała DNA wielkiego psa o błękitnej sierści, którego zainfekowano na tej planecie. Duże i agresywne zwierzę zostało uznane za dobrego kandydata na nowy, eksperymentalny podgatunek Zergów.

W ciągu całej swojej historii Zergi podbijały inne rasy i przejmowały od nich wszelkie

wartościowe cechy genetyczne. Kiedy szczep Kukulkan zaatakował starego właściciela rafinerii i jego psa, królowa dostrzegła w genach zwierzęcia nowe możliwości, których Zergi jak dotąd nie rozwinęły. Jak dotąd.

Chociaż Stary Blue nie przeżył zergańskiej infekcji, królowa zdążyła odczytać i zapamiętać jego kod DNA. W ramach eksperymentu wprowadziła u nowych larw udoskonalenia w budowie mięśni i, co najważniejsze, wyostrzony zmysł węchu. Zaprojektowała kilka próbnych stworów zbudowanych na podobieństwo wielkiego błękitnego mastifa.

Pod konstrukcjami rafinerii robotnicy ryli głębokie tunele, aby przemieszczając podziemne skały i głązy wokół szybów, obudzić na nowo wszystkie cztery gejzery vespenu. Następnie jeden z robotników przekształcił się w żywy ekstraktor i zaczął zbierać tryskające paliwo. Stężony vespene przechowywany w organicznych zbiornikach przenoszono do wylęgarni, gdzie był przetwarzany na energię potrzebną do hodowli nowych zergańskich wojsk, żołnierze zaś czerpali z niego siłę i substancje pokarmowe niezbędne do prowadzenia dalszej walki z nieprzyjacielem.

Nowo narodzone stwory przekopywały się pod ziemią lub biegly do punktu zbornego. Atak na terrańską osadę kosztował wprawdzie kolonię Zergów dużo sił, ale była to zaledwie drobna częśćka całego planu strategicznego szczepu Kukulkan.

Ludzie zamieszkujący Bhekar Ro stanowili cenne źródło energii, mogli również stawiać opór, który utrudniał realizację planu. W ostatecznym rozrachunku jednak się nie liczyli, nie mieli bezpośredniego związku z głównym celem Zergów, który leżał po drugiej stronie łańcucha górskiego i za następną równiną, gdzie właśnie wylądowały wojska Protossów...

* * *

Tymczasem protossańscy dragoni zniknęli w środku katedralnej struktury artefaktu.

Egzekutor Koronis nie zdążył jednak odebrać raportu z ich wyprawy zwiadowczej, bo za jego plecami naziemne oddziały zelotów wszczęły alarm. Dno doliny zafalowało, powierzchnia gruntu popękała. Wojska Protossów odrzuciło gwałtownie w tył, kiedy ziemia zaczęła wypluwać z ukrytych korytarzy całe masy zergańskich napastników. W górę dźwignęły się wygięte cielska hydralisków, a ułamek sekundy później strumienie trujących kolców pokroily we wstążeczki najbliższych protossańskich żołnierzy.

Zeloci Koronisa z bojowym okrzykiem rzucili się do walki. Chociaż ci templariusze-wojownicy nie osiągnęli jeszcze najwyższych poziomów Khali, byli bezlitośni i fanatycznie oddani swojej rasie. Ich ciała udoskonalono cybernetycznymi wszczepami, a chronily ich bardzo skomplikowane zbroje, wzmocnione wysokimi, giętymi naramiennikami, napierśnikami i wyściełanymi nagolenicami. W grubych zarękawicach zeloci mieli wbudowane wmacniacze psychoenergii, które ogniskowały ją w jedno śmiertelne psychotroniczne ostrze.

Zeloci z furją rzucili się do walki. Połyskujące ostrza psychotroniczne śmigwały w powietrzu, kosząc nacierających wrogów.

Egzekutor zareagował błyskawicznie. Wezwał wszystkie siły naziemne: przywołał wysokich templariuszy oraz następnych dragonów, puścił też do boju powolne, ale wyjątkowo niebezpieczne niszczyciele – opancerzone jednostki wyglądem przypominające gąsienice.

Wypełniając rozkaz dowódcy, zeloci bez wahania poświęcali życie, aby skupić wokół siebie jak najwięcej Zergów. Koronis uznał, że przyszła kolej na niego. Nie ruszając się z miejsca, u podnóża ogromnego pulsującego artefaktu przywołał całą swoją energię. Użył najpotężniejszej broni, którą nauczył się władać, studiując przez dziesiątki lat najsubtelniejsze tajniki Khali, spędzając niezliczone godziny na medytacjach nad małym kawałkiem kryształu przetrzymywanym na pokładzie Qel’Ha.

Psychotroniczny grom.

Psychoenergia Koronisa zbudziła do życia ogromne kryształy Khaydarinu rozsiane wokół reliktu Xel’Nagi. Potężne formacje zogniskowały atak egzekutora, telepatyczna nawałnica zaczęła przybierać na sile, gromadzić coraz więcej energii...

Ze swojego stanowiska w pobliżu artefaktu sędzia Amdor patrzył z konsternacją i zdumieniem. Podmuch potężnej energii wyzwalał się tu i ówdzie w trzaskających wyładowaniach porwał jego ciemne szaty, które zaczęły trzepotać na podobieństwo rozwścieczonych płomieni. Oczy sędziego płonęły.

Koronis nie cofnął się przed zastraszającą potęgą własnej broni. Jego psychotroniczny grom uderzył z siłą, o jakiej egzekutorowi nigdy się nawet nie śniło. Grzmot przetoczył się przez nieprzyjacielskie skupiska, unicestwiając dziesiątki drapieżnych Zergów.

Po tym wysiłku wyczerpany Koronis zatoczył się w tył. Podmuch i błyskawice jego ciosu powoli rozwiewały się ku górze.

Bitwa się jednak nie skończyła. Zeloci znów ruszyli do walki i znów zaiskrzyły psychotroniczne ostrza. Tymczasem do ataku przystąpiły nowe siły. Egzekutor aż zamrugał ze zdziwienia, kiedy ziemia zaczęła pękać w następnych miejscach i wyrzucać na powierzchnię kolejne zastępy zergańskich potworów.

Nakazał lotniskowcom zejść do lądowania i utworzyć linie fortyfikacyjne wokół artefaktu. W końcu to był ich najcenniejszy skarb. Na razie Protossi nie mogli liczyć na pomoc ani napływ nowych sił, przynajmniej ze strony egzekutora.

Koronis patrzył bezradnie, jak wzbierające potoki Zergów ruszają do ataku jedną, niepowstrzymaną ławą...

Rozdział 28

Kiedy niszczycielskie wojska terrańskie wkroczyły do Free Haven i pyszałkowaci marines przejęli władzę w mieście, Oktawia nie zauważyła, żeby sytuacja osadników uległa poprawie.

Podczas gdy wyczerpani koloniści uwijali się przy gaszeniu pożarów, opatrywaniu rannych i grzebaniu zmarłych, generał Duke zarekwirował największy ocalały budynek przy głównym placu miasta, po czym zajął się ściąganiem z krążownika swojego składanego fotela dowódczego. Z wyćwiczoną wojskową precyzją on i jego żołnierze przystąpili do zakładania bazy w obrębie miasta.

Abdel i Shayna Bradshawowie doglądali rannych kolonistów, których poukładano w sali zebrania, Oktawia tymczasem poszła do tych, którzy nadal leżeli na ulicach tam, gdzie padli. Krążyła między krwawiącymi towarzyszami walki, zakładała opatrunki, obwiązywała złamane kości bandażami plastisowymi lub unieruchamiała je w elastołubkach, podawała antybiotyki. Zapasy środków medycznych, które od początku były szczupłe, właściwie się wyczerpały.

Zaczęła się rozglądać za kimś do pomocy, ale wszyscy w mieście byli ranni albo zajęci pilnymi sprawami... wszyscy z wyjątkiem żołnierzy z Eskadry Alfa. Wzburzona pomaszerowała w stronę głównego placu, gdzie na swoim fotelu dowódczym siedział generał Duke i bardzo z siebie zadowolony dyrygował poczynaniami marines.

– Osadnicy umierają – powiedziała. – Potrzebujemy lekarstw, opatrunków i ludzi do pomocy.

Generał ledwie raczył na nią spojrzeć.

– Moi ludzie są zajęci. Musimy założyć bazę.

– Pańscy ludzie, podobnie jak pan, generale, zostali tu przysłani, żeby nam pomóc.

Oktawia nie zamierzała się tak łatwo poddać. Ludzie umierali – umierali jej przyjaciele i sąsiedzi. Wpiła w generała wzrok i wytrzymała jego spojrzenie. Nie pozwoli się lekceważyć.

W końcu Duke wysłał kilkanaście osób ze swojego personelu medycznego, aby pomogły kolonistom operować rannych. Kazał również przynieść całą skrzynię środków medycznych i przekazał je do dyspozycji mieszkańców Free Haven. Oktawia doskonale wiedziała, że nie

zrobił tego z troski o życie osadników, tylko po to, żeby się jej pozbyć, ale w tej chwili nie obchodziły jej intencje, tylko efekty.

Żołnierze Eskadry Alfa krążyli po rampach krążowników, wyladowując dziesiątki SCV-ów do eksploatacji złóż mineralnych i vespenu (jako że Oktawia osobiście wysadziła w powietrze cały miejski zapas paliwa).

Wróciła do rannych. Unieruchomiła Jonowi złamaną nogę, potem poszła do dwunastoletniego chłopca, który stracił mnóstwo krwi i był we wstrząsie. Zrobiła mu infuzję osocza i podała silny środek przeciwbólowy. Nagle podniosła głowę i ze zdziwieniem zobaczyła burmistrza, purpurowego na twarzy, maszerującego w stronę generała z pięściami zaciśniętymi wysoko przed sobą, jakby po raz pierwszy w życiu miał zamiar kogoś pobić.

– Generale, pańscy ludzie plądrują nasze domy – powiedział wzburzonym głosem. – Pokradli z budynków silniki i inne przedmioty, a teraz wysłał ich pan w jakichś pojazdach na nasze pola uprawne! Czy po to przeżyliśmy ataki Zergów, żeby nas teraz ograbili nasi, tak zwani, wybawiciele? Co za czelność! Proszę się natychmiast wytłumaczyć!

Generał spojrział na niego groźnie.

– Panie burmistrzu, sami wezwaliście nas na ratunek. Eskadra Alfa toczyła niezwykle trudną bitwę na orbicie Bhekar Ro. Mimo to przylecieliśmy tu, żeby ratować waszą skórę. Można by oczekiwać, że okażecie trochę więcej wdzięczności.

Nikolai aż się zachłysnął.

– Oczywiście, że jesteśmy wdzięczni. Tylko że nie ma różnicy, czy zginiemy dzisiaj w paszczach Zergów, czy za miesiąc z głodu. Będziemy tak samo martwi.

– Dobrze, już dobrze. Przed odjazdem zostawimy wam trochę naszych konserw. Jeśli się nie mylę, mamy kilka tysięcy termoszczelnych paczek siekanej wołowiny, które niedługo tracą ważność.

Nik zaczął protestować, ale generał machnął na niego ręką.

– Zapewniam pana, że robimy tylko to, co jest absolutnie konieczne do wypełnienia naszego zadania. Może pan nie wie, ale Eskadra Alfa ma swoje rozkazy. Daliśmy z siebie wszystko, żeby pomóc panu i tym wieśniakom tutaj, ale gdzieś tam czekają na nas wrogowie, których musimy pokonać, i artefakt, który musimy przejąć w imieniu imperatora. – Łypnął na burmistrza złowrogo i poskrobał się po szczeciniastej brodzie. – Ostrzegam pana, nie próbujcie stawać na drodze moim ludziom, bo zarekwiruję następny budynek i zamienię go w pomieszczenie dla internowanych.

Po tych słowach generała dwóch żołnierzy złapało burmistrza za ramiona i odciągnęło na bok, chociaż szarpał się i wiał jak dziecko, które zabrano od ulubionej zabawki.

Duke przesłuchał garstkę kolonistów wybranych na chybił trafił spośród mieszkańców Free Haven. Potem wysłał i swoich ludzi, aby znaleźli Oktawię Bren, która pierwsza wszczęła alarm i najwyraźniej wiedziała najwięcej na temat obcych.

Bez żadnych wyjaśnień kazał ją sprowadzić pod eskortą do swojego nowego centrum

dowodzenia, które założył w dawnym domu burmistrza. Nie zaproponował jej niczego do picia ani zjedzenia. Rozparł się w swoim fotelu i zmierzył ją wzrokiem. Oktawia poczuła nową falę niechęci do tego człowieka.

– No dobrze, pani Brown – powiedział ponuro.

– Bren, generale. Nazywam się Bren.

– Tak, tak, naturalnie. No więc, nadszedł czas, aby wypełniła pani swój obowiązek jako obywatelka Dominium Terrańskiego.

Oktawia wyprostowała się i zmarszczyła brwi.

– Jesteśmy na Bhekar Ro niezależną kolonią, generale. Nie słyszeliśmy o waszym Dominium aż do czasu, kiedy wysłaliśmy wiadomość, czyli kilka dni temu. Jak zatem może my być jego obywatelami?

– Mimo to imperator Mengsk kocha wszystkich swoich poddanych, nawet ignorantów. Ale również liczy na ich współpracę. – Generał zabębnił grubymi palcami o blat biurka. – Jak rozumiem, pani w tym mieście najwięcej wie na temat tajemniczego obcego artefaktu. Widziała go pani na własne oczy.

– On zabił mojego brata.

– Aha, dobrze – powiedział Duke. – To znaczy... nie mówię o pani bracie, tylko o tym, że miała pani bliski kontakt z tym czymś. Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pani pamięta. Jak on wygląda? Czy są wokół jakieś fortyfikacje? Co jeszcze pani zauważyła? Może na przykład dałoby się go wykorzystać jako broń? Jeśli ten obiekt mógłby nam posłużyć do pokonania wroga, zostawilibyśmy panią i resztę osadników w spokoju. Nie chciałaby pani wrócić do swoich... nie wiem, co wy tu właściwie robicie, w każdym razie do swoich prac?

Oktawia niczego w świecie nie pragnęła bardziej, opowiedziała więc generałowi wszystko jak najdokładniej. Zaczęła od relacji, jak razem z Larsem odkryli dziwny obiekt odsłonięty w zboczu góry przez lawinę i trzęsienie ziemi. Potem opisała, w jaki sposób artefakt zabił jej brata, a następnie usmażył roboźniwiarkę.

Duke uniósł brwi.

– To brzmi interesująco. Można by tym eliminować pojazdy nieprzyjaciela. Coś jak pole paralizujące. Hm, wyślę zespół naukowców do zbadania artefaktu z bliska.

– Zdaje mi się, że wszyscy ci obcy, którzy tu przylecieli, wpadli na ten sam pomysł – zauważyła Oktawia. – Pańskich naukowców może tam czekać niespodzianka.

– Nie zaprzataj sobie tym ślicznej główki, dziewczyno. Mieliśmy już do czynienia i z Zergami, i z Protossami.

Rozejrzał się po pokoju i po różnych urządzeniach, które zainstalował w domu burmistrza. Był wśród nich także sejsmograf wyniesiony z domu Oktawii.

Jakby od niechcenia, wspominając dni swojej chwały, streścił jej przebieg pierwszej wojny między Protossami, Terrańczykami i Zergami.

Oktawia słuchała tej fanfaronady i również rozglądała się po pomieszczeniu. Nagle

zatrzymała wzrok na naprawionym sejsmografie. Odczyt podrygiwał niespokojnie, pokazując liczne eksplozje skupione wokół jednego miejsca – obcego artefaktu w odległej dolinie.

– Wygląda na to, że coś się tam dzieje – zauważyła Oktawia.

Duke błyskawicznie zanalizował wskazania i ściągnął grube wargi.

– Mogę stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że to efekty użycia broni. Gdzieś tam się toczy wielka bitwa, a moich ludzi jeszcze tam nie ma! – Zacisnął pięść i z całej siły grzmotnął w biurko burmistrza Nikolai. – Lepiej, żeby się nie okazało, że straciłem artefakt, bo ratowałem jakichś bezradnych kolonistów!

Rozdział 29

Chociaż siedziała w głębi tętniącego, rozrastającego się ula na dalekiej planecie Char, Sara Kerrigan uważnie śledziła postępy swego szczepu Kukulkan.

W czasie bitwy czuła śmierć każdego ze swych poddanych – najpierw kiedy żałośni koloniści odpierali ataki Zergów pod Free Haven, potem, kiedy znienawidzony generał Edmund Duke sprowadził swoją Eskadrę Alfa i rozgromił jej maszerującą armię, wreszcie, gdy jej oddziały walczyły z Protossami o przejęcie artefaktu Xel’Nagi.

Jednak to, co czuła po stracie swoich żołnierzy, to nie był ani smutek, ani ból. Oni żyli tylko po to, żeby umrzeć. Zostali zaprojektowani jako część zamienna w wielkiej żywej maszynie. To nie martwiło Królowej Ostrzy.

W wytrwałym dążeniu, aby zająć miejsce dojrzałego Nadumysłu, Sara Kerrigan prowadziła rachunki swojej populacji i liczyła śmierć każdej jednostki. To były liczby. Statystyka.

Wysyłała gniewne instrukcje do zwierzchników i wylęgarek szczepu Kukulkan: wyhodować więcej larw, więcej żołnierzy. Dużo więcej. Prędzej czy później i tak będzie ich wszystkich potrzebowała, aby zrealizować swój plan podboju całego sektora galaktyki.

Będzie też potrzebowała artefaktu Xel’Nagi.

Doprowadziło ją do furii, że Protossi przybyli tam pierwsi i pierwsi założyli bazę u stóp artefaktu. Fale gniewu rozchodziły się dookoła. Strażnicy, czując jej wzburzenie, z sykiem miotali się po tunelach ula. Nim jednak rozdrażnione potwory zdążyły zniszczyć ul – który zresztą i tak szybko by się zregenerował – Sara uspokoiła myśli i skupiła się na swoich dojrzewających zamysłach. Snuła rozległą sieć intryg, zdrady i podboju, które przerodzą się we wszechogarniającą wojnę szczepów – kolejny etap w precyzyjnym planie Królowej Ostrzy, który ją poprowadzi ku dominacji i zemście.

Widok Eskadry Alfa znów przypomniał jej Jima Raynora, mężczyznę, którego mogła była pokochać. Raynor był wyjątkowym Terrańczykiem, zdolnym zrozumieć nawet męki jej poprzedniego wcielenia psychouzdolnionej kobiety, którą praniem mózgu przemieniono w ducha. Jim Raynor był jednak tylko częścią jej człowieczej przeszłości. Dawne, nieważne dzieje, zanim padła ofiarą zdrady Arcturusa Mengska, zanim stała się Zergiem.

Nie czuła do Mengska niechęci za to, że ją zostawił z Zergami... chociaż chętnie by osobiście wypatroszyła samozwańczego imperatora, gdyby go dorwała w swoje szpony. Powyrywałaby mu po kolei wszystkie kończyny, dla czystej przyjemności.

To była zresztą tylko kwestia czasu.

Przebiegła w pamięci szczegóły swego ostatniego spotkania z nadętym i pewnym siebie generałem Duke'em w czasie akcji ratunkowej na Noradzie II.

Nie żałowała tego okresu w swoim życiu. Przypominała sobie każde najdrobniejsze zdarzenie z tamtej operacji. Analizowała, w jaki sposób może je obrócić na swoją korzyść, na korzyść całej rasy Zergów.

Chociaż wojna na Bhekar Ro toczyła się dalej, Królowa Ostrzy skupiła tylko niewielką część swego potężnego umysłu na kierowaniu walką. Większość uwagi poświęcała dużo ważniejszym sprawom.

Rozdział 30

Na kamienistym dnie doliny, u podnóża strzaskanej góry, która niedawno odsłoniła w swym wnętrzu obiekt budzący takie pożądanie, ścierały się wojska Protossów i Zergów.

Podczas gdy dwie obce armie zajęte były walką, nad ich głowami przemykały trzy desantowce wiozące na pokładach terrański oddział dywersyjny.

Desantowce były kapryśnymi statkami, trudnymi do pilotowania i podatnymi na mechaniczne uszkodzenia, ale śmiałkowie z Eskadry Alfa brawurowo lawirowali nad eksplozjami rozrywającymi powietrze wokół pola walki. Nie lada sztuki trzeba było dokonać, aby manewrować pomiędzy falami uderzeniowymi psychotronicznych ataków egzekutora Koronisa.

Statków desantowych nie wyposażono w żadną broń. Szybkość i mocne pancerze były jedyną ich obroną. Piloci przelatywali nisko i błyskawicznie i w ten sposób unikali zestrzelenia.

Tym razem jednak zauważyło je kilka zabłąkanych mutalisków, nie zaangażowanych bezpośrednio w walkę z Protossami, i bez namysłu rzuciło się za nimi w pościg. Desantowce rozdzieliły się i pomknęły w stronę celu, stosując manewry unikowe. Mimo że strumienie kwasu zergańskich potworów powgniały i uszkodziły grube pancerze, statkom udało się dotrzeć do zrujnowanego zbocza góry i opuścić się tuż przy odsłoniętym artefakcie.

Widząc to, wojska walczących Zergów i Protossów wysłały myśliwce i kolejne mutaliski do ataku na terrańskich intruzów. Piloci desantowców, które zawisły tuż nad gigantyczną, pulsującą konstrukcją, wiedzieli, że mają mało czasu.

W środku samolotów do wjazdu spieszenie ruszyła grupa złożona z marines, firebatów i czterech żołnierzy w goliatach. Goliaty przypominały raczej chodzące dwunożne czołgi niż ludzi. One też wyskoczyły pierwsze. Mocne zbroje zamortyzowały upadek. Za nimi spuścili się na linach marines i ciężko uzbrojeni firebaci. Wszyscy wylądowali na skałach wokół połyskujących, poskręcanych ścian artefaktu.

– Ruszać! – zawołał porucznik Scott, który dowodził grupą komandosów, a jego komenda skierowana była jednocześnie do żołnierzy i zagrożonych desantowców.

Natychmiast po tym, jak ostatni żołnierz puścił linę, pierwszy desantowiec obrócił się i

wzniósł w górę. Po chwili pospieszyły za nim dwa pozostałe statki i wkrótce wszystkie razem oddaliły się w kluczu.

Porucznik Scott ruszył na końcu za swoimi żołnierzami, w biegu rzucając komendy, aby kierowali się do najbliższego wylotu tunelu.

– Szybko, wchodzimy do środka! Mamy rozkaz sporządzić mapę obiektu, zbadać teren i zebrać jak najwięcej informacji.

Pochyleni, z ośmiomilimetrowymi szybkostrzelnymi impalerami C-14 wycelowanymi w górę, marines pobiegli w stronę otworu. Wejście bardziej przypominało biopolimerową bańkę niż korytarz. Pierwsza grupa weszła do środka osłaniana przez jednego goliata. Następni wbiegli firebaci, rozglądając się dookoła, jakby tylko szukali celu dla swoich plazmowych „miotaczy zagłady”.

Porucznik Scott już miał podążyć w ich ślady, ale w wejściu obrócił się jeszcze i ze ściśniętym sercem patrzył, jak desantowce próbują uciec przed zmasowanym atakiem mutalisków. Zergańskie potwory otoczyły dwa terrańskie statki i chociaż piloci dokonywali cudów i urządzili prawdziwy pokaz fantastycznych akrobacji lotniczych, napastników było za dużo. Po krótkiej chwili kwas przeżarł silniki i rozłupał pancerne kadłuby.

W ostatnim straceńczym manewrze taktycznym piloci, widząc nieuchronny koniec, zawrócili w stronę walczących wrogich armii i roztrzaskali się o ziemię w dwóch potężnych eksplozjach, które unicestwiły dziesiątki Zergów i Protossów.

Trzeci desantowiec, chociaż uszkodzony, oddalał się wytrwale i przeleciawszy nad niskim pasmem gór, wrócił bezpiecznie do bazy we Free Haven.

Porucznik Scott ruszył za swoim oddziałem w głąb krętego korytarza. Oni także nie musieli długo czekać na przeciwników. Wkrótce w najwyższym tunelu z mroku wyłonili się trzej rośli protossańscy zeloci. Świeące oczy i bezuste twarze nadawały obcym wojownikom demoniczny wygląd.

– Uwaga! – zawołał Scott.

Zeloci unieśli dłonie w dziwnych rękawicach i wystrzelili śmiertelne ostrza psychotroniczne. Marines właśnie otwierali ogień. Pod wpływem zaporowych serii z gaussów, Protossi, chociaż ich trzaskające wyładowania telepatyczne cały czas przeszywały powietrze, zmuszeni byli się cofnąć.

Porucznik Scott nie miał czasu przed wyruszeniem zapoznać się dokładnie ze składem oddziału, który mu przydzielono do tej misji. Usłyszał krzyk trzech trafionych żołnierzy, ale nie mógł sobie przypomnieć ich nazwisk. Wysłał naprzód jednego goliata. Tymczasem impalery zabitych nie przestawały bombardować przezroczytych ścian budowli.

Goliat włączył pełne zasilanie pancerza i parł naprzód. Dwa bliźniacze, trzydziestomilimetrowe działka automatyczne raziły przeciwnika bez chwili przerwy, aż w końcu najbliższy zelota runął martwy na plecy.

Sześciu firebatów skoncentrowało ogień na dwu pozostałych nieprzyjacielskich

fanatykach. Terrańskie miotacze zagłady wybuchły płomieniami. Protossi odpowiedzieli atakiem na atak i w ostatnim starciu zabili psychotronicznym ostrzem jednego firebata. Zaraz potem upiekli się w płomieniach miotaczy i padli martwi tuż obok trzech marines.

Scott pożegnał poległych żołnierzy tylko szybkim spojrzeniem. Potem zebrał rozproszony oddział i wydał rozkaz do wymarszu.

– Zegar tyka. Idziemy dalej.

Wiedział, że powodzenie tej misji zależy od tego, czy będą działać odpowiednio szybko i zdecydowanie. Nie mógł stracić nawet chwili na ceremonie pogrzebowe.

Wrogowie mieli znaczną przewagę liczebną, mimo to porucznik zamierzał wprowadzić swoich ludzi do środka i wyprowadzić ich z powrotem, zadając nieprzyjacielskim oddziałom jak największe straty, ale tak, aby nie zwracać na siebie nadmiernej uwagi. Nikt nie wiedział dokładnie, czym jest tajemniczy artefakt, ale Scott obiecał sobie, że odkryje prawdę i wróci z tą informacją do generała Duke'a.

Tak więc zapuszczali się coraz głębiej w kręte korytarze starożytnej budowli. Rozmieszczali po drodze sygnalizatory lokacyjne, aby bez trudu odnaleźć drogę powrotną. Scott zerknął na chronometr wbudowany w skafander i obliczył, ile czasu zostało mu do umówionego spotkania.

– Wziąć stimpaki. Wszyscy. Potrzebujemy małego doładowania.

Zarówno zasilane skafandry bojowe marines, jak i ciężkie pancerze firebatów wyposażone były w system chemicznego dawkowania, aplikującego na żądanie silną mieszankę syntetycznej adrenaliny i endorfiny. Porucznik zdawał sobie sprawę, jakie są efekty uboczne stimpaków, wiedział również, że zawarty w nich psychotropowy środek pobudzający agresję wywołuje u żołnierzy skłonność do niesubordynacji. Jednak w tej akurat chwili jego oddział najbardziej potrzebował szybkości i zwiększonego refleksu, a stimpaki zapewniały i jedno, i drugie.

Znów ruszyli naprzód. Spiralne tunele prowadziły ich w dół i w głąb artefaktu. Wtem przed nimi wyrosły cztery podobne do krabów potężne maszyny. Dziwaczne cyborgi poruszały się na czterech cienkich odnóżach. Ich ciała były po prostu kulistą bryłą, wewnątrz której pracował mózg o zupełnie innym kształcie niż ludzki.

Dragoni!

Wyglądało na to, że dragoni zmierzali właśnie w stronę wyjścia z artefaktu. Scott pomyślał, że gdyby to on był dowódcą wojskowym Protossów, właśnie tych na wpół cybernetycznych wojowników wysłałby w pierwszej grupie zwiadowczej. Bardzo możliwe, że ci dragoni wracali do swojej bazy z ważnymi informacjami. Wiedział, że żadna terrańska technika nie potrafi odtworzyć protossańskich danych z nośników, których używali dragoni. Wiedział jednak również, że za żadną cenę nie dopuści, aby te informacje wpadły w ręce dowództwa wrogich sił.

– Otworzyć ogień! – zawołał.

Dragoni cofnęli się niczym rozwścieczone pająki i przygotowali dezintegracyjną broń. W tym samym czasie goliaty aktywowały działa i wymierzyły w dwa spośród czterech cyborgów. W wąskich korytarzach ciężka amunicja powodowała dotkliwe straty. Wkrótce jeden z dragonów padł, ale dwaj pozostali nadal siali spustoszenie ładunkami antycząsteczek skupionych w psychoaktywnym polu. Strumienie antimaterii unicestwiły goliata, dwóch firebatów i trzech marines. Wszyscy zamienili się w krwawą galaretę.

Na ten widok inni firebaci ryknęli z wściekłości. Ich broń miała mniejszy zasięg niż karabiny marines, lecz kiedy, dysząc żądzą krwi, zwarli szeregi i skupili płomień z miotaczy na kulistych tułowiach dragonów, płyn podtrzymujący procesy życiowe w mózгах cyborgów szybko zaczął się gotować.

Jeden ze zbiorników pękł, a życiodajna ciecz i kawałki ugotowanego mózgu rozprysły się po ścianach tunelu. Drugi dragon zwałił się na bok, jego pajęcze kończyny drgały bezradnie w powietrzu jak nogi dogorywającego robaka.

Porucznik Scott założył maskę ochronną, żeby osłonić twarz przed duszącym odorem śmierci i zamrugął oczami pod wpływem piekących wzywów. Potem poprowadził swój oddział dalej.

– No, mamy tu robotę do skończenia – powiedział. – Chodźmy do środka tego gmaszyska, a potem zwijamy się do domu na kolację.

Rozdział 31

Oktawia zajmowała się rannymi osadnikami Free Haven, a tymczasem dziwne wołanie w jej głowie niezmiennie się nasilało, jakby ktoś ją uparcie szarpał za rękaw. Im bardziej starała się ten głos zignorować, tym wrażenie stawało się bardziej natarczywe. To psychiczne przyciąganie nie było skierowane bezpośrednio do niej, lecz do każdego, kto je słyszał.

Czuła, że wśród kolonistów – być może z powodu swej silnej intuicji – tylko ona słyszy to dziwaczne wezwanie. Patrzyła w górę, rozglądała się dookoła, próbując uchwycić jego źródło. Nagłący nieartykułowany szept dochodził do niej od strony gór oddzielających dwie doliny. Po drugiej stronie dwie obce rasy walczyły ze sobą o gigantyczny artefakt, który zabił jej brata.

Jednak to nie artefakt wysyłał ów przyzywający sygnał. Jego źródło było bliżej i... brzmiało inaczej.

W całym Free Haven mrowili się żołnierze. Nawoływali się, biegali od jednego zadania do drugiego, dwoili się i troili w pośpiesznym procesie przejmowania miasta i przekształcania spokojnej miejsciny w huczącą bazę wojskową.

Od zakończenia wielkiej bitwy, która rozegrała się poprzedniego dnia w mieście i na przedpolach, Zergi nie przypuściły nowego ataku. Cofnął się nawet dziwaczny organiczny dywan pokrywający teren rafinerii Rastina. Zergi skupiły całą swoją uwagę na dolinie po drugiej stronie gór, gdzie toczyły bój z innymi obcymi przybyszami. Generał Duke nazywał ich Protossami. To oni prawdopodobnie wysłali latającego obserwatora, którego zestrzeliła miejska wieżyczka przeciwlotnicza.

Jeszcze do niedawna Oktawia uważała, że jej życie jest skomplikowane, że co dzień musi się borykać z ogromnymi trudnościami i problemami. Dopiero teraz zrozumiała, że całe Bhekar Ro jest tylko małym migającym punkcikiem na galaktycznym ekranie. Choć Zergi wycofały się z Free Haven, Eskadra Alfa uwijała się jak w ukropie przy zakładaniu bazy i wznoszeniu fortyfikacji obronnych.

SCV-y błyskawicznie postawiły wzmocnione obwarowania w miejscu, gdzie kiedyś stał zwykły miejski mur. Do budowy wykorzystały fragmenty kolonijnych budynków oraz złoża mineralne z żyznych terenów podmiejskich. Jak spod ziemi wyrosły w mieście bunkry i

nowoczesne wieże przeciwlotnicze. Nowe budowle obsadzono firebatami i marines, inni członkowie Eskadry Alfa zostali zakwaterowani w opuszczonych domach kolonistów, którzy zginęli w walce z Zergami.

Teren za brzydkimi wojskowymi fortyfikacjami patrolowały czołgi oblężnicze, tratując resztki upraw i niszcząc sady, aby „zwiększyć pole widzenia na wypadek zbliżających się wojsk nieprzyjacielskich”. Żołnierze w ciężko opancerzonych goliatach krążyli po mieście, jakby szukali okazji do bójki, zaś szybujące vultury pełniły funkcje zwiadowców. Z cichym buczeniem silników powietrzne motocykle śmigały to tu, to tam, rozrzucając małe, groźnie wyglądające pakunki, nazywane pajęczymi minami. Były to ruchliwe zautomatyzowane bomby, które po wypuszczeniu wyszukiwały odpowiednie miejsce i zagrzebywały się w ziemi. Tak przyczajone aktywowały sieć czujników i czekały na nadejście dużych sił nieprzyjaciela.

Free Haven stało się jednym wielkim obozem wojskowym, a koloniści więźniami we własnym mieście.

Burkliwy głos generała Duke’a, rozlegający się z głośników zainstalowanych na dachach domów wokół miejskiego placu, pouczał wszystkich cywili, aby nie wychodzili poza fortyfikacje – „dla własnego bezpieczeństwa”.

Burmistrz odstawił pokaz ostentacyjnych narzekania, aby wszyscy koloniści widzieli, że broni ich interesów. Zbeształ generała za przekraczanie swoich uprawnień, za niszczenie pól, obrabianych przez osadników w pocie czoła, oraz za splądrowanie szczupłych składów zaopatrzeniowych, które koloniści zgromadzili przez czterdzieści lat wyrzeczeń.

Zarówno generał, jak i cała reszta Eskadry Alfa kompletnie go zignorowali.

Oktawia starała się nie wchodzić Duke’owi w drogę. Miała już za sobą jedną kłótnię z pyszałkowatym generałem i stwierdziła, że tą drogą niczego się nie osiągnie. Ale być może czekały na nią inne sprawy... i odpowiedzi, które przekraczały zdolności pojmwania twarogłowego oficera.

Bowiem tajemnicze wołanie w jej myślach wciąż przybierało na sile.

Gdyby tylko mogła zrozumieć, co ten dziwny głos chce jej powiedzieć. Czowała, że jest to coś niezmiernie wagi, a odpowiedź leży w zasięgu ręki... Musi się tylko stąd wydostać.

Kiedy zapadła noc, koloniści wrócili do swych zatłoczonych domów. Ludzie gnieździli się w ocalałych budynkach po kilka rodzin albo dzielili domy z żołnierzami stacjonującymi w mieście. Wielu osadników robiło to nawet chętnie, bo podtrzymywała ich na duchu obecność innych osób.

Oktawia jednak nie siedziała w domu. Przycupnęła w cieniu i czekała na okazję, żeby się przemknąć obok wartowników.

Wbrew narzekaniom na restrykcyjne zarządzenia generała Duke’a, mało kto z kolonistów miał ochotę wychylać nos poza mury obronne Free Haven, zwłaszcza nocą. Żołnierze patrolowali teren, wyglądając ataku Zergów. Nikt nie zwróci uwagi na samotną dziewczynę

wykradającą się z miasta, omijającą wieżyczki przeciwlotnicze i wreszcie rozplywającą się w mroku na równinie poza osadą. Zresztą, nawet gdyby generał odkrył, że Oktawia próbuje się przedostać na zakazany obszar, to i tak prawdopodobnie uznałby, że nie warto się wysilać, żeby chronić jakiegoś cywila wbrew jego własnej woli.

W tej chwili Oktawia nie bała się Zergów. Znała już ich taktykę. Atakowały otwarcie, robiąc przy tym dużo szumu. Nie mieli w zwyczaju czaić się w ciemnościach za kamieniami i wyskakiwać znienacka, żeby pochwycić jedną czy dwie bezbronne ofiary. Sądząc po odczytach sejsmograficznych rejestrujących echa wielkiej walki u stóp artefaktu, zarówno Zergi, jak Protossi mieli teraz pilniejsze sprawy na głowie.

Kiedy wreszcie posłuchała wewnętrznego nakazu i odpowiedziała na wezwanie, tajemniczy sygnał w głowie Oktawii stał się wyraźniejszy. Teraz dziewczyna szła przed siebie z pełną świadomością, że być może zmierza prosto w pułapkę, że ów tajemniczy zew może być syrenim śpiewem wabiącym ją prosto w objęcia śmierci. Coś jej jednak mówiło, że tak nie jest. Po co ktoś miałby sobie zadawać tyle trudu dla zwyczajnej, nic nie znaczącej osadniczki? W końcu ona nie ma nic wspólnego z tym, o co toczą wojnę trzy wielkie potęgi.

Przemykała ulicami w stronę wyjścia z miasta. Mięśnie w nogach miała napięte do granic wytrzymałości. Wiele nerwów kosztowało ją ostatnich kilka dni, w dodatku niewiele przy tym jadła, a jeszcze mniej spała. Mimo to czuła się rześko, jak dobrze nastrojony odbiornik, jak gdyby nieprzerwany strumień adrenaliny dostarczał jej ciała wszystkich niezbędnych składników odżywczych.

Wartownicy nie zauważyli, kiedy się przekradała nieopodal. Mur także nie stanowił poważnej przeszkody, tak więc wkrótce Oktawia biegła po kamienistym podmiejskim terenie, martwiąc się tylko o pajęcze miny pozakładane wokół miasta przez vultury. Na szczęście ich czujniki zaprogramowano do wykrywania dużych sił nieprzyjacielskich – ciężkich pojazdów lub wielkich potworów. Miała nadzieję, że jedna samotna dziewczyna przemykająca na paluszkach po zrytych polach uprawnych uniknie uwadze sieci podziemnych sensorów. Niemniej jednak biegła przed siebie ile sił w nogach.

Rozdział 32

Chociaż wewnątrz starożytnego artefaktu było labiryntem ciasnych i krętych korytarzy, wkrótce stało się polem walk równie zaciętych jak te toczące się w dolinie.

Na rozkaz kukulkańskich zwierzchników od głównych sił zergańskich oddzieliła się niewielka grupa, która przedarła się przez linie obronne Protossów i wkroczyła w piołunowozieloną sieć tuneli.

Sędzia Amdor wysyłał zelotów do samobójczych ataków, które miały straszliwe spustoszenie w szeregach wroga, Koronis zaś z poświęceniem dowodził naziemnymi oddziałami zaangażowanymi w głównej bitwie.

Tymczasem grupa terrańskich komandosów prowadzona przez porucznika Scotta przemierzała korytarze artefaktu, robiła zdjęcia i rejestrowała wszystko, co mogło mieć strategiczne znaczenie dla generała Duke'a.

W ciągu długich lat służby w oddziałach marines Scott nauczył się oceniać sytuację od pierwszego rzutu oka. Jego instynkt i wszystkie zmysły pracowały teraz na najwyższych obrotach. Miał nadzieję, że nie poniesie więcej strat w ludziach, ale zdawał sobie sprawę, że nadzieja ta jest nikła.

To prawda, że znajdowali się głęboko na niezbadanym i tajemniczym terenie, otoczeni przez nieprzyjacielskie jednostki obcych, nadal jednak byli członkami Eskadry Alfa, a ich motto brzmiało: „pierwsi w akcji, pierwsi po akcji”. Przyjęli tę misję chętnie i wykonują ją z godnością. Podenerwowanie nie pomoże w zrealizowaniu zadania. Scott nie chciał, żeby jego żołnierze zachowywali się jak... koloniści.

Olbrzymie goliaty z trudem przeciskały się przez ciasne tunele. Zgięte wpół, z bronią załadowaną i gotową do strzału, stąpały ciężko na przedzie.

Ściany tej osobliwej budowli były wysadzone klejnotami spiczastych kryształów i połyskujących inkrustacji. Razem z Eskadrą Alfa Scott bywał na wielu planetach wchodzących w skład Konfederacji Terrańskiej, obserwował mnóstwo najdziwniejszych krajobrazów i niezwykłych rzeźb terenu, napotykał oszałamiające w swej różnorodności organizmy, nigdy jednak nie widział niczego, co by przypominało ten organiczny relikw.

Z goliatami na przedzie Terrańczycy minęli dziwacznie pofałdowany załom korytarza i za

zakretem wpadli prosto na grupę Zergów. Potwory z sykiem nastroszyły kolczaste pancerze i bez namysłu rzuciły się do ataku. Pierwsze pognały jaszczurowate zerglingi, a zaraz za nimi potężny hydralisk wygiął ciało w łuk i ruszył przed siebie z wyciągniętymi szponami.

Porucznik nie wahał się ani sekundy.

– Ognia! – krzyknął.

Jego ludzie tylko czekali na komendę. W mgnieniu oka na czoło oddziału wysunęli się firebaci i wystrzelili w nadbiegające stwory ogniste strumienie. Języki płomieni z miotaczy zagłady zamieniły podskakujące zerglingi w śmigające kule ognia, które rozbijały się na ścianach i zostawiały po sobie maziste, dymiące plamy.

Równocześnie z firebatami otworzyły ogień goliaty. Z dwulufowych działek wypaliły do hydraliska dokładnie w tej samej chwili, kiedy ten wypuścił w kierunku terrańskich żołnierzy deszcz zatrutych kolców.

Naszpikowani śmiertelnościami ostrzami, trzech marines runęli martwi na ziemię. W odwecie za śmierć towarzyszy do walki rzucili się pozostali żołnierze. Z wściekłymi bojowymi okrzykami puszczała z gaussów serię za serią. Porucznik Scott podniósł broń do ramienia i też nie pozostał w tyle.

Nagle, kiedy żołnierze Eskadry Alfa wyładowali wreszcie gniew na zerglingach i hydralisku, z przeciwka zaczęli nadchodzić następni wrogowie. Gdzieś z bocznego korytarza wytoczył się olbrzymi ultralisk z wielkimi, wygiętymi kłami siekącymi powietrze od boku do boku. Dwóch firebatów, którzy odwrócili się błyskawicznie i otworzyli w jego stronę ogień, przerażające ostrza rozsiekały na kawałki. Płomienie miotaczy nawet nie spowolniły olbrzymiej bestii. Zdawało się, że żadna siła nie powstrzyma tego molocha.

– Formować półkole obronne! – wrzasnął Scott. – Migiem!

Marines wystrzelali w stronę potwora setki pocisków, nie cofając się nawet o pół kroku. Dwa goliaty z pancerzami uszkodzonymi przez kolce hydralisków bombardowały grubą skórę ultraliska bez ustanku. Pozostali przy życiu firebaci stanęli w ciasnym szyku i też skierowali na zwierzę zwarty ogień miotaczy.

Z ogromnego cielska lała się krew, unosił dym, a jednak potwór parł przed siebie ogarnięty szałem, nie dbając o własne życie. Ostrymi odnóżami w kształcie kosi ścinał trzech następnych firebatów.

Jeden z dwóch ostatnich goliatów gradem pocisków z działek automatycznych wyrwał dziurę we włochatym boku, ale i to nie powstrzymało rozszalałego ultraliska. Kilkoma ruchami potwór rozsekał goliata na kawałki.

Porucznik Scott rozejrzał się po swym zdziesiątkowanym oddziale. Nie zarządził jednak odwrotu. Sam niezmordowanie puszczał kolejne serie w Zerga, który tymczasem zwrócił się przeciwko ostatniemu goliatowi.

W końcu jednak zmasowany ogień pięciu marines i potężnych dział goliata zrobił swoje i mamuci potwór zwałił się na podłogę, przygniatając jednego z rannych marines.

Cisza zapadła nagle jak grzmot pioruna. Scott powiódł dookoła oszołomionym wzrokiem, jakby wciąż nie wierzył w to, co się przed chwilą stało. Wciągnął głęboko powietrze i siłą woli odegnał od siebie strach. Przywołał na pomoc całą żołnierską samodyscyplinę i szybko odzyskał panowanie. Podjął decyzję, zanim jego ludzie zdążyli się pogrążyć w szoku.

– Naprzód! – zakomenderował i nie oglądając się na poległych żołnierzy, ruszył na czele resztek oddziału w głąb niesamowitych korytarzy.

Dostał jasne rozkazy: sprawdzić, co się kryje na dnie tego osobliwego obiektu. Nie miał jednak cienia wątpliwości, że misja będzie się stawała coraz trudniejsza, w miarę jak on i jego komandosi, którzy dotąd uszli z życiem, będą się zapuszczać coraz głębiej w labirynt tuneli artefaktu.

Rozdział 33

Oktawia sama nie do końca wiedziała, dokąd właściwie idzie. Coś ją wołało. Przyciągało. Poszła za tym głosem wbrew własnej woli. To był głos obcego, owszem, ale z jakiegoś powodu czuła, że może mu ufać.

Ciemności gęstniały, a Oktawia szła jak w transie. Minęła spalone i stratowane pola, ziemię zrytą przez setki pazurów, szponów i ostrych macek. W miejscu, gdzie dawniej był sad, ziemię zaścielały resztki cienkich pni, obalonych i rozłupanych na szczapy przez rozjuszone hydraliski i ultraliski.

Nie tylko drzewa leżały porozrzucane po okolicy. Teren usiany był także kawałkami ciał zergańskich stworów – pojedynczych kończyn wyglądających jak odnóża powyrywane monstualnym owadom, poszarpanych fragmentów pancerzy, nawet wybebeszonych trucheł zerglingów, chociaż odrażające Zergi miały zwyczaj pożerać rannych towarzyszy. Pienisty śluz wsiąkał w ziemię – gdzieniegdzie tworzył lepkie, błotniste kałuże, gdzieniegdzie zasychał na twardy cement.

Kilka godzin minęło, zanim Oktawia dotarła do odosobnionej stacji wydobywczej u podnóża gór, skąd dochodziło nagłace telepatyczne błaganie. Rozejrzała się dookoła, ale w gęstej ciemności nic nie było widać. Cienkie, pierzaste chmury zasnuwały niebo i zasłaniały światło gwiazd.

Podeszła do skalistego, mniej więcej dwustumetrowego wzniesienia. To było tu. Zaczęła powoli wchodzić pod górę, uważnie stawiając w ciemności nogi, aż wreszcie dotarła do dużej, kamiennej płyty sterczącej ze skały jak gigantyczny topór wycinający sobie drogę przez skalne rumowisko.

Tu się zatrzymała. Tajemniczy głos w jej głowie przyprowadził ją w to miejsce, ale wokół nie było nikogo.

– No, dobrze, przyszłam tu – powiedziała Oktawia na głos, zastanawiając się jednocześnie, czy ów tajemniczy obcy byt, który ją wezwał, rozumie jej język. – Czego chcesz?

Wiodła ją tu nadzieja, że dziwny nieznajomy mógłby jej pomóc, mógłby podsunąć osadnikom jakiś sposób walki z potrójną, zergańsko-protossańsko-terrańską inwazją.

Nagle w głowie Oktawii odezwał się zdziwiony i tym razem zupełnie wyraźny głos.

– *Przecież Terrańczycy nie mają zdolności telepatycznych.*

– Nie, nie mamy – odpowiedziała na głos Oktawia.

– *Ciesz się, że przyszłaś* – usłyszała w myślach.

Wtedy zza kamiennego ostrza wyłoniła się wysoka postać i przyjrzała się Oktawii ciekawie. Dziewczyna odwzajemniła to baczne spojrzenie.

Nieznajoma miała szarą skórę i świecące oczy, natomiast w miejscu ust widniały po prostu kostne płytki, które nadawały całej twarzy władczy wyraz. Oktawia wyczuła, że istota ta jest rodzaju żeńskiego, najprawdopodobniej należy do rasy Protossów, chociaż nie przybyła tu z siłami wojskowymi, które wylądowały w dolinie.

– Wezwałaś mnie – powiedziała Oktawia.

– *Tak...*

– Nazywam się Oktawia Bren, mieszkam w kolonii niedaleko stąd. Kim jesteś i po co mnie wzywałaś?

– *Mam na imię Xerana. Jestem protossańską czarną templariuszką. Badałam sygnał, który został wysłany z tej planety. Sądzę, że znam jego źródło. Przyleciałam tu z ostrzeżeniem...*

– Naprawdę? – przerwała jej Oktawia. – W takim razie twoje ostrzeżenie jest trochę spóźnione. Ten wasz artefakt zamordował mi brata, a kilkuset mieszkańców mojego miasta zabiły Zergi.

Chociaż Oktawia nie zauważyła żadnej zmiany w wyrazie twarzy tej Protossanki imieniem Xerana, wydało jej się, że uchwyciła ton zdziwienia w telepatycznym głosie, który zabrzmiał jej w głowie.

– *Naprawdę? Twój brat został... zaabsorbowany?* – Xerana przekrzywiła głowę i pochyliła się do przodu, jakby chciała się przyjrzeć Oktawii bliżej. – *Terrańczycy nie są mu do niczego potrzebni. Nie macie z tym związku.*

Oktawia zacisnęła zęby.

– W każdym razie ja zaczęłam mieć związek, kiedy to coś zdeintegrowało mojego brata.

– *Ach.* – Głos Xerany zabrzmiał w głowie Oktawii jak tchnienie. – *Nie spodziewałam się tego.*

Oktawia uniosła brwi.

– Nie spodziewałaś się także, że Terranka odpowie na twoje wezwanie.

Xerana była teraz wyraźnie poruszona.

– *Wiedziałam, że będę tu miała niełatwe zadanie. Przyleciałam, żeby uratować Protossów, mimo ich niepoahamowanych ambicji i ignorancji. Kiedy wylądowałam na twojej planecie, wytężyłam umysł, szukając sprzymierzeńca. I znalazłam go. Wysłałam wezwanie, ale nie sądziłam, że zjawisz się ty.*

Zaskakująca wydała się Oktawii myśl, że ona i ta obca istota, tak do niej niepodobna,

mogą być sprzymierzeńcami, że mogą mieć wspólne cele.

– Jeśli przyleciałaś tu, żeby ratować swoich ziomków i możesz mi pomóc uratować moich, to owszem, jestem twoim sprzymierzeńcem.

To rzekłszy, obejrzała się za siebie, w stronę doliny, gdzie przerażeni mieszkańcy Free Haven tłoczyli się w ciemnościach, lękając się następnego ataku.

– *Wobec tego zawarliśmy umowę. Pomożemy sobie nawzajem. Musisz mi uwierzyć, że artefakt nie skrzywdzi żadnego człowieka, dopóki sam nie zostanie zaatakowany. On stanowi zagrożenie tylko dla Protossów i Zergów – dzieci Xel’Nagi.*

Oktawia wyczuła w słowach Xerany cień smutku.

Nad ich głowami przeleciał pohukując nocny ptak i runął z góry na czarną jaszczurkę przemykającą po płaskim kamieniu. Oktawia odruchowo skuliła głowę, ale ptak odleciał ze swoją wijącą się ofiarą w dziobie. Rdzennej fauny Bhekar Ro nie obchodził konflikt pomiędzy trzema potężnymi rasami.

– To co teraz zrobisz? – zapytała Oktawia.

– *Pójdę do artefaktu.*

– Tam jest... coś jeszcze. Wyczułam tam czyjąś obecność. Miałam podobne uczucie jak to, kiedy mnie przyzywałaś.

– *Artefakt do ciebie przemówił?*

– Nie tak jak ty teraz, nie słowami, tylko... uczuciami. Jestem pewna, że coś tam jest. Komputer, umysł czy jakiś zapisany sygnał... nie wiem, ale bądź ostrożna.

Xerana znów przekrzywiła głowę i spojrzała na Oktawię, jakby chciała jej się przyjrzeć pod innym kątem.

– *Jesteś naprawdę niezwykłą Terranką, Oktawio.*

Przez chwilę stała w milczeniu. Długa szarfa z insygniami uczonej trzepotała lekko na wietrze. Pod szyją, do kołnierza Xerana miała przypiętą cienką tabliczkę z dziwnymi znakami.

– *Dziękuję ci za troskę, ale mój los może być już przesądzony. Mam obowiązek ostrzec Protossów, żeby się mieli na baczności. Gdybym wiedziała jak, ostrzegłabym nawet zergańskich zwierzchników, ale pewnie nie uda mi się z nimi skontaktować. Muszę zejść w dolinę i nakłonić ich wszystkich do opuszczenia artefaktu, chociaż wątpię, żeby mnie posłuchali. Ty natomiast postaraj się przekonać waszych terrańskich wojskowych, że to nie jest ich wojna.*

Wspomniawszy generała Duke’a, Oktawia zauważyła – Jeśli o to chodzi, to i ja mam poważne wątpliwości, czy moi ziomkowie zechcą mnie posłuchać. Ale co z artefaktem? Przecież nie możemy w nieskończoność omijać go z daleka. Tak długo, jak długo będzie stał na Bhekar Ro, nikt w kolonii nie może się czuć bezpiecznie.

– *W ten czy inny sposób, artefakt zniknie z waszej planety w ciągu kilku dni – powiedziała Xerana. – Do tego momentu obie musimy zrobić, co się da, aby ocalić naszych braci.*

To powiedziawszy, czarna templariuszka obróciła się i zniknęła, jakby się rozwiała w powietrzu.

Oktawia stała przez chwilę osłupiała. Potem zawołała, ale nie na głos, lecz tym razem w myślach:

– *Xerano!*

– *Tak?*

– *Dobrze mieć sprzymierzeńca.*

Rozdział 34

Kiedy skończono budować fortyfikacje, generał Duke uznał, że zrobił już wszystko, co niezbędne, aby zapewnić kolonistom bezpieczeństwo. Dzień wcześniej w stronę artefaktu wyruszył pierwszy oddział wywiadowczy pod dowództwem porucznika Scotta. Teraz nareszcie generał mógł rozpocząć przygotowania do wielkiej ofensywy. Nadszedł wreszcie czas, żeby Eskadra Alfa zabłysnęła.

Duke postawił w stan gotowości bojowej wszystkie krążowniki, wraithy, desantowce, czołgi Arclite, wszystkie siły naziemne i nawet vultury. Postanowił niczego nie trzymać w odwodzie. Miał nadzieję, że uda mu się po prostu wkroczyć do akcji i sprawnie wymieść teren do czysta po tym, jak Zergi i Protossi osłabili się nawzajem w walce.

Wydał rozkaz do wymarszu wszystkich wojsk z Free Haven, sam jednak pozostał w centrum dowodzenia w dawnym domu burmistrza. Siedział teraz w swoim fotelu i drapiąc się po brodzie, obserwował na monitorze przekątnikowym, jak jego oddziały przekraczają pasmo niskich gór i schodzą do doliny obleganej przez nieprzyjacielskie armie.

Atak rozpoczął się szturmem marines i firebatów, którzy wkroczyli do bitwy osłaniany na skrzydłach przez czołgi oblężnicze. Arclity nie traciły czasu na rozwijanie taktyki oblężniczej, pozwalającej na użycie działek wstrząsowych do walki na odległość. Stały po prostu i biły do ruchomych celów.

Marines i firebaci parli naprzód nieubłaganie, przełamując wszelkie próby oporu, wrzynając się w rejon walk jak gorący nóż w stężały pudding. Terrańskie siły lądowe nabierały impetu, żołnierzy rozpierał entuzjazm – wreszcie mieli za sobą długi i bezczynny okres, trawiony na sporządzaniu map opustoszałych światów i przetrząsaniu pasów asteroid w poszukiwaniu złóż naturalnych. Teraz aż się palili, żeby dołożyć przeklętym kosmitom.

Generał Duke obserwował bitwę na ekranie przekątnikowym i aż klaskał w dłonie z uciechy. Właśnie w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i wartownik wpuścił do pokoju osadniczkę Oktawię Bren. Generał rzucił na nią okiem.

– Dziewczyno, nie widzisz, że jestem zajęty? Dowodzę bitwą!

– Wiem, generale, ale ja mam dla pana ważną informację.

Duke zmarszczył czoło. Czy to możliwe, żeby ta wieśniaczka dowiedziała się czegoś,

czego nie odkryli dotąd jego ludzie? Niecierpliwym gestem nakazał jej wejść, ale odwrócił się w stronę monitora.

Oddziały szturmowe z pierwszej linii zadały wprawdzie Protossom i Zergom dotkliwe straty i wyłobiły głęboką wyrwę w ich szeregach obronnych, rychło jednak stało się jasne, że generał grubo się przeliczył w swoich planach strategicznych, a jego radość była nieco przedwczesna.

– Nie! – wrzasnął do ekranu, patrząc, jak marines i firebaci pędzą do przodu tak szybko, że nie nadąża za nimi wsparcie czołgów i ciężko uzbrojonych goliatów.

Chwyił słuchawkę radiostacji i zaczął wykrzykiwać komendy, niepewny, czy jego głos nie zginie w ogólnej kakofonii bitewnej.

– Zewrzeć szeregi! Wycofać się pod osłonę...

W tej samej chwili na odsłonięte tyły terrańskiej piechoty wdarli się dragoni, a przed nimi ognistoocy zeloci przygotowywali już swoje straszliwe psychotroniczne ostrza. Marines i firebaci znaleźli się w pułapce.

Protossańskie jednostki napadły na piechotę Eskadry Alfa z trzech różnych stron. Chociaż zaatakowani natychmiast odpowiedzieli zmasowanym ogniem gaussów i miotaczy płomieni, nie zdołali powstrzymać fanatycznych Protossów. Dragoni i zeloci siali spustoszenie w szeregach terrańskich, po kolei wyżynając najpierw firebatów, a po chwili marines.

– Dajcie im osłonę z powietrza! Osłona z powietrza! – ryczał Duke.

Szybkie, choć niestety spóźnione wraithy zjawiły się na miejscu błyskawicznie i niezwłocznie przystąpiły do ataku z góry. Za nimi nadlatywały wolniejsze, ciężkie krążowniki.

Marines i firebaci bronili się zaciekle i nadal zadawali nieprzyjaciołom dotkliwe straty. Wtedy jednak na pobliskim wzniesieniu pojawił się spowity w długą szatę, protossański templariusz. Wzniósł do nieba trójpalczaste dłonie i przywołał straszliwy psychotroniczny grom, który spadł na terrańskie myśliwce i wywołał wśród nich nieopisany zamęt. Bezradni piloci, straciwszy kontrolę nad maszynami, roztrzaskiwali się o siebie nawzajem i spadali na ziemię jak muchy trzaśnięte niewidzialną packą.

Poważnie uszkodzone krążowniki i ocalałe wraithy rzuciły się do ucieczki, ale z przeciwnej strony doliny drugi templariusz przywołał następną telepatyczną nawałnicę, która dopadła je od wschodu.

Tylko jeden krążownik i trzy myśliwce zdołały wyjść cało z tych psychotronicznych ataków i wycofać się nad szczyty gór oddzielających dwie doliny. Po pozostałych jednostkach terrańskich zostały tylko szczątki rozsiane po całym polu bitewnym u stóp artefaktu.

Ale i na tym się nie skończyło. Kiedy bowiem załogi ocalałych okrętów zajmowały się szacowaniem uszkodzeń, spod ziemi wypełzło dziesięć hydralisków. Ani dowódca krążownika, ani piloci wraithów nie zdążyli wnieść maszyn poza pole rażenia. Strumienie twardych koleców przeszły pancierz wielkiego bojowego okrętu, a jego silniki rozprysły się na

kawałki. Zaraz potem krążownik roztrzaskał się o ostre granie gór. Żaden z myśliwców nie zdążył wystrzelić ani jednego pocisku, wszystkie trzy opadły na ziemię w postaci metalowego konfetti.

– To nie wygląda najlepiej – zauważyła Oktawia.

– Zamknij się! – wrzasnął Duke, nie odrywając oczu od mapy i myśląc gorączkowo nad następnymi posunięciami.

Marines i firebaci, odcięci od czołgów i goliatów, znaleźli się w samym środku jatki. W dodatku, podczas gdy oddziały terrańskie walczyły z Protossami, z boku niespodziewanie zaatakowały Zergi.

W chmarze nacierających potworów Duke rozpoznał zerglingi i strażników, lecz jego uwagę przykuła grupa nieznanych czteronożnych stworzeń o długich psich pyskach i szorstkiej niebieskiej sierści. Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Nowi napastnicy wpadli na pole bitwy niczym wściekłe wilki, węsząc i obracając ślepiami osadzonymi na długich czułkach, po czym rzucili się w miejsce, gdzie wyczuli słaby punkt w liniach obronnych marines. Generał spotykał różne gatunki Zergów, ale ten musiał być zupełnie nową formą krwiożerczej rasy.

Oktawia patrzyła na ekran wstrząśnięta.

– One wyglądają jak Stary Blue! Zergi musiały w jakiś sposób przejąć jego geny.

– Wiesz, skąd się wzięły te stwory? – zapytał Duke, odwracając się gwałtownie w jej stronę.

– Ci obcy zainfekowali wielkiego psa, który mieszkał pod miastem z właścicielem rafinerii. Wygląda na to, że tyle z niego zostało...

– Psa?! – Duke prychnął z niesmakiem. – Trzymacie w obejściach zwierzęta? – Wziął do ręki mikrofon, chociaż widać było, że i bez jego rozkazów marines robią, co mogą. – Słuchajcie, Zergi zadają coraz więcej strat. Zmasować ogień i załatwić te... te roverliski.

Tymczasem z północnego wschodu nadchodziło osiem protossańskich niszczycieli. Posuwały się powoli jak ogromne pancerne gąsienice. Duke zdawał sobie sprawę, że marines i firebaci przegrają tę walkę, jeśli nie otrzymają wsparcia z powietrza.

Wreszcie na miejsce dotarły czołgi i goliaty, aby wziąć na siebie ogień zelotów i dragonów. Goliaty użyły przeciwko protossańskim cyborgom pocisków przeciwlotniczych. Jeden z marines podbiegł do dragona i potężnym ciosem roztrzaskał pojemnik z mózgiem.

Czołgi obłądnicze osadzone bezpiecznie poza zasięgiem psychotronicznych ciosów zelotów bezkarnie bombardowały nieprzyjacielskie wojska. Marines i firebaci walczyli bez spoczynku. Generał Duke z satysfakcją obserwował, jak walka znów przybiera pomyślny obrót, a siły terrańskie powoli zdobywają przewagę.

Niestety nie trwało to długo, bo właśnie na pole bitwy dotarły niszczyciele i wypuściły swoje skarabeusze. Tak nazywały się latające bomby, które śmigały w powietrzu i eksplodowały, kiedy uderzyły w cel. W wybuchach skarabeuszy zginęli dwaj żołnierze w

goliatach. Jedna eksplozja wystarczyła, aby położyć pokotem grupę marines. Czołgi i goliaty zwróciły ogień przeciwko niszczycielom. Wtedy z zachodu nadleciały protossańskie lotniskowce z rojem małych, zautomatyzowanych przechwytywaczy.

– To niemożliwe – powiedział generał Duke. – Moje doborowe oddziały!

Chwilę później oślepił generała blask wybuchu, który rozświetlił ekran monitora przekątnikowego. Kłęby dymu i nieopisany chaos, jaki zapanował na polu bitwy, przez długi czas nie pozwalały na szczegółową ocenę sytuacji. Pobojowisko tak było usiane szczątkami poległych żołnierzy i roztrzaskanych maszyn, że Duke nie mógł nawet dojrzeć, ilu jego ludzi przeżyło.

Piloci protossańskich lotniskowców dokładnie wiedzieli, co robią. Skierowali ogień na ocalałe goliaty, a kiedy roznieśli je w pył, terrańskie czołgi, bezbronne wobec ataków z powietrza, nie były już niczym więcej niż puszkami po konserwach z wymalowaną wielką tarczą strzelecką.

Generał Duke mógł tylko patrzeć, jak resztki jego oddziałów szturmowych zamieniają się w kupę złomu.

– Zdaje się, że poważnie nie doceniłem sił nieprzyjaciela – powiedział w przestrzeń chrapliwym głosem.

Rozdział 35

W gorączce bitewnej egzekutor Koronis za bardzo był pochłonięty dowodzeniem, żeby zauważyć delikatne zakłócenia, jakby zmarszczki tworzące się w powietrzu – ślad zamaskowanego gościa.

Obok Koronisa, u stóp wyniosłej sylwetki artefaktu sędzieja Amdor kipiał gniewem, miotając obelgi pod adresem Zergów i Terrańczyków, którzy usiłowali zawładnąć podstępnie starożytnym skarbem. Amdor uważał, że artefakt Xel’Nagi powinien należeć wyłącznie do niego.

Dopiero kiedy zeloci zaatakowali terrańskie siły lądowe, a z powietrza dołączyły do nich lotniskowce z eskadrą przechwytywaczy, Koronis poczuł wreszcie czyjąś obecność – kogoś pokrewnego, ale nie należącego do wspólnoty Khali. Odwrócił się zdziwiony i zaniepokojony, dokładnie w tej samej chwili co i Amdor.

Między nimi, na niewielkim wzniesieniu pokruszonych skał wysoka kobieca postać zrzuciła właśnie z siebie osłonę cieni, jakby krople oliwy spłynęły po stalowym ostrzu.

– Czarna templariuszka! – Sędzia Amdor aż się wzdygnął, a twarz mu się wykrzywiła w wyrazie odrazy i nienawiści. – Plugawa heretyczka!

Jego telepatyczny okrzyk przyciągnął uwagę innych sędziów oraz wysokich templariuszy stojących w pobliżu. Czarna templariuszka nie zareagowała na obelgę.

– Mam na imię Xerana. Przychodzę, aby was ostrzec, aby ostrzec wszystkich Protossów – powiedziała. – Pomimo prześladowań, jakimi sędziowie tacy jak wy nas dręczą, jesteśmy lojalni wobec Pierworodnych.

Szaroskóra Protossanka popatrzyła Amdorowi w oczy śmiało i bez lęku. Sędzia się wyprostował, żałując, że nie ma w ręku jakiejś potężnej broni.

Koronis poczuł się nieswojo. Wiedział, jaką zastraszającą potęgą rozporządzają czarni templariusze. Przesłał sygnał do oddziałów czekających w odwodzie. W przeciwieństwie do Amdora nie darzył czarnych templariuszy nienawiścią, ale wolał być ostrożny, zwłaszcza w czasie trudnej bitwy.

Natychmiast ruszyło mu na pomoc czterech zelotów i dragon. Wszyscy już z daleka przygotowywali broń i miotali psychotroniczne ciosy.

– Nie macie pojęcia, co robicie – powiedziała Xerana, szukając zrozumienia w oczach Koronisa. – Nie macie pojęcia, po co stworzono ten artefakt i co się w nim kryje. Nie powinniście ingerować w plany Wędrowców z Oddali. Odejdźcie stąd.

– Jesteśmy Pierworodnymi Xel’Nagi! – powiedział Amdor. – A ty i twoi stronnicy zdradziliście swoją rasę. Dość już wyrządziliście szkód. Nie próbujcie się wtrącać w tę sprawę.

Egzekutor Koronis był jednak ciekawy, co skłoniło prześladowaną uciekinierkę do wejścia prosto w paszczę lwa.

Musiała przecież wiedzieć, że sędziowie będą ją chcieli pochwycić i ukarać.

– Co masz nam do powiedzenia, czarna templariuszko? – zapytał.

Amdor przeszył go gniewnym spojrzeniem świecących oczu.

– Egzekutorze, chyba nie zamierza pan słuchać podstępnych wybiegów tej...

Koronis uniósł trójpalczastą dłoń.

– To ja jestem dowódcą tych oddziałów. Byłbym głupcem, gdybym zlekceważył ważną informację, niezależnie od jej źródła.

Xerana nachyliła się w stronę Koronisa, zbywając Amdora milczeniem i wprawiając go tym w jeszcze większą wściekłość.

– Mam dla was wiadomość i ostrzeżenie. Ten... obiekt – wskazała ręką wysokie mury tajemniczej budowli – jest bardzo niebezpieczny. Domyśliliście się już, że stworzyli go członkowie starożytnej Xel’Nagi. Zaprojektowali go tak, aby był jeszcze potężniejszy niż Protossi i Zergi. Strzeżcie się siły, którą zbudziliście, bo może pochłonać was wszystkich.

– Kłamstwa – prychnął Amdor. – Jesteśmy Pierworodnymi. Protossi zostali wybrani przez Xel’Nagę...

– I porzuceni – przerwała mu Xerana. – Nie spełniliśmy ich oczekiwań. Potem podejmowali jeszcze wiele prób utworzenia rasy doskonałej. Zergi okazały się najbardziej krwiożerczą i zarazem najskuteczniejszą z ich hodowli, ale starożytni Xel’Nagańcy zainicjowali wiele eksperymentów i wiele rzeczy skrywali w tajemnicy.

– Czego się po nas spodziewasz? – zapytał Koronis.

Za ich plecami nadal wrzała bitwa. Zeloci i dragoni otoczyli Xeranę i czekali na rozkaz.

– Mamy oddać artefakt w ręce wroga?

– Musicie go zostawić w spokoju – odparła Xerana. – Wszyscy. I Protossi, i Zergi. Zebrani tu razem budzicie uśpione niebezpieczeństwo. Musicie się stąd wycofać i zabrać wojska. Popelniacie ogromny błąd, igrając z czymś, czego nie rozumiecie.

Koronis zamrugnął z niedowierzaniem. Przez twarz Amdora przemknął wyraz rozbawienia. Potem sędzia wysłał rozkaz – Brać heretyczkę!

Cała jego postać promieniała wstrętem i nienawiścią. Dragoni i zeloci schwyтали Xeranę, która stała bez ruchu, milcząca i rozczarowana, że jej pobratymcy nie chcą usłuchać ostrzeżenia.

– To twoi plugawi bracia zdemoralizowali szlachetnego Tassadara! – warknął Amdor. – To czarni templariusze otworzyli drzwi do Pustki i sprowadzili innych Protossów z drogi Khali.

Xerana nie stawiała oporu. Sędzia odwrócił się w stronę Koronisa i rzekł z dumą:

– Egzekutorze, wkrótce zawładniemy artefaktem. Teraz, kiedy złapaliśmy czarną templariuszkę, ekspedycja Qel’Ha z klęski zamieniła się w wielkie zwycięstwo.

Rozdział 36

Porucznik Scott prowadził zdziesiątkowany oddział marines i firebatów coraz dalej w głąb krętych tuneli, w kierunku tajemniczego jądra artefaktu. Choć główna bitwa toczyła się na zewnątrz, w dolinie, terrańscy komandosi co krok napotykali grupy zwiadowcze protossańskich zelotów, to znów Zergów, a wszyscy oni zdawali się mieć takie samo zadanie – rekonesans i odkrycie tajemnicy osobiwej budowli.

To przypomina wyścig, pomyślał Scott. I moja drużyna go wygra.

Ściany świeciły teraz jaśniej, jakby zapłonął w nich wewnętrzny ogień. Grona tajemniczych klejnotów osadzonych w biopolimerowej powierzchni urosły – szkarłatne oczka o fantastycznych szlifach i dziwnych kształtach wyglądały na jakieś wewnętrzne organy.

Scott nie miał pojęcia, co znajdą u celu, ale był przekonany, że ani Protossi, ani Zergi nie wiedzą dużo więcej niż Terrańczycy. Zdobędzie informacje dla generała Duke'a i zrobi wszystko, żeby nie dostali ich żadni obcy.

Gdzieś w pobliżu kluczył oddział Zergów, zdradzając swoją obecność szczękaniem pancerzy i stukotem szponów, ale Scott nie zatrzymał się, żeby z nimi walczyć. Wydał rozkaz do biegu i żołnierze popędzili przed siebie, lawirując w tunelach i nie zważając nawet na odgłosy pogoni. Gdyby im kazano, ochoczo stanęliby do walki, niemniej bolesne straty, jakie ich oddział poniósł do tej pory, stłumiły w nich nieco żądzę krwi. Teraz woleli jak najszybciej wypełnić zadanie i wrócić cało do bazy.

Szli za połyskującym światłem, coraz głębiej w tunele, zostawiając za sobą ścieżkę sygnalizatorów, która umożliwi im powrót z tego labiryntu na powierzchnię. Scott się nie martwił, czy desantowce przylecą na czas, żeby ich zabrać z powrotem do bazy. Żołnierze Eskadry Alfa znali swoje obowiązki.

Pulsujące światło w ścianach zamieniło się w hipnotyczny zew, jak płomień, który w ciemnościach przywabia ćmy. Zergi i Protossi również wyczuli to wezwanie, bo podążali innymi korytarzami w tym samym kierunku. Wszyscy zmierzali do centralnej części budowli, jak gdyby spodziewali się tam znaleźć odpowiedź.

W końcu oddział porucznika Scotta wyszedł z tunelu i stanął w ogromnej, monumentalnej grocie wypełnionej światłem tak oślepiającym, jak blask samego słońca, tylko że to tutaj było

elektryczne i nie dawało ciepła. I żyło.

To było jądro artefaktu.

Promienie odbijały się na ścianach i suficie tysiącem jaskrawych tęcz. Z jarzących się powierzchni wyrastały ostre kryształowe formacje.

Scott stanął z rozdziawionymi ustami, zahipnotyzowany wspaniałością i potęgą tego, co przed sobą ujrzał. Przybył na miejsce, tak jak mu rozkazano, ale jak na razie nie miał pojęcia, jak wyrazić to, co widzi. Nie potrafił wyciągnąć wniosków ani sformułować sprawozdania, które mogłyby się na coś przydać generałowi Duke'owi.

Z innych wylotów tuneli, przypominających bąbelki w musującej żywicznej substancji, zaczęli się wyłaniać Protossi i Zergi, węzowate hydraliski i opancerzeni zeloci. Chociaż wszyscy wchodzili do jednej groty, żaden z żołnierzy wrogich armii nie rzucił się do ataku. Ogniste jądro artefaktu Xel'Nagi przytłaczało swą majestatyczną grozą do tego stopnia, że wszyscy, niezależnie od rasy, stali oszołomieni i zdumieni.

Nagle świecące jądro zajaśniało jeszcze bardziej, jakby pod wpływem osobliwego samozapłonu. Ze środka wystrzeliły świetlne macki i odbijając się błyskawicami od kryształów Khaydarinu, wkrótce wypełniły grootę siecią trzaskających łuków.

Rozległ się krzyk jednego z firebatów. Scott miał świadomość, że w każdej chwili może zarządzić odwrót, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Stopy przyrosły mu do podłoża, mięśnie zastygły bezwładnie.

Tymczasem wyładowania energii nabierały mocy. Tętniące serce artefaktu Xel'Nagi zamieniło się w kulę białego ognia. I wtedy uderzyły błyskawice. Każda wycelowwała w inną istotę, która znajdowała się w zasięgu – firebatów, marines, protossańskich zelotów, zergańskie hydraliski – i unicestwiła ją na miejscu.

Porucznik otworzył usta do krzyku, ale zanim zdołał wydać głos, jego także oblała fala energii, przewalająca się przez ogromną grootę i absorbująca wszystko, co napotkała na drodze. Widział jeszcze, jak jeden po drugim znikają Zergi, Protossi i członkowie jego własnego oddziału.

A potem wszystko znikło mu z oczu...

* * *

W grocie nie została ani jedna żywa istota, świetliste jądro zagarnęło każdą organiczną formę, jaką miało w zasięgu. Terrańczycy nie byli mu potrzebni, za to pozostali – dzieci Xel'Nagi – na nich właśnie artefakt czekał.

We wszystkich korytarzach i ścianach budowli światło przybierało na sile, aż w końcu zamieniło się w żywy ogień. Kiście klejnotów wybuchły, wyzwalając falę energii. Na zewnątrz od ścian budowli odpadły resztki skał. Cały biopolimerowy szkielet konstrukcji przeniknęło buczące drzenie.

Artefakt Xel'Nagi, zagrzebany pod ziemią przez milenia, zaczął nabierać mocy i

przygotowywać się do ostatecznego przebudzenia...

Rozdział 37

Po tym, jak na jego oczach doborowe wojska Eskadry Alfa poniosły klęskę – klęskę! – generał Duke nie był w nastroju do wysłuchiwania plotek jakiejś rozhisteryzowanej, zacofanej kolonistki. Oktawia Bren jednak nalegała, żeby jej wysłuchano. Opowiedziała generałowi o swoim spotkaniu z czarną templariuszką – tajemniczą protossańską uczoną, która przybyła, aby ostrzec wszystkich przed starożytnym artefaktem.

Tylko co właściwie generał może zrobić? Niby jak, według Oktawii, ma to rozegrać? Dopiero co patrzył, jak jego perfekcyjnie zaplanowana ofensywa zamieniła się w listę poległych, za długą nawet, żeby ją pomieścić na dziesięciu ekranach. Jedyny zysk z tego wszystkiego jest taki, że teraz ma przynajmniej trochę więcej informacji... dość, żeby się głęboko zaniepokoić.

Kiedy Eskadra Alfa zmierzała na Bhekar Ro w następstwie dziwnego obcego sygnału oraz prośby o pomoc wystosowanej przez kolonistów, generał Duke zakładał, że tajemniczy artefakt jest tylko kolejnym WMO – Wielkim Martwym Obiektem – rzeczą, dla której nie warto poświęcać życia Terrańczyków, przynajmniej dopóki nie nadejdą takie rozkazy. Prowincjonalne światy pełne są dziwacznych artefaktów i tajemniczych budowli, ale na ogół nie wynika z tego takie zamieszanie.

W tym wypadku jednak jest oczywiste, że zarówno Zergi, jak i Protossi rozpaczliwie pragną zagarnąć ten obiekt dla siebie, a Duke nie ma już wojsk, żeby go przejąć dla imperatora Arcturusa Mengska.

Jako fachowiec generał mógł stwierdzić autorytatywnie, że to źle.

– Dziękuję pani za opinię, ale sam wiem, co mam robić – warknął Duke i otworzył wewnętrzne łącze. – Wezwać naszego najlepszego ducha. Myślę, że MacGregor Golding się nada. Przyślijcie go do mnie natychmiast. – Spojrzał w górę i zobaczył, że nieznośna osadniczka dalej stoi w jego gabinecie. – Coś jeszcze, panno Brown?

– Bren – powiedziała Oktawia. – Nazywam się Oktawia Bren.

Duke spiorunował ją wzrokiem. Co za różnica, jak się nazywa? Co to ma wspólnego z wielką bitwą, która się tu rozgrywa?

– Jeśli to nie jest informacja o znaczeniu strategicznym, droga pani, to nieważne. A teraz

proszę mi wybaczyć, ale toczy się wojna, którą muszę wygrać. Niełatwo wydrzeć zwycięstwo ze szponów porażki.

Oktawia była już w progu, kiedy drzwi do zarekwirowanej kwatery burmistrza Nika otworzyły się z impetem i do środka wszedł szczupły mężczyzna w ochronnym skafandrze bojowym. Drobną twarz żołnierza świadczyła o głębokiej życiowej mądrości albo przebiegłości. Wielkie, brązowe oczy, osadzone nad wysokimi kośćmi policzkowymi wydawały się bardzo stare i zmęczone.

MacGregor Golding czekał w milczeniu, aż generał się odezwie. Nagle, przyciągany przez niewidzialną siłę, odwrócił się w stronę Oktawii.

Dziewczyna odniosła wrażenie, jakby w jej myśli wkraść się jakiś telepatyczny wandal i plądrował jej umysł, jakby jej mózg prześwietlono na wylot silnym promieniowaniem penetrującym.

– Proszę nie zwracać na nią uwagi, agencie Golding. – Słowa Duke’a rozproszyły uwagę Oktawii.

Duch obrócił się na powrót w stronę generała.

– Przeciwnie, panie generale, zapewniam pana, że warto na nią zwrócić uwagę. W służbie rządu Konfederacji przeszedłem szkolenie w zakresie koncentrowania psychoenergii. Potrafię rozpoznać te zdolności. Ta kobieta ma ogromne możliwości. Mógłby być z niej bardzo dobry duch.

Oktawii ciarki przeszły po plecach.

– Nigdy w życiu – powiedziała.

Przez krótką chwilę umysłowego kontaktu z tym mężczyzną zdołała wyczytać z jego myśli, do jakich celów go wychowywano i szkolono. Udało jej się także wyczytać zamiary dowódcy Eskadry Alfa.

– Agencie Golding – powiedział Duke – oto rozkazy. Początkowo zamierzaliśmy zdobyć ten artefakt i włączyć go do terrańskiego arsenału. Niestety, po ostatnich wydarzeniach muszę przyznać, że nie mamy na to szans. Obecnie nie pozostało nam nic innego, jak zastosować plan B.

– Tak jest, panie generale – odparł duch. – Plan B. Znacznie gorsze od przegranej bitwy byłoby pozwolenie, aby ten obiekt, nieważne czym on jest, wpadł w ręce nikczemnych Zergów albo Protossów. Wobec takiej alternatywy musimy zrobić wszystko, aby do tego nie doszło.

To rzekłszy, duch stanął na baczność i zarepetował broń – swój długi karabin C-10.

– Mam na sobie sprzęt maskujący, panie generale. W każdej chwili desantowiec może mnie zabrać i wysadzić na obrzeżach pola bitwy. Stamtąd dostanę się na miejsce, żeby oznakować cel.

Duke skinął głową i splótł ręce na powierzchni biurka, które nigdy za panowania burmistrza Nikolai nie było tak nienagannie uprzątnięte.

– Na orbicie stacjonuje krążownik gotowy do odpalenia kompletu głowic.

Spokój i beztraska, z jakimi ci dwaj rozmawiali o zastosowaniu broni jądrowej, doprowadziły Oktawię do furii.

– Nie możecie wysadzić Bhekar Ro w powietrze! To jest nasz świat, nasz dom. Zbudowaliśmy tę kolonię własnymi rękami, w pocie czoła...

Duke dał znak strażnikom, żeby wyprowadzili Oktawię z gabinetu. Dziewczyna wiała się i szarpała. Generał patrzył na nią z dezaprobatą.

– Czy chce pani, żebym z tego powodu przegrał bitwę? – zapytał takim tonem, jakby odpowiedź nie budziła żadnych wątpliwości.

Rozdział 38

Od lat upragnionym celem sędziego Amdora było wytropienie i schwytanie jednego z heretyckich czarnych templariuszy. Mierzyły go ich poglądy i praktyki, a sama świadomość, że żyją i ukrywają się gdzieś w zakamarkach Pustki, sprawiała mu wręcz psychiczny ból. Ta pasja zawładnęła nim teraz do tego stopnia, że przyćmiła nawet doniosłość odkrycia artefaktu Xel’Nagi. Amdor niczego nie pragnął bardziej, niż złapać i ukarać zdrajców, którzy odwiedli tyłu Protossów od psychicznej więzi z Khalą. To prawda, że według Xel’Nagańczyków Protossi ponieśli fiasko, ale od tamtej pory nauczyli się współżyć, potrafili połączyć umysły w jednym wspaniałym, płynnym strumieniu myśli, który spajał całą rasę w nierozdzielną całość.

Oczywiście wyjątkiem byli czarni templariusze – buntownicy, którzy postanowili zachować niezależność. Próbowali odciągnąć umysły Protossów, osłabić Khalę poprzez rozbitcie jedności Pierworodnych. Za wszelką cenę należało zapobiec dalszym szkodom.

I oto teraz jedna ze znieawidzonych templariuszek zjawiała się w samym środku największej bitwy i dobrowolnie oddała się w ich ręce. Z całego serca Amdor żałował, że nie może przeprowadzić stosownego przesłuchania na pokładzie Qel’Ha.

Tymczasem Xerana nawet w niewoli nie okazywała strachu. Przeciwnie, przywoływała jeden po drugim obrazy bluźnierczych zwojów zapisanych starożytnym pismem.

– Musicie obejrzeć mój dowód – powiedziała.

Kierowała myśli do Amdora i Koronisa, lecz wkładała w nie tyle mocy, że mogli ją słyszeć wszyscy Protossi. Wyjęła zmięty fragment odnalezionego dokumentu.

– Musicie zobaczyć to na własne oczy. Zanim popełnicie jakieś głupstwo, musicie zrozumieć, co Xel’Naga zostawili po sobie na tej planecie. Nie budźcie z uśpienia tej potęgi.

Za jej plecami strzeliste, porowate mury zielonkawej budowli rozjarzyły się jeszcze bardziej, jakby głęboko pod górskim zboczem ktoś rozpałił w piecu.

Amdor wyrwał skrawek dokumentu z trójpalczastej dłoni Xerany i podarł go na kawałki.

– Nie interesują nas twoje kłamstwa. Nie wiem, jakimi sztuczkami czarnych templariuszy chcesz nas zwodzić. Może próbujesz wezwać tu innych heretyków, aby ci pomogli wykorzystać ten skarb przeciwko Khali.

Xerana z niezmaconym spokojem popatrzyła mu prosto w oczy.

– Czarnym templariuszom nie zależy na zniszczeniu Khali i nigdy nie zależało. Wam natomiast nigdy nie zależało na zrozumieniu nas. Najpierw sędziowie nakazali wymordować nasze plemię, ponieważ mieszałyśmy wam szyki, a kiedy dzielni Protossi odmówili popełnienia okropnego bratobójstwa, skazaliście nas na wygnanie, żeby ukryć wolnych templariuszy przed innymi Pierworodnymi. Pozbawiliście nas domu, mimo to przyszedłam tu, ryzykując własne życie, aby was ostrzec przed głupstwem, które chcecie popełnić. – Wyciągnęła rękę w kierunku złowrogiej budowli. – Nie wchodźcie tam. Nie rozumiecie natury tego artefaktu. On nie jest tym, czym się wam wydaje.

– Tym, co powiedziałaś utwierdzasz mnie tylko w przekonaniu, że powinienem osobiście zbadać ten obiekt od środka – odparł z ironią sędzia Amdor i rzucił Koronisowi pałające spojrzenie. – Naturalnie w towarzystwie pana egzekutora. Sami zdecydujemy, co zrobić z tym skarbem, a jego tajemnice zachowamy dla dobra Khali, nie dla takich odszczepieńców jak ty.

Wobec wyzywającego, fanatycznego spojrzenia Amdora, Koronis nie miał innego wyjścia, jak przytaknąć.

Xerana zwiesiła ramiona i spuściła głowę. Poniosła porażkę. Czuła moralny obowiązek przybyć tu z ostrzeżeniem, zrobić, co w jej mocy, żeby nie dopuścić do nieszczęścia, ale tak naprawdę nie spodziewała się innego rezultatu.

– W czasie wojny przetrzymywanie heretyczki w niewoli jest zbyt niebezpieczne – stwierdził Amdor i wezwawszy zelotów oraz dragonów, kazał im przygotować broń. – Dawno temu wszyscy czarni templariusze zostali już zbiorowo osądzeni i skazani. Ulegli podszeptom Pustki i zignorowali wezwanie Khali. – Wykonał rozkazujący gest. – Stracić ją. Ja w tym czasie i egzekutor Koronis osobiście wkroczyliśmy w progi tego wspaniałego artefaktu.

Podszedł do Koronisa i stanął u jego boku. Olbrzymia świecąca budowla zdawała się wołać do nich, wabić ich do siebie. Amdor czuł w sercu nieprzepartą chęć zagłębienia się w jej przepastne korytarze, doświadczenia na własnej skórze tej wspaniałości i majestatycznej grozy.

Xerana spojrzała na Koronisa, nie skrywając głębokiego rozczarowania.

– Tak mało rozumiecie, a tak beztrzesko szafujecie sądami.

Przywołała energię Pustki i uwolniła się. Używając tajemnych mocy, które poznała podczas długich lat poszukiwań i studiów nad dzikimi otchłaniami przestrzeni, dostała się do jednoczącego strumienia Khali i wzniosła w nim niewidzialne bariery, odcinając egzekutora i sędziego od wszystkich swoich podwładnych. Nie wyrządając nikomu krzywdy – bo żaden czarny templariusz nigdy nie chciał skrzywdzić nikogo ze swych pobratymców – wywołała w protossańskich szeregach nieopisany zamęt.

Oderwani od mentalnej więzi łączącej wszystkich Protossów w harmonijną jedność różnych osobowości, ale jednej psyche, Protossi poczuli się porzuceni, osamotnieni i

przerażeni. Kilku zelotów zaczęło zawodzić żałośnie, dragoni zatoczyli się, pozbawieni władzy w swoich cybernetycznych nogach.

Sędzia Amdor osunął się na kolana i wyciągnął w górę szponiaste dłonie, jak gdyby chciał przyciągnąć do siebie niewidzialną nić Khali.

– Oślepiłem! Jestem zgubiony!

Potem Xerana, wykorzystując tę samą sztukę, dzięki której się tu zjawiała, zawinęła otaczającą ciemność, zagięła Światło i zniknęła wszystkim z oczu. W zamieszaniu opuściła pole bitwy, pozostawiając Protossów własnemu losowi, który gotowali sobie lekkomyślnymi decyzjami.

Czekał ją długi, wyczerpujący bieg, jeśli chciała się wydostać z pułapki i uniknąć losu pozostałych.

Rozdział 39

Terrański desantowiec wystartował z bazy we Free Haven i przeleciał tuż nad grzbietami gór. Na skraju pola bitwy zatańczył, znieruchomiał na moment w powietrzu jak koliber wysysający nektar z kwiatu, po czym śmignął z powrotem, zanim ktokolwiek z wrogich wojsk zdołał wystrzelić w jego kierunku.

Na polu bitwy zostawił terrańskiego ducha.

MacGregor Golding lekko dotknął ziemi i pomknął przed siebie pod osłoną wiatru i cieni. Zergi i Protossi walczyli ze sobą tak zażarcie, że nawet gdyby obwiesił się neonowymi chorągwiami, prawdopodobnie nie zwróciliby na niego uwagi.

Pędził w stronę artefaktu, a w jego żyłach krążyły dwie pełne dawki środka stymulującego ze stimpaków, które wykradł z magazynu marines. Przekraczało to znacznie zalecaną dawkę, ale z drugiej strony była to kropla w morzu tego, co jego umęczone ciało przeszło w ciągu długich lat treningu w zamkniętym ośrodku Konfederacji. Życie MacGregora Goldinga było urabiane, kształtowane i ciosane tak długo, aż duch stał się chodzącą psychotelepatyczną bronią, żywą bombą, która miała teraz osiągnąć cel swego istnienia – spełnić swoje przeznaczenie.

Przekradając się przez pole bitwy, Golding trafił na miejsce ostatecznej klęski Eskadry Alfa. Czołgi oblężnicze stały roztrzaskane lub rozłupane między wypalonymi kraterami i skalnym rumowiskiem. Na ziemi, w błocie i krwi poniewierały się ciała marines i firebatów, a właściwie były to tylko fragmenty ciał.

Kłęby chmur zgęstniały i zasnuły niebo, chroniąc wojska lądowe przed atakiem z orbity. Nadchodziła burza. Golding rozpoznał w powietrzu oznaki zbliżającej się nawałnicy. W czasie krótkiego kontaktu z telepatycznie wyczulonym umysłem Oktawii Bren wyczytał w nim wspomnienia gwałtownych wyładowań szalejących na Bhekar Ro. Nawet jednak najbardziej oślepiające laserowe błyskawice ani ogłuszające grzmoty nie zdołałyby zetrzeć z pola bitwy całej krwi i śladów okropnej rzezi, jaka tu miała miejsce.

Mógł tego natomiast dokonać Golding. Jego misja miała na celu wysterylizować cały teren.

Jedyne, co musiał zrobić, to ściągnąć tu atak nuklearny.

Kiedy podszedł bliżej do groźnej, świecącej budowli, o którą przelano już tyle krwi, w jego głowie zaczęło się nasilać pulsujące wołanie. Gdzieś w pobliżu czaiła się inna telepatyczna siła, uspioń, potężny byt, dość potężny, aby zgnieść wszystkie marne istoty zmagające się u jego stóp.

Golding nie wiedział, co to mogło być, ale choć na ogół do jego zadań należało zbieranie informacji i infiltracja, tym razem go to nie interesowało. Generał Duke wydał rozkazy, a od ducha nie oczekiwano, że będzie je rozumiał, tylko wypełniał.

Artefakt miał zostać zniszczony.

U stóp zbocza Golding musiał się zatrzymać, bo drogę zablokowały mu skoncentrowane siły obu walczących armii i jednostki z czujnikami demaskującymi. Nieopodal zobaczył pełznącego niszczyciela i towarzyszącego mu w powietrzu obserwatora. Obserwator mógł bez trudu odkryć obecność ducha i tym samym udaremnić jego misję. Golding przyłożył do ramienia karabin. C-10 były lekkie, lecz pękate jak bazooka. Przed wyruszeniem MacGregor przezornie wymienił kilka ładunków wybuchowych na paralizujące. Czuł, że teraz mu się przydadzą.

Najpierw starannie wybrał trasę, przeanalizował, jak szybko będzie biegł, wyszukał miejsca najrzadziej obstawione nieprzyjacielskimi jednostkami. O powrót będzie się martwił potem.

Wystrzelił pocisk paralizujący i obserwował, jak pierzasty łuk ognia i dymu przebija się przez jego osłonę maskującą. Niektórzy z walczących podnieśli głowy, ale było już za późno. Pocisk eksplodował w górze, wytwarzając dookoła pole, które unieruchomiło najbliższego niszczyciela. Niebezpieczny pełzający pojazd utknął bezradnie w miejscu. Zablokowane systemy bojowe i elektryczne włązy uwięziły w środku protossańskich żołnierzy, którzy nie mogli nawet wyjść, żeby walczyć wręcz.

Golding puścił się teraz pędem. W biegu wystrzelił następny pocisk paralizujący, wskutek czego obserwator latający nad polem bitwy stracił wszystkie czujniki i roztrzaskał się o skały. Teraz duch był już bezpieczny pod swoją osłoną niewidzialności. Niezauważony lawirował między Zergami i rozwścieczonymi Protossami. Nikt na polu bitwy nie mógł go zobaczyć.

Zorientowawszy się, że Protossi utracili kontrolę nad swoją zautomatyzowaną bronią, Zergi pod dowództwem kukulkańskich zwierzchników rzuciły się wściekle do ataku, aby wykorzystać tę lukę w obronie nieprzyjaciela. MacGregor biegł bez spoczynku w stronę połyskującego artefaktu, podczas gdy za jego plecami hydryliski, zerglingi i strażnicy dawali upust swoim krwiożerczym instynktom.

Duch wykorzystał powstałe zamieszanie. Skupił się wyłącznie na swoim zadaniu. W obecnej chwili była to jedyna racja jego istnienia. Zajął pozycję, przygotował laser namierzania częstotliwością i włączył zasilanie.

Przez kodowane łącze skontaktował się z generałem Duke 'em.

– Wszystko gotowe, panie generale. Jestem na stanowisku. Mogę przystąpić do

oznakowania celu.

– Rób swoje. Dobra robota, Golding. Jeśli nie uda ci się wycofać na czas, dopilnuję, żebyś otrzymał odpowiednią pochwałę. Niestety, będzie musiała zostać zapieczętowana w twoich tajnych aktach.

– Naturalnie, panie generale. Rozumiem.

Golding aktywował laser i skierował świetlny strumień w jeden punkt na ścianie olbrzymiego artefaktu. Dzięki niemu taktyczne głowice jądrowe będą mogły trafić w cel z matematyczną dokładnością. Misja ducha została wypełniona.

W górze jeden z nielicznych ocalałych krążowników Eskadry Alfa otworzył pokrywę komory rakietowej i rozpoczął odpalanie pocisków jądrowych.

Golding tkwił w samym środku strefy zero, ale to nic, miał jeszcze kilka sekund na ucieczkę. Zaczął biec.

Rozdział 40

Oktawia doskonale zdawała sobie sprawę, o jaką stawkę toczy się gra. Atak nuklearny wisiał na włosku. A jeśli wojska terrańskie zaatakują starożytny artefakt, on odpowie własnym atakiem. Ilu Terrańczyków i Protossów może zginąć w następstwie tej wymiany ciosów? Nie miała pojęcia. Nie potrafiła też wykrzesać z siebie dość współczucia, żeby się troszczyć o los Zergów.

Generał Duke traktował ją jak rozhisteryzowane dziecko, które się nawet nie domyśla, z jakimi siłami ma do czynienia. Musiała przyznać, że nie najlepiej orientowała się w sytuacji politycznej na zewnątrz, w Dominium, ale tutaj, na Bhekar Ro widziała sprawy dużo wyraźniej niż Duke.

Skoro jej wysiłki, żeby odwieść generała od jego poronionego planu, spełzły na niczym, miała tylko jedno wyjście, wzięła mały gazik polowy i pojechała do dziwnej skały w kształcie topora, gdzie po raz pierwszy spotkała Xeraną. Zostawiła samochód na dole, a sama zaczęła się wspinać na stok.

– Xerano! Xerano! – wołała.

Nikt jej, rzecz jasna, nie odpowiedział. Czarna templariuszka nie mogła wiedzieć, że Oktawia przyjdzie tu z nią rozmawiać.

Kiedy jednak skoncentrowała się ze wszystkich sił, poczuła czyjaś obecność. To nie była Xerana ani żadne żywe stworzenie, tylko coś w rodzaju wewnętrznego napięcia, mieszanina uczuć, których nawet w przybliżeniu nie potrafiła nazwać, a które kumulowały się i narastały w jeden bezgłośny krzyk. Wiedziała, że za chwilę coś się stanie.

Z rozpaczą usunęła na bok wszystkie inne myśli i skupiła całą siłę woli na jednym słowie – *Xerana!*

Nie miała pojęcia, jak długo tam stała z tą jedną myślą tętniącą w głowie – *Xerana!* *Xerana!* – ale nagle czarna templariuszka zjawiła się obok niej. Wyglądała na zmęczoną i głęboko poruszoną.

Na widok Protossanki Oktawia wybuchła – Xerano, nie udało mi się! Żołnierze mnie nie posłuchali. Dojdzie do ataku jądrowego. Musisz coś zrobić. Nie możemy do tego dopuścić.

– *Ja również rozmawiałam z moimi braćmi i oni także nie chcieli mnie wysłuchać.*

Oktawia poczuła w żołądku rozpaloną kulę.

– Ale przecież wszyscy mogą zginąć. Sama tak mówiłaś. Musimy ich jakoś powstrzymać.

– *Niestety, jedyne, co możemy im zaoferować, to nasza wiedza. Wyboru muszą dokonać sami. Zachłanność i uprzedzenia zabiły w nich zdrowy rozsądek. To, co nastąpi... sami tego chcieli.*

– I koloniści z Free Haven mają umrzeć przez czyjąś głupotę? To niesprawiedliwe! – powiedziała Oktawia.

Czarna templariuszka zamknęła błyszczące oczy, jak gdyby koncentrowała się na jakiejś jednej głębokiej myśli.

Nagle Oktawia znów usłyszała w głowie ten sam nieokreślony byt, który zabijał każdą inną myśl i rozwiewał wszelką nadzieję. Dziewczyna przycisnęła dłoń do skroni, bo telepatyczny krzyk stawał się coraz głośniejszy.

Spóźniły się.

Rozdział 41

Kiedy czarna templariuszka znikła mu z oczu, sędzia Amdor wpadł w furię. Uciekła! Jego ofiara, którą chciał torturować, przesłuchać i wreszcie stracić, uciekła. Wszystkich heretyków trzeba przykładowo ukarać ku przestrodze innych Protossów, aby wiara w jednoczącą Khale nigdy się nie zachwiała.

Xerana wykorzystwała bluźniercze moce Pustki, wdała się w konszachty z zakazaną potęgą, uwłaczającą wszystkim wiernym zelotom, sędziom i wysokim templariuszom. Amdor nie mógł dopuścić, aby w ich oczach heretyczka okazała się silniejsza.

Po ucieczce Xerany chaos, który wywołała w protossańskich umysłach, minął. Amdor nigdy przedtem nie widział swoich niezłomnych wyznawców tak przerażonych i zagubionych jak przez tę krótką chwilę telepatycznej ślepoty. Nawet ataki Zergów nie wywoływały takiej dezorientacji i lęku w szeregach Protossów, jak to nagłe odcięcie od kojącego strumienia Khali.

Odwrócił się w stronę egzekutora, który skrzętnie skrywał przed nim swoje myśli. W Amdorze zbudziło się podejrzenie, że Koronisa rozbawiła konsternacją sędziego i ucieczką czarnej templariuszki.

Amdor błyskawicznie podjął decyzję.

– Nie dopuszczę, aby ta zdrajczyni i heretyczka zachwiała moim postanowieniem wstąpienia w progi bezcennego skarbu Xel’Nagi. Dość już wywiadowców i rekonesansów, idę tam osobiście. Żaden z pańskich dragonów ani zelotów-szperaczy nie wrócił. Czas wreszcie samemu zbadać tę sprawę. Idzie pan ze mną?

Ku jego zdumieniu Koronisa odmówił.

– Chciałbym bardzo panu towarzyszyć, sędzio, niestety wymogi strategiczne i wojskowe nakładają na mnie obowiązek kierowania bitwą.

Amdor popatrzył na niego szyderczo.

– Nie zasługuje pan na honor oglądania dziedzictwa Xel’Nagi. Wezmę ten zaszczytny obowiązek na siebie – ku chwale konklawe i całej rasy Protossów.

To rzekłszy, sędzia oddalił się dumnym krokiem i po chwili wspinał się już na stok artefaktu. Koronisa tymczasem zajął się przegrupowywaniem sił i wzmacnianiem obrony,

gdzie właśnie tajemnicza eksplozja paraliżująca zablokowała całą zmechanizowaną siłę ogniową Protossów. Zergańskie żołdaki natychmiast zwietrzyły swoją szansę i napływały ławą w stronę wyrwy w obronie przeciwnika. Koronis wysłał telepatyczne rozkazy, aby kilka niszczycieli zapełniło lukę na ziemi, a z powietrza wspierał je lotniskowiec z przechwytywaczami.

W tym czasie sędzia dotarł do wejścia w labirynt artefaktu. Ze środka emanowało coraz silniejsze pulsowanie. W tunelu zrobiło się jaśniej, przezroczyste polimerowe ściany mieniły się trzaskającym zimnym ogniem. Amdor czuł obecność pradawnych Xel’Nagi, nieuchwytny ślad rasy stwórców. Nie miał cienia wątpliwości, że ten skarb czekał tu właśnie na niego.

Długa i bezowocna wędrówka Qel’Ha była efektem niezdecydowanej postawy egzekutora Koronisa i jego krótkowzroczności. Kiedy flota ekspedycyjna powróci na zniszczony Aiur, Amdor przyniesie swemu ludowi nową nadzieję oraz wizję potęgi, a konklawe wynagrodzi go za to hojnie.

Po wejściu do tuneli szedł szybkim i stanowczym krokiem. Bez wahania wybierał drogę, podążając złotą ścieżką, która się formowała w jego umyśle. Wiedział, gdzie leży serce artefaktu – jądro jego potęgi, ponieważ czuł, jak go przyzywa, i z ochotą odpowiadał na to wezwanie. Tajemniczy byt zbudzony na Bhekar Ro ujawni przed nim wszystko, czego kiedykolwiek pragnął się dowiedzieć o Xel’Nadze.

Zdziwiło go, że pomimo pulsowania dudniącego w jego głowie, korytarze artefaktu były opustoszałe i milczące, jak gdyby wszyscy zwiadowcy – protossańscy dragoni i zeloci, terrańscy komandosi i zergańscy najeźdźcy – rozplynęli się w powietrzu. Zdziwiło go to, ale nie zmartwiło. Przeciwnie, rad był, że nic mu nie stanie na drodze.

Kiedy wreszcie wszedł do groty wypełnionej lodowatym ogniem, świetliste jądro nabrzmiało i urosło, a zimne języki ognia zaczęły lizać brzegi jaskini. Zatrzymał się i w tej samej chwili z głowy wywietrzały mu wszystkie myśli. Nie czuł już obecności Khali. To coś, przed czym stał, było potężniejsze nawet od połączonych sił psychicznych całej rasy Protossów. Było wspaniałe. To coś było wszystkim.

Wpatrywał się w oślepiające żywe serce artefaktu i nie potrafił wyrazić słowami swego zdumienia. Nagle usłyszał w głowie głos – znenawidzony telepatyczny głos czarnej templariuszki, który zdołał się przebić nawet przez tę budzącą się pradawną potęgę. Xerana szeptała doń z oddali – *Teraz uwierzysz, sędzio. To jest dopiero początek. Oto jest kolejne dzieło Xel’Nagi. Ono wie, że my wszyscy jesteśmy spleceni niczym nici w ogromnym gobelinie. Aby plan Xel’Nagi się ziścił, artefakt musi ściągnąć tutaj nas wszystkich, musi zdobyć każdy najdrobniejszy skrawek naszego DNA. Tylko energii potrzebuje teraz dziecko naszych stwórców, aby się wyrwać na wolność.*

Amdor obrócił się gwałtownie, przestraszony, że Xerana przyszła tu za nim, że się ośmieliła zbrukać to święte miejsce swoją przeklętą osobą. Ale uczonej templariuszki nie było w pobliżu, tylko jej głos unosił się w głowie sędziego.

Powinieneś być mnie posłuchać, sędzio Amdorze.

Potem zamilkła. Amdor raz jeszcze popatrzył na migoczące jądro, które na jego oczach rozjarzało się coraz mocniej, koncentrowało się na nim, taksowało go, aż wreszcie rzuciło się w jego stronę.

We wszystkie strony wystrzeliły jaskrawe błyskawice. Grota wypełniła się ognistą pajęczyną i w mgnieniu oka zdematerializowała sędziego, absorbując go aż do ostatniego segmencika informacji genetycznej, której dziecko Xel’Nagi potrzebowało do pełnego przebudzenia.

Rozdział 42

Podążając za złotą nicią laserowego światła, pociski z głowicami jądrowymi przebiły kłęby burzowych chmur wiszących nad Bhekar Ro i pomknęły w kierunku artefaktu niczym gromy ciśnięte z nieba przez rozgniewanego boga.

MacGregor Golding nie próbował już nawet ukrywać się przed wojskami obcych. Wyłączył pole maskujące i pędził po skalnym osuwisku, byle dalej od złowrogiej budowli. Zergi i Protossi odwrócili się jak na komendę – jedni, ponieważ zauważyli biegnącego ducha, inni, ponieważ zwróciły ich uwagę ogniste smugi pikujące ku nim z odległych okrętów. Jeszcze inni wyczuli po prostu zbliżającą się zagładę.

To było tylko kilka taktycznych atomówek, GPIP-y (gwarantowana pełna inaktywacja personelu) nie miały dużego zasięgu. Duchowi, nafaszerowanemu stimpakami i pędzącemu na złamanie karku, mogło się udać przedrzeć na drugą stronę pasma niskich wzniesień, zanurkować w jakąś szczelinę między skałami i modlić się, żeby to wystarczyło.

Jeszcze zanim rzucił się w dół po osypisku, zamachał rękami, jak gdyby przyzywał do siebie śmiercionośną broń.

Powietrze przeszył świszczący huk, potem rozległo się przeciągłe zawodzenie przelatujących pocisków i wreszcie wszystkie głowice spadły na szczyt błyszczącego artefaktu niczym gigantyczny katowski topór.

Między ogromnymi głazami Golding znalazł obszerną szczelinę, wepchnął się jak najgłębiej, gdzie chłód i mrok dawały nadzieję na dobrą osłonę i zacisnął mocno oczy. Mimo to nawet przez zamknięte powieki świat zabłysnął nagle oślepiającym blaskiem...

* * *

Pośród erupcji światła trzy taktyczne głowice nuklearne skruszyły resztki skalnej ściany, która otaczała xel'nagańską budowlę. Niszcząca fala uderzeniowa zaczęła się rozprzestrzeniać we wszystkich kierunkach, ale reakcja rozbudzonego i zgłodniałego artefaktu była natychmiastowa. W ułamku sekundy ekspansja unicestwiającej energii została zatrzymana, a cały impet reakcji jądrowej wessany w głąb niewiarygodnego tworów.

Egzekutor Koronis zatoczył się pod wpływem ogłuszającego huku. Nie mieściło mu się w

głowie, jakim cudem jeszcze żyje, ani w jaki sposób artefakt pochłonął całą energię reakcji jądrowej.

Skalne zbocze znikło jak zrzucone okowy, a starożytny relikw, naładowany energią, zbudził się do życia w eksplozji blasku. Biopolimerowe ściany, które dotąd przypominały ochronny pancerz, zamieniły się w jeden elektryczny płomień tętniący niespożytymi siłami żywymi.

Artefakt żył i wyraźnie czegoś szukał.

Zergańscy zwierzchnicy, oszołomieni niespodziewanym atakiem nuklearnym, stracili kontrolę nad swymi krwiożerczymi podwładnymi. Roverliski zjeżyły sierść i skoczyły do gardeł zerglingom, oszalałe mutaliski kłębiły się nad polem bitwy i strzykały na oślepk kwasowymi strumieniami.

Pozostali przy życiu protossańscy sędziowie i zeloci stali jak sparaliżowani i z nabożnym lękiem, jak gdyby wybiła właśnie godzina ich przeznaczenia, patrzyli na rozjarzony artefakt, wieki temu pogrzebany pod skałami przez ich własnych przodków.

Wtem ściana migocząca koronkową siecią pękła z trzaskiem oślepiających błyskawic. Polimerowy pancerz zaczął się otwierać jak skorupka jaja... albo jak kokon poczwarki.

Koronis czuł narastające wśród Protossów przerażenie i przecucie czegoś nieodwracalnego. Przeciężony umysł egzekutora nie potrafił pojąć tego, co się działo, nawet z pomocą ożywczego strumienia Khali. Byłoby tak cudownie wziąć teraz do ręki swój wysłużony okruch kryształu Khaydarinu i skupić myśli, wyciszyć się i pogрузić w medytacji...

Czarna templariuszka miała rację. Próbowwała ich przekonać, że ten obiekt nie jest zwykłym artefaktem, lecz nasieniem żywej istoty, kolejną prototypową rasą zrodzoną w genetycznych eksperymentach Xel’Nagi. Teraz Koronis na czele swojej armii wcale nie dokonał podboju tego osobliwego dziedzictwa, tylko do spółki z Zergami i Terrańczykami przywrócił je do życia.

Z wnętrza rozbitego kokonu wyłoniło się wspaniałe, majestatyczne stworzenie. Luminescencyjna skóra z trudem utrzymywała w ryzach kipiącą, świetlistą energię przybierającą kształt osobliwej kałamarnicy. Niczym feniks, z gruzów artefaktu powstała istota z ogromnymi, pierzastymi skrzydłami, chwytными czułkami i oczami pałającymi jak słońca.

Koronis w milczeniu patrzył na cudowne zjawisko. Nie przypominało niczego, co w życiu widział, ale nie wyczuwał w nim zła. Wyglądało jak połączenie motyla, meduzy i ukwiału z terrańskiego świata. Promieniowała od niego czystość – szczyt, którego nie osiągnęli ani Protossi, ani Zergi – wcześniejsze twory starożytnej cywilizacji.

Zbudzone stworzenie wzbilo się nad strzaskanym kokonem i zawisło nad polem bitwy. Koronis zapragnął stać się jego częścią. Śpiewało telepatyczną melodię, pieśń napisaną przed wiekami przez Xel’Nagańczyków i nastroszoną tak, że budziła odzew w każdej nici jego DNA.

Czuł jednak, że on i reszta Protossów nie są tu zwykłymi widzami. Ten nowo narodzony feniks ich potrzebuje, potrzebuje również Zergów. I jedni, i drudzy są dlań źródłem energii niezbędnej do ukończenia monumentalnej metamorfozy. Zagrzebany pod skałami kokon został tu złożony tysiące lat temu i przez cały ten czas wzrastał, dojrzewał i czekał... na tę chwilę.

Wokół rozpętał się tajfun. Zygarki błyskawic wymierzonych precyzyjnie w pole bitwy rozsypały się w dolinie feerią kalejdoskopowych barw. Zergi i Protossi stali bezradnie, podczas gdy xel'nagański twór skąpał ich wszystkich w silnych penetrujących promieniach, a potem zdematerializował jednego po drugim, absorbując każdy atom, każdą myśl i duszę dzieci Xel'Nagi. Powierzchnia Bhekar Ro rozjarzyła się na dziesiątki kilometrów – nie od blasku wybuchu jądrowego, lecz od kipiących wyładowań życiodajnej energii.

Wreszcie wspaniała feniks, osiągnąwszy pełnię, wbił się w niebo, rozdarł chmury, które rozjarzyły się pomarańczowo i poszybował w przestrzeń, opuszczając miejsce swego nieskończonego długiego przepoczwarzania.

Na orbicie napotkał ocalałe jeszcze krążowniki Eskadry Alfa. Dowódca uszkodzonego Napoleona otrzymał już okropną wiadomość o pogromie terrańskich sił lądowych w tytanicznej trójstronnej bitwie wokół artefaktu i z trudem trzymał nerwy na wodzy. Kiedy zobaczył olśniewającego stwora mknącego w jego kierunku jak huragan, do reszty stracił głowę i nie czekając na rozkazy od generała Duke'a, otworzył ogień.

W ślad za nim to samo zrobili kapitanowie pozostałych krążowników. Pociski z dział Yamato zwiększyły biologiczny potencjał niezwykle feniksoidalnej istoty, która załśniła jeszcze mocniej, zapłonęła ogniem jeszcze gorętszym. Następnie pochłonęła i strawiła wszystkie terrańskie krążowniki, spijając ich energię i zostawiając za sobą tylko odpady stopionego metalu, które w lodowatej próżni zamarły w mgnieniu oka.

Wkrótce potem osobliwy płomienny feniks pochłonął pozostałe na orbicie rezerwowe siły Zergów i Protossów. Wreszcie, nasycony i żądny rozpocząć nowe życie, porzucił swój odwieczny dom na planecie Bhekar Ro i poszybował przez Pustkę, w niezbadaną przestrzeń międzygwiazdną.

Rozdział 43

Oktawia dyszała ciężko. Nogi się pod nią uginały, ale zmusiła się, żeby iść naprzód. Xerana powtarzała, że muszą się spieszyć, wspinały się więc po stromym zboczu, nie zważając nawet na kolonie Zergów, bo i tak wszystkie siły obu walczących ras pociągnęły do doliny, gdzie toczyła się bitwa.

Kiedy stanęły na szczycie, czarna templariuszka wyczuła nagle niebezpieczeństwo. Jednym zdecydowanym ruchem przewróciła Oktawię na ziemię, a sama przykucnęła za dużym kamieniem. W tym samym momencie niebo rozświetlił biało-żółty płomień... i chwilę później zgasł. Zdecydowanie za szybko.

– *Wasi żołnierze zrzucili bomby – powiedziała – ale efekt będzie inny, niż się spodziewa terrański dowódca.*

Kiedy blask wybuchu przygasł, obie z Oktawią podniosły się z ziemi i patrzyły z daleka, jak pęka gigantyczny artefakt-kokon, a ze środka wylatuje feniksoidalny stwór, nieruchomieje na moment w powietrzu i po kilku minutach absorbuje każdą żywą istotę w zasięgu. Oktawii przemknęło przez myśl, czy ich też nie dosięgnie destrukcyjna błyskawica zgłodniałego stworzenia.

– *Witaj we wszechświecie – powiedziała Xerana, a w jej telepatycznych słowach słychać było respekt i zachwyt.*

Od nowo narodzonej istoty biła ekstaza wolności i wypełnienia. Oktawia czuła ją we własnym umyśle. Zrozumiała teraz głos, który od tak dawna odzywał się w jej głowie i chociaż nienawidziła tego obcego istnienia za zabicie Larsa, nie mogła powstrzymać bezmiernego zachwytu. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak pięknego i tak czystego. Oczy ją bolały od jaskrawego blasku, jakim świetlisty stwór napełnił dolinę, zanim wystrzelił w górę, aby zniknąć w przestrzeni.

– *Chodź – powiedziała Xerana. – Myślę, że zobaczymy tu coś jeszcze.*

Zeszły w dolinę. Pole bitwy nadal tętniło i połyskiwało. Nad ziemią unosiła się pulsująca mgła, jakby z kamieni i gleby sączyły się ulotne resztki sił życiowych w postaci diamentowego pyłu. Korona kryształów Khaydarinu, otaczająca niegdyś zagrzebany artefakt, leżała roztarta na miriady ziaren piasku... albo nasion.

Jeszcze kilka minut temu Oktawia była kompletnie wycieńczona, a tymczasem idąc z Xeraną dnem doliny, czuła, jak z każdą chwilą wracają jej siły. Nie przeszkadzało jej, że czarna templariuszka maszeruje obok szybkim krokiem, biegła za nią w podskokach bez śladu zmęczenia. Tak wypoczęta i odprężona nie była od wielu lat znoonej pracy na farmie. Równinę zaścielały ślady niedawnej bitwy – poskręcane wraki czołgów i samolotów, nigdzie jednak nie było ani jednego ciała, nawet kropli rozlanej krwi.

Xerana musiała wyczytać jej myśli, bo powiedziała:

– Pisklę Xel’Nagi zabrało każde życie, którego mogło dosięgnąć, a razem z energią z bomby jądrowej miało więcej energii, niż mogło pochłonąć. Zużyło ją do połączenia genów Protossów i Zergów. W ten sposób dopełniło procesu dojrzewania. Wylatując stąd, strząsnęło część swojej bioenergii i zostawiło ją tutaj.

Oktawia przygryzła wargę. Kiedy się rozejrzała dookoła i zobaczyła tyle wspaniałych rzeczy, znów wezbrał w niej gniew.

– W takim razie po co był mu Lars? Jaki pożytek to stworzenie będzie miało z ludzkiego DNA?

Xerana posmutniała.

– To była pomyłka. Pisklę nie potrzebowało waszej terrańskiej energii. Ale było młode i uśpione, nie rozumiało jeszcze dobrze, co robi.

A więc Lars zginął tylko dlatego, że przypadkiem znalazł się w niewłaściwym miejscu. To wcale Oktawii nie pocieszyło. Szła dalej i stopniowo zaczęła sobie zdawać sprawę, że dolina wokół się zmienia. W miarę upływu minut różnica była coraz wyraźniej sza. Kamienista ziemia nabrała sprężystości, tu i ówdzie wybijały nieśmiałe żółta trawy. Chwilę potem, jak okiem sięgnąć, widać było kielkujące rośliny. Rosły dosłownie w oczach, pięły się ku górze, jak gdyby nie mogły się doczekać, kiedy obdarzą zrujnowaną Bhekar Ro bujnym życiem.

Oktawia przyklęła i wyrwała z ziemi roślinkę. W jej ręku z pączka rozwinął się szkarłatny kwiat o trzech szpiczastych płatkach.

– To jest życie – powiedziała Xerana po prostu.

Oktawia je czuła – czuła je przez skórę, czuła je w oczach i w umyśle.

Życiodajna brylantowa mgiełka zaczęła się rozwiewać, odsłaniając błękitne niebo, tak przejrzyste, że zdawało się sięgać aż do dalekich gwiazd. Wtedy, w oddali, Oktawia zobaczyła niewyraźne sylwetki stojące pośrodku rozkwitającej łąki.

To byli ludzie. Wyglądali na dezorientowanych i oszołomionych.

Oktawia ruszyła w ich kierunku z wahaniem, niepewnie. Bała się nawet mieć nadzieję. Kilku z nich miało na sobie terrańskie mundury, ale jeden był ubrany tak jak koloniści na Bhekar Ro – w roboczy kombinezon... taki sam jak ten, który kiedyś nosił Lars. Oktawia wstrzymała oddech. Nie dowierzała jeszcze własnym oczom.

Wtedy odezwała się Xerana.

– *Aby przejść końcową transformację, embrion potrzebował genów innych dzieci Xel’Nagi jako biologicznego paliwa. Ponieważ ci Terrańczycy nie byli mu potrzebni, najwyraźniej nowo narodzony twór usunął ich z matrycy DNA.*

– Lars! – wrzasnęła Oktawia i bez tchu rzuciła się w jego stronę.

Śmiała się w głos. Jej zmartwychwstały brat stał pośrodku morza kwiatów, które wyglądały jak pokaz barwnych fajerwerków pośród trawiastej doliny.

Lars usłyszał jej wołanie, obrócił się i twarz mu pojaśniała. Oktawia dopadła go i rzuciła mu się na szyję. W pierwszej chwili Lars zmieszał się tym wybuchem czułości, potem jednak przytulił ją mocno.

– To dopiero ciekawe – powiedział zakłopotany.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę żyjesz! – mówiła Oktawia.

Na przemian ścisnęła go, to znów odsuwała od siebie, żeby mu się przyjrzeć. Ze wszystkich rzeczy, które jej się ostatnio przydarzyły, ta była najbardziej niewiarygodna.

– Nigdy nie podejrzewałem, że pewnego dnia ucieszę się z powrotu w to miejsce – stwierdził Lars.

Oktawia znów uściskała go z całej siły.

Tymczasem czarna templariuszka stała z boku zamyślona. Nie miała tu już nic do roboty. Przyleciała na tę planetę, żeby coś zobaczyć i czegoś się nauczyć. Nie usłuchano jej ostrzeżenia, nie zdołała uratować swych protossańskich braci, ale kto wie, może to i lepiej. Zbudzona feniksoidalna istota jest częścią zagadki Xel’Nagi. Xerana cieszyła się, że była świadkiem tych narodzin.

Bez słowa pożegnania owinęła się w cień i znikła.

Może uda jej się podążać śladem nowo narodzonego stworzenia, a może znajdzie inne uśpione embriony ukryte we wszechświecie przez Xel’Nagę. Miała tyle pytań, na które chciała znaleźć odpowiedź i tyle rzeczy do zrobienia... i całą Pustkę do przeszukania.

Rozdział 44

Śmierć całego szczepu Kukulkan zabolą Sarę Kerrigan, jakby jej własne ciało rozpruto nożem. Mdłe światło bijące z żywych ścian ula raziło ją i przytłaczało.

Ale to nie gniew z powodu haniebnej klęski ją nękał, ani też żal po stracie tylu poddanych. Najbardziej bolało ją to, że rozwiały się jej nadzieje. Nie ma już środków, aby zrealizować swój ambitny plan.

To nic, to tylko drobna zwłoka...

Pracowała dotąd niezmiernie, aby pod jej kierunkiem Zergi odzyskały swą złowrogą potęgę i podbiły galaktykę, tak jak to było im pisane. Misja zawładnięcia artefaktem Xel'Nagi miała być dla Sary sprawdzianem. Królowa Ostrzy chciała sobie udowodnić, że jej Zergi są niepokonane, że zniszczenie Nadumysłu było tylko nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Ona jest silniejsza, odważniejsza, ambitniejsza.

Na razie musi zmodyfikować swoje plany, wyznaczyć nowe cele i sprawić, żeby martwa planeta Char rozwinęła się w czarny kwiat.

To prawda, Kukulkan został stracony, ale Sara Kerrigan miała wiele innych potężnych szczepów – Tiamat, Fenris, Baelrog, Surtur, Jormungand. Każdy z nich prowadzony był przez innego cerebratora, każdy miał wyznaczoną inną rolę w ogólnej strukturze społecznej Zergów – dowodzić, polować, terroryzować, atakować. Każdy też składał się z tysięcy, czasem milionów ślepo posłusznych członków.

Wiele szczepów zostało zdziesiątkowanych podczas ostatniej wojny, która doprowadziła Terrańczyków, Protossów i Zergi na skraj zagłady. Królowa Ostrzy zjednoczyła je na powrót pod swoją komendą.

Nie będzie się zamartwiać tym drobnym potknięciem na Bhekar Ro. To nie ma znaczenia. Rozpacz jest słabością ludzi. Sara Kerrigan nie uważała się już za człowieka.

To dopiero początek. Wkrótce Królowa Ostrzy rozpęta swoją wojnę.

Rozdział 45

Oktawia i Lars wrócili do Free Haven w towarzystwie porucznika Scotta i resztki ludzi z jego oddziału komandosów, którzy również odzyskali życie w następstwie narodzin xel'nagańskiego feniksa.

W mieście generał Duke robił wrażenie kompletnie zagubionego i osamotnionego. Kiedy dotarli do jego kwatery, zastali przed drzwiami burmistrza Nikolai walącego do drzwi własnego domu.

– Proszę mi natychmiast oddać moje biuro!

Garstka wartujących marines nadal pełniła swoje obowiązki, ale niemrawo i bez przekonania. Generał otworzył w końcu drzwi i bez słowa wypadł na środek ulicy.

Wszystkie siły Eskadry Alfa zostały rozbite w puch w niefortunnej szarży na armie Protossów i Zergów pod artefaktem, teraz zaś, krótko po uderzeniu jądrowym i dziwnych, niewyjaśnionych zdarzeniach, które się rozegrały w dolinie, Duke stracił także kontakt z pozostałymi statkami na orbicie. Nikt nie odpowiadał na jego sygnały.

Łudził się jeszcze, że po prostu ulegli rozproszeniu. Może część zameldowała się bezpośrednio pod rozkazy imperatora Mengska, kilka mogło udać się na poszukiwania generała. W głębi ducha jednak Duke sam w to nie wierzył.

Kiedy Oktawia i Lars wrócili do miasta, koloniści, pomimo przygnębienia po wstrząsających i krwawych wydarzeniach ostatnich dni, przywitali ich radośnie. Przynajmniej jeden z utraconych towarzyszy wrócił cało i zdrowo. Najbardziej uradowała się Cyn McCarthy. Rzuciła się Larsowi na szyję i wybuchła płaczem. Ku zdumieniu Oktawii Lars bez namysłu pocałował miedzianowłosą dziewczynę i z miejsca jej się oświadczył, wywołując tym nowe potoki łez szczęścia.

Pozostali koloniści patrzyli na Larsa w osłupieniu, ale w końcu tyle wydarzyło się tu ostatnio zdumiewających i przerażających rzeczy, że nawet nie kwestionowali tego cudu zmartwychwstania.

Oktawia natomiast tryskała werwą i wkrótce jej entuzjazm zaczął wyrывać osadników z odrętwienia.

– Poczekajcie tylko, aż zobaczycie dolinę – mówiła. – Żyzna ziemia aż kipi roślinami.

Gwarantuję, że będziemy tam mieli największe plony w całej historii kolonii. To nasza wielka szansa, iskra nadziei. Możemy znowu stanąć na nogi.

Generał Duke łypnął na Oktawię wrogo, jakby to ona była wszystkim winna.

– Moje wojsko przybyło wam tu na ratunek, a teraz prawie wszyscy zginęli! – wrzasnęła w stronę gabinetu, który do niedawna był jego centrum dowodzenia. – Burmistrzu, żądam, żeby się pan natychmiast skontaktował z Dominium. Niech tu przyślą ekipę badawczą, przeprowadzą szczegółową analizę pola walki. I ewakuują moich ludzi.

Burmistrz, który odzyskawszy swoje biuro, przystąpił już energicznie do uprzątnięcia wojskowego sprzętu Duke'a, wytknął tylko głowę przez drzwi. Robił wrażenie nieznośnie zadowolonego z siebie.

– Przykro mi, generale – powiedział bez śladu żalu w głosie – ale żaden z naszych systemów łączności dalekiego zasięgu nie działa. Wszystkie zostały zniszczone w czasie walk.

Generał Duke wydał taki odgłos, jakby próbował zgryźć kamienie.

– I nie macie tu żadnej stacji kosmicznej? Na całej tej skorupie, którą nazywacie planetą, nie ma ani jednego marnego statku międzygwiazdowego?

Burmistrz pokręcił głową.

– Jesteśmy tylko małą, „zapadłą” kolonią, generale. Zwykłymi cywilami.

– I „wieśniakami” – dodała Oktawia. – Ale niech się pan nie martwi, jestem pewna, że w końcu przyłecą was szukać.

Duke zacisnął pięści i oparł je na biodrach, miotając na kolonistów piorunujące spojrzenia.

– To znaczy, że jestem tu rozbitkiem. Co mam robić?

– Najlepiej coś pożytecznego – powiedziała Oktawia.

Rozejrzała się i zauważyła pod ścianą domu motykę z długim trzonkiem, zaplamioną krwią jakiegoś Zerga. Wetknęła ją do ręki wzburzonemu generałowi.

– Może pan zacząć od pielenia. Mamy mnóstwo nowych terenów pod uprawy.

Duke zachnął się, ale nie znalazł żadnej stosownej odpowiedzi.

Oktawia uśmiechnęła się drwiąco.

– To bardzo łatwe, generale, każde dziecko panu pokaże, jak to się robi.

Potem zwołała Jona, Wesa, Gregora, Kiemana, Kirsten i kilku innych kolonistów, żeby zaprowadzić ich do nowej, bujnie rozkwitłej doliny. Młody, przystojny porucznik Scott, który przyglądał się Oktawii z nieskrywanym zainteresowaniem, na ochotnika poszedł razem z nimi. Czuł się dziwnie lekko i beztrusko. Chyba zmęczyły go już wojny i może dobrze by było w końcu gdzieś osiąść...

Koloniści zabrali się do porządkowania swojego pokiereszowanego świata. Oktawia zaś powiedziała sobie w duchu: obyśmy nigdy więcej nie zwrócili na siebie uwagi wszechświata.